

**Prus Bolesław**

**NOWELE**

**Tom I I**

Z BIELAN

...Na imię mi Jacek, ale nie ten wielki Jacek, tylko taki mały, zwyczajny. Gdybym był wielkim Jackiem, znano by mnie przynajmniej o tyle, o ile by mi nagadała rzeczy przykrych jakaś prowincjonalna gazeta. Ale że jestem tylko Jacusiem, więc grzebię się w swoim kąteczku (nie powiem w jakim, boby się wszystko wydało) i — na tym koniec.

W historii mego życia za najznakomitszy wypadek uważam ten, że się urodziłem jasnym blondynem, choć obecnie jestem szatynem. Do piętnastego roku mieszkałem na wsi i jak zapewniają ludzie starzy, byłem nawet chłopcem dość żwawym. Od czasu jednak jakem osiadł w Warszawie, żwawość moja poszła na dyndus! Chodzę skulony i siedzę skulony — apetyt mam bardzo mały, a do towarzystwa kobiet ochoty prawie żadnej. Nieraz mi mówią znajomi: „Żeń się, Jacuś!” albo: „Niech się pan Jacenty choć raz ożeni!” Ale ja się tylko śmieję z tego. Co mi po żonie?... chyba to, żebym miał jedną zgryzotę więcej.

W tej Warszawie, nie wiem dlaczego, człowiek schnie jak bułka. Pókim był na wsi, to pamiętam, że nawet myślałem trochę, a dziś i tego nie!... Człowiek w biurze przepisuje, w domu śpi, a jak wyjdzie na ulicę, to kołowacieje. Ścisk, zaduch, gwałt! Kurz pada na oczy, płucami powietrza nie złapiesz...

Och! Żeby ja kiedy wygrał na loterii, zaraz bym na wieś wyjechał, choćby na prowentowego pisarza. Tam bym

i apetyt miał lepszy, i humor inny, i... może bym się ożenił?...

Nie komponuję nic — moi państwo złoci! Mówię tylko, że takim jak ja warszawskim szparagom, co to przez dziesięć lat rogatek nawet nie

widzieli — wieś potrzebna jest, jak — już nie wiem co i komu?  
Przekonałem się o tym sam na sobie, wyjechawszy onegdaj na Bielany.  
Stało się to zupełnie przypadkowo, bo na Bielany nigdy mi się nie żądziło.  
Wszyscy znajomi mówili zawsze, że tam tylko tałajstwo wędruje, no a z  
takimi mieszać się — żaden interes!  
Ale w niedzielę wyszedłem na most, ażeby zobaczyć, jak statki odchodzą.  
Na moście był tłum, a ztem jest człek niskiego wzrostu i wszyscy mi  
zasłaniali, więc myślę:  
„Zejdę w dół.”  
I zeszedłem.  
Do statku biegło bardzo wiele osób. Jakże mnie tedy potracił jeden, drugi i  
setny, więc patrzę... A ja już jestem przy budce.  
— Pan chce biletu? — pyta ten, co w budce siedział, i podaje mi bilet. Ja  
w Warszawie tom się już tak przyzwyczaił, że jak mi kto co daje — biorę.  
Więc i bilet wziąłem.  
— Należy się pięćdziesiąt groszy — mówi ten z budki. Zrobiło mi się  
trochę markotno, ale że awantur nie lubię, więc zapłaciłem pięćdziesiąt  
groszy.  
I znowu ludzie idący do statku jak mnie wzięli szturgać, potrać, tak ni  
stąd ni zowąd stanąłem na mostku i myślę:  
„Po diabła ja na Bielany?... Jechać... Czy nie je...” Ale że myśląc tak drogę  
ludziom zagradzałem, więc sługa municypalny wziął mnie za kark i  
popchnął na statek. To bardzo przyjemni ludzie!  
Na statku — potknąłem się o coś. Patrzę — noga panny Balbiny.

— I pan jedzie na Bielany?... — krzyknęła. — Ach! jak to dobrze —  
dopieroż się ubawimy!

Ja nie powiedziałem nic, bom był zły jak pies. Miał mi też Pan Bóg kogo  
zesłać, ale pannę Balbinę, która się od trzech lat absztyfikuje do mnie, a  
jest chuda jak chrzan na Wielkanoc. Przy tym choćby była najtłustiejsza,  
to też na diabła, bo ja ani chudych, ani tłustych, ani żadnych nie lubię.  
Panna Balbina jechała z matką, a matka z zamykanym koszykiem, z  
którego coś pachniało. Pewnie wiozą sobie kawałek pieczonki cielej i  
parę kajzerek, a chce im się do tego — konkurenta za przyprawę...  
Na ławce było ciasno, ale że kobiety zawsze miejsce znajdują, jeżeli chcą  
człowieka udreczyć, więc posunęła się panna Balbina na prawo, matka na  
lewo i kazały mi usiąść między sobą.

Ognie mi na twarz uderzyły, wcale jednak nie tego, że siedział dość blisko przy Balci, ale tego, że statek ruszył. Jak zaczął sapać, kiwać się naprzód i w tył, takim zaraz pomyślał, że kocięł pięknie, że mnie panna Balbina złapie za szyję i że utoniemy oboje. Ładny awans leżeć na dnie Wisły, aż do końca świata, w objęciach suchego czupiradła!

Nie wiedząc, co robić ze strachu, zacząłem wkładać i zdejmować rękawiczki. Ale kiedyśmy już minęli Cytadelę, powiadam państwu — jakbym się na świat narodził!... I to nie ja jeden.

Najprzód wyprostowałem się, później podniosłem się z ławki i stanąłem na pokładzie — jak grenadier. Potem odetchnąłem tak głęboko, że aż mi trochę powietrza w kolana poszło. A w końcu ogarnęła mnie taka radość, że chciałem skoczyć ze statku prosto w wodę, pewny będąc, że utrzymam się na wierzchu jak korek. Ale że miałem nowy kapelusz — nie skoczyłem, tylko oparłem jedną nogę na krawędzi statku, jak Brutus!

— Jakie tu powietrze!.. jakie tu powietrze zdrowe! — zawołała panna Balbina.

Spojrzałem na tę panienkę. Co, u kaduka! Ona mi się zupełnie inną wydaje!... Jest wprawdzie szczupła, ale czyż cnota musi koniecznie wyglądać jak sadło?... Owszem, jej nawet z tym bardzo do twarzy!... Ma oczy błyszczące, włosy trochę zsunięte na czoło, a jak spojrzy na mnie, to dalibóg (tylko nie śmieJCie się, państwo), aż mi w pięty idzie jej wejrzenie...

Wysiedliśmy naprzeciw drogi, która pod górę wiedzie. Ponieważ było błoto, więc Balcia zręcznie uniosła ogon sukni, a ja żałowałem tych czasów, kiedy to każdy błędny rycerz za damą swoją musiał ogon nosić. Cudowna istota, a jakie powietrze... aaff!...

— Woda świeża, zdrojowa! — zawołało na raz kilka głosów.

Znajdowaliśmy się naprzeciw wodociągu, czyli — jak tu nazywają — zdroju. Chociaż chłopcy podający wodę nie mieli ani tak bardzo czystych rąk, ani zbyt czystego ubrania, nie mówiąc już o dzbankach, likwor ten jednak był daleko lepszy aniżeli w Warszawie. Prawda, że nad bielańskim zdrojem nie poci się żaden magistrat.

Na górze aż się gotowało. Jedni kręcili się dorożkami lub wózkami, inni na karuzelach albo młynach diabelskich, ubożsi — na własnych nogach.

W lesie grały katarynki, we drzwiach kościelnych śpiewały dziady, a obok drzwi kościelnych — wtórowała im publiczność, zdaje się, że po łacinie. Lecz i te pieśni musiały być pobożne, bo przecież pod kościołem światowych nikt nie śpiewa. Przynajmniej takie było zdanie matki panny Balbiny.

Byłem wesół jak nigdy. Pierwszy raz od dwudziestu lat widziałem prawdziwe dęby w lasku bielańskim, a po drugiej stronie Wisły prawdziwe wiejskie domki. Mój Boże! gdybym też kiedy mógł osiedlić się w chatce podobnej — naturalnie z moją najdroższą Balbiną i jej szanowną matką, na którą rzuciłem w tej chwili spojrzenie —

nie dające się opisać. Widocznie jednak zacna matrona wytłomaczywszy sobie fałszywie mój rzut oka odezwała się:

— Pan Jacenty pewnie by co zjadł?... Zaraz się to zrobi, tylko wstąpmy pierwiej do kościoła.

Przychylne te słowa dobrej matki rozrzewniły mnie tak, że gdyśmy weszli do katakumb, chciałem schwycić panną Balbinę za rękę i szepnąć jej do ucha:

— O, jakżebym pragnął leżeć tu... obok pani!

Ale że było dużo ludzi, a ja jestem nieśmiały, więc poprawiłem sobie tylko krawata.

Przy kościołku widzieliśmy grób Staszica. Jest on podobno odświeżony i posiada niszę, w której stoi popiersie nieboszczyka. Staszic ma na głowie duży wianek, który mu aż oczy zasłania. Chciałem właśnie spytać, kto mu go włożył?... Gdy nagle przeczytałem napis:

„Towarzystwo Hrubieszowskie" — swemu założycielowi."

Rozumiem. Towarzystwo Hrubieszowskie zasłania oczy swemu założycielowi, ażeby w jego sprawy nie wglądał.

Z kościoła poszliśmy nad Wisłę. Boże mój, jaki cudowny widok!... Woda jak srebro, a te kępy... te drzewa... te chatki na drugim brzegu... a ta piękna Balbina unosząca ogon swej sukni! Westchnąłem i uczułem na powiekach łzy — usłyszawszy bicie własnego serca. Więc i ja mam, serce, ja? O dębowy lasku bielański, o wodo...

Matka panny Balbiny usiadła z powagą na murawie i otworzyła koszyczek. Czegóż bo tam nie było?... Sztufa

da, ozór, strucelka, szynka, flakonik wina i flakoniczek likieru!

— Przeczuwałyśmy, że pana spotkamy!... — szepnęła zachwycająca Balcia rumieniąc się.

W Warszawie oprócz piwa nie używam nic więcej, ale tu, wśród wiekowych dębów, nad wodą toczącą spienione fale, wypilem — wszystek likier!... Nie dość na tym: zdawało mi się jeszcze, że mam niesłychany apetyt. Probuję tedy ozora: jeden, drugi i trzeci kawałek... zjadłem wszystko. Próbuję szynki — znowu zjadłem... — Próbuję sztufady... Ależ ja podobnego mięsa nie kosztowałem jak żyję!...

— Gdyby się pan Jacenty ożenił — mówi matka panny Balbiny — jadałby pan co dzień takie mięso. Prawda, że kokos?...

— Wściekła pieczeń!... — odpowiadam i czuję, że w tej chwili oświadczyłbym się, gdyby nie to, że miałem pełne usta sztufady.

Chciałem się oświadczyć w parę minut później, alem musiał pić wino, którym mnie gwałtem częstowano. Wino dobiło mnie i — nie wiem z jakiej racji, pocałowałem pannę Balbinę w rękaw, nie mogąc jakoś od razu do rączki trafić.

— Może się państwo przejdą po lesie?... — zapytała nasza mama. — Ja tutaj zostanę... Jestem stara i łatwo się męczę.

Zaczęliśmy tedy chodzić z panną Balbiną po lesie milcząc — jak dwa instytuty głuchoniemych. Ona była widocznie wzruszoną, a ja chciałem się oświadczyć, lecz wyrazów jakoś dobrać nie mogłem.

— Panno Balbino! — odezwałem się wreszcie. — Już tyle lat...

Zaczerwieniła się, jakby jej kto w... ucho dał.

— Już tyle lat... znamy się i...

— Woda świeża, zdrojowa! — wrzasnął za nami chłopak.

Moja odwaga schowała ogon za siebie.

— Panno Balbino! może byśmy się tak... pokręcili na młynie diabelskim?... Pół porcji!

— Nie pasuje! jeszcze by nas kto wypatrzył. Wziąłem ją pod pachę i zapuściliśmy się w głąb lasu.

Tu zacząłem znowu:

— Pani! serce moje wzdęło się jak ta Wisła... Byłbym powiedział coś prześlicznego, gdyby w tej

chwili nie odezwała się za nami katarynka i Żydek, który mówił:

— Państwo delikatne!... mam t a k i e c h karmelki, jakie u Lursa nie zdybie... Cetno... lichy?

„Bodaj cię rozjechali!...” — pomyślałem odprowadzając rozkoszną Balbinę w inny koniec lasu. Tu znowu chciałem coś pięknego powiedzieć, ale jeszcze raz nam przeszkodzili. Jacyś dwaj panowie dosyć trzeźwi chcieli podnieść z ziemi trzeciego pana, który się tak spił, że aż nad nim żona płakała. Z początku udawało im się dobrze; lecz nagle pan, który ciągnął naprzód, upadł wąsami na ziemię, drugi pan — na wznak, a trzeci, który leżał — już tak został.

Słońce schylało się ku zachodowi, a że miałem serce przepełnione nadludzkimi uczuciami, zwróciłem się więc z panną Balbiną znowu ku Wiśle. Tym razem los mi sprzyjał. Znalazłem miejsce ciche, ustronne, nad parowem. U dołu płynął zdroik, nad nami — śpiewał ptaszek... Panna Balbina stanęła jak posąg, zwróciwszy tęskne oczy ku niebu. Ach! jak byliśmy piękni oboje...

Dłużej już wytrzymać nie mogłem,

— Pani! — krzyknąłem chcąc upaść przed nią na kolana.

W tej chwili spojrzałem przed siebie i... moją odwagę, miłość, zapal — wszystko diabli wzięli.

W lasu bielańskim nie podobna się oświadczyć. A jednak tu i tylko tu — czułem, że mogę być małżonkiem!

Szkoda, że piękności gruntu nie odpowiadają świeżości tutejszego powietrza.

Wracaliśmy statkiem całą godzinę. Duszę miałem rozkołysaną, ale byłem ciągle roztargniony. Naprzeciw mnie stał municypalny pacholek lękający się widocznie, ażeby nie wpadł w wodę. Ja także nie mogłem spuścić oka z niego obawiając się, aby on podobnemu losowi nie uległ. A tymczasem panna Balbina na próżno oczekiwała moich oświadczeń!...

W połowie drogi któremuś z podróżnych zrobiło się niedobrze; oparł biedak głowę na piersiach pacholka i tak dojechał do mostu. Droga Balbino!... dlaczegoż mnie nie znudziło w tej chwili?... Byłbym i ja oparł głowę na twoim łonie i — może już dziś stołowałbym się u was jako narzeczony!

Dziwna rzecz! Im bardziej zbliżaliśmy się do miasta, tym osobliwsze zachodziły we mnie rewolucje. Najprzód nie podobał mi się pusty koszyk naszej matki, a później ona sama. Potem zacząłem się lękać rozbicia statku, a potem myśleć: czy istotnie małżeństwo jest stanem tak doskonałym?

Już między mostami — panna Balbina wydała mi się zbyt szczupłą. O kilkanaście kroków dalej usiadłem na ławce, a jeszcze dalej — skuliłem się jak zwykle.

Nareszcie, kiedyśmy już przybili do lądu, zdjąłem kapelusz — i ukłoniwszy się moim damom opuściłem statek. Nie mogłem patrzeć na Balbinę.

— Elegant! — mruknęła rozgniewana matka. — Mięso zeżał — wino wychłał, a teraz ani nas odprowadza, ani nawet dziękuje!...

Ale gadanie jej nic mnie nie obchodziło. Zgięty w pałąk, zmęczony — wlałem między tłum, który mnie wepchnął na schody, potem na Nowy Zjazd, potem na Kra

kowskie... Pojutrze będę znów referaty przepisowywał, a mogłem się ożenić!...

Na tym kończy się pamiętnik pana Jacentego. Jest on potężnym argumentem przemawiającym za letnimi wycieczkami na wieś w ogóle, a na Bielany w szczególności. Opierając się na nim, ze swej strony postawię wnioski:

° Aby ludzie młodzi jak najczęściej używali świeżego powietrza — w towarzystwie panien na wydaniu.

° Aby matki panien nigdy nie zapomniały brać ze sobą koszyków dobrze zaopatrzonych w mięsiwo i napoje.

° Aby na Bielanach (rozumie się, na koszt miasta Warszawy) została oddzielona i odgradzona pewna część lasu wyłącznie dla zakochanych i — aby do zagrody tej nie puszczano ani kataryniarzy, ani chłopców z wodą, ani przekupniów, ani innej obojętnej publiczności.

## OPOWIADANIA WIECZORNE

### Z ŻYWOTÓW ŚWIĘTYCH

Gdy byłem w mieście K., spotkał mnie pewnego razu miejscowy sędzia śledczy i rzekł z uśmiechem:

— Wyobraź pan sobie, że dzisiejszej nocy ukradli dzwon z klasztoru.

Właśnie idę tam, więc chodź pan ze mną, a zobaczysz osobliwość. Jest to dziewięćdziesięcioletni zakonnik, który już sam jeden mieszka w opuszczonych budowlach. A warto z, nim pogadać.

Poszliśmy. Był pogodny dzień lipcowy. Pod zieloną studnią, na rynku, stało kilka chłopskich furmanek, z których między szczeblami wysuwały się pęki słomy. Nieco dalej gromadka turystów przyglądała się wiekowym domom. Rolę przewodników pełnili faktorzy, a najwymowniejszy z nich objaśniał:

— Te domy to są bardzo stare; oni mają może tysiąc, może pięćset lat. Oni byli budowane jeszcze za Esterki, która... jedni państwo powiadają, że urodziła się tutaj, a drugie, że w Parchatce. Ale Rabinowicz, co on ma oberżę, to jest jej wnuk; u niego dostaną państwo taki miód, jakiego niema na całym świecie. Jego żona robi bardzo doskonale ryby po żydowsku. Państwo to lubią, ja wiem...

Miasto K. jest z trzech stron otoczone wzgórzami: na jednym widać szczątki zanikowych ruin, nad drugim stary klasztor, do którego zbliżaliśmy się właśnie przez cuchnącą uliczkę.

Od podnóża góry do świątyni prowadził pochyły korytarz o stu kilkudziesięciu schodach; wielu brakło, więcej było spróchniałych. Po obu stronach korytarza znajdowały się nisze, a w nich obrazy, niegdyś malowane na ścianie, dziś

pokaleczone skutkiem opadania tynku, lub zasłonięte wielkimi plamami wilgoci. Jeszcze jednak można było odróżnić węza, kuszącego Ewę, pałkę



Kaina i nogi Abla, arkę, z której wylatywała gołębica, a na wyższych kondygnacjach: Dziecię Chrystusa, wykładające Zakon, nakarmienie głodnej rzeszy pięciorgiem chleba, wreszcie uszy oślicy, na której Jezus odbył wjazd do Jerozolimy, tudzież gałązki palmowe witających Go tłumów.

Zmęczeni wspinaniem się po schodach, stanęliśmy w otwartej furcie, za którą ciągnął się znowu korytarz, obiegający dokoła zabudowania klasztorne. Było tu cicho i martwo. Wesołe światło słońca, które przez powybijane okna padało na ściany, pełne niegdyś obrazów, oświetlało dziś albo spróchniałe ramy, albo szerniałe płótna. Z pod sklepień zwieszała się opuszczona pajęczyna, bo pająki uciekły z pustek, gdzie nawet nie błąkała się żadna mucha. Za oknami, na czworobocznym dziedzińcu, wśród usychających drzew i bujnych ostów, było więcej gruzu niż trawy. Na końcu korytarza, w niszy, stał ogromny krucyfiks, pod którym klęczał mnich w czarnym habicie, z głową podniesioną i rozłożonemi rękoma, jakby się rzucał do stóp krzyża, chcąc objąć święte drzewo. Wstrząsnąłem się.

— To posąg — rzekł sędzia.

Skręciliśmy. W drugim korytarzu stał rzeczywisty zakonnik w ciemnej sukni. Złożone na piersiach ręce wsunął w rękawy i patrzył na nas przygasłemi oczyma. Musiał to być człowiek bardzo stary; miał niewielką, białą brodę, czaszkę gładką i żółtawą jak kość, czoło pofałdowane podłużnemi brózdami.

Popatrzył na nas i usunął się w zagłębienie okna, mrużąc łaciński pacierz. Wziął nas za turystów.

— Dzień dobry księdzu — odezwał się sędzia.

— Niech będzie pochwalony — odparł starzec, nie podnosząc oczu.

— Przyszliśmy do księdza dobrodzieja...

— Aha!... Klasztor obejrzeć... Tu już coraz mniej jest do oglądania...

Obrazów niema... organy zepsute... chyba groby. Proszę...

Odszedł parę kroków od okna i w przeciwległej ścianie popchnął żelazne drzwi. Spojrzałem. Był tam jakby szereg widnych piwnic. W głębi, z jednej strony okna, wielki stos trumien i desek, z drugiej — kupka czaszek i kości, a wzdłuż piwnicy, na prawo i na lewo, leżały gęsto obok siebie wyciągnięte habity z podniesionemi kapturami i rękawami złożonemi na

krzyż. Oswoiwszy się ze światłem, dojrzałem pod jednym kapturem bielejące zęby, a w rękawach parę rąk skurczonych i zeschniętych jak patyki.

— Jestem sędzią śledczym — rzekł mój towarzysz.

— Aaa! Kogóż wy tu sądzić będziecie? — odparł zakonnik, wzruszając ramionami.

— Dziś w nocy ukradli wam dzwon...

— Tak, Marcina ukradli... Pewnie, że w nocy. Kiedym wyszedł dzwonić na jutrznię i pociągnąłem sznur, już nie odezwał się.

— Komuż to ksiądz dobrodziej dzwoni na jutrznię?

— Komu? Wszystkim — odpowiedział, wodząc ręką dokoła.

— A ci słuchają się? — spytał sędzia i wskazał na szereg leżących.

— Ooo! Czasami o północy bywa taki ścisk w kościele, że w stallach umieszczam tylko przeorów, a mniejsi ojcowie siadają w ławkach na środku.

— To ciekawe. Ale kto księdzu dzwon ukradł, a podobno i kołdrę z celi?

— Zawsze ci sami kradną.

— Ale kto? niech ksiądz powie. Mamy kilku podejrzanych i chodzi o stwierdzenie.

Starzec schował ręce w rękawy i podniósł ramiona.

— To nie moja rzecz.

— Jakże nie?... Nie można przecie tolerować złodziei, którzy nawet kołdrę zabrali księdzu.

— Bóg z nimi.

— Ależ oni całemu społeczeństwu wyrządzają krzywdę. Ukrywać ich, znaczy być ich współnikiem.

Starzec bystro spojrział na mego towarzysza.

— Pytali mnie tu już dziś — odparł. — Ale to nie moja rzecz... nie moja rzecz... Miłujcie nieprzyjacioły wasze; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą... to moja rzecz...

— Dobrze to, z przeproszeniem księdza, dla owiec, które swoim tłustym mięsem częstują wilka i rzeźnika. Ale człowiek ma rozum, ażeby przykładał się do wytępienia złego.

Starzec ożywił się.

— Mówisz pan jak świecki, ale ja jestem zakonnik. Pański obowiązek przestrzegać ludzkich praw; ja muszę pilnować boskich.

— Boskie prawa są na to, ażeby ludziom było dobrze na świecie, ażeby, sami byli coraz lepsi. Boskie prawa są wszechmądre, więc nie mogą być niepraktyczne.

— A co to jest praktyczne? — spytał zakonnik z uśmiechem.

Przymknął drzwi grobów i, drepcząc, poszedł w głąb korytarza, gdzie we framudze znajdowała się ławka.

— Przepraszam — rzekł — że usiądę, bo mi trudno stać. Siadajcie, panowie... Młodzi jesteście i światowi, więc to, com powiedział, może wam wydawać się dziwne, a nawet głupie... Ale to tylko z pozoru... Boskie prawa są bardzo praktyczne i, ażeby świat o nich nie zapominał, muszą być wykonywane choćby przez takich jak ja...

Sędzia trącił mnie kolanem i przymrużył oko, na znak, że teraz właśnie poznam osobliwego człowieka. Staruszek wydobył z za pazuchy lubianą tabakierkę z rzemykiem, otworzył, zażył z przyjemnością ciemnozielonego proszku i nas

poczęstował. Potem wysunął z rękawa chustkę w żółte i ponsowe kwiaty i położył ją przed sobą na pulpicie ławki.

— Trzeba panu wiedzieć — odezwał się sędzia do mnie — że ksiądz dobrodziej był kiedyś sławnym kaznodzieją...

— Ooo!... — szepnął zakonnik — to już bardzo dawno... Zamyślił się.

Chuda jego twarz zrobiła się jeszcze chudsza, nagie czoło pofałdowało się jeszcze gęściej i głębiej, zapadłe oczy unieruchomiły się. Zdawał się patrzeć na coś ze wzrastającym podziwem, ale tego, co on widział, my nie mogliśmy dojrzeć.

— To bardzo stara historia — zaczął głosem stanowczym, jakiego nie miał przed chwilą — stara historia... Może dwieście, może trzysta lat temu... Zdarzyła się w tych czasach, kiedy jeszcze Bóg miłosierny obmywał świat chrześcijański tureckimi powodziami. Był, mówią, gdzieś pod Mekką, czy pod Konstantynopolem, potok ognisty, który co wiosnę skrapiał chrześcijańskie niwy krwią i łzami, a co kilkanaście lat tak wylewał, że tonęły w nim miasta, wsie, pola urodzajne, nawet całe narody.

To były, panie dobrodzieju, straszne wylewy; tylko, że zamiast piasku, zostawiały popiół, węgle i niepogrzebane trupy. Oj!... panowie...

W tamtych czasach, w górzystym kraju siedmiogrodzkim, egzystował bogaty klasztor benedyktynów, zbudowany na skale. Miał warowne mury i dwanaście własnych armat przeciw pogańskiej mocy, a w dolinie — wielką liczbę folwarków.

Jeden z takich folwarków trzymał w wieczystej dzierżawie gospodarz węgierski, Czarny Miklos. Pobożny to był człowiek i zapobiegły, ale też miał i folwark cacko!... Leżał ów mająteczek u stóp góry. Już o milę drogi od folwarku miałeś pan dobrodziej łąkę jak trawnik, a na niej stado owiec, drugie — siwych wołów z krótkimi rogami, trzecie — koni gniadych i kasztanowatych. Wszystka ta hołota cały dzień skakała i rżała po łące, trzy razy zbiegając się pod szopę do studni, gdzie ich pojono.

Za łąką rozciągał się niezmierny łąn kukurydzy i pszenicy, z poza których już było widać między zielonością dom Miklosa — biały, jak grudka śniegu. A zaraz za domem leniwie podnosiła się góra, gdzie miałeś pan dobrodziej: niżej brzoskwinie i winogrona, wyżej jabłonie, grusze i sławne śliwki węgierskie, a jeszcze wyżej — las iglasty.

Był to raj, nie folwark. Wina stamtąd i owoców starczyło klasztorowi na cały rok, a jeszcze drugie tyle Miklos sprzedawał na swój zysk.

Ten pobożny gospodarz miał troje dzieci: najstarszy syn gospodarował z ojcem, średni, także Miklos, był na łąkach przy bydle, a pięcio albo sześćioletnia córeczka bawiła się przy domu.

Najwięcej niepokoju robił ojcu młodszy syn, niesłychany siłacz. Kiedy mając osiemnaście lat, zaczął powalać byki, ojciec poszedł na naradę do benedyktynów, i ci postanowili, ażeby oddał chłopca do wojska, bić Turków. Ale kiedy w dwudziestym roku zadusił starego niedźwiedzia, który nieopatrznie dostał się między owce, stary Miklos przestraszył się. Znowu poszedł do benedyktynów o radę, a ci uchwalili, ażeby chłopca przyprowadził do klasztoru.

— Taki siłacz — mówił przeor — może zrobić światu dużo złego, albo dużo dobrego. Więc oddaj go asan nam, ażebyśmy czuwali nad jego duszą.

Dostał się zatem młody Miklos do benedyktynów, gdzie ojcowie ćwiczyli go w pobożności; a ile miał wolnego czasu, kazali mu wiercić studnię w

skale, na której wznosił się klasztor. I stało się, że w dziesięć lat chłopak, bez wielkiego utrudzenia, wykuł studnię na sto pięćdziesiąt łokci głęboką, która jest tam do dziś dnia, tylko zasypana. Z tej studni bardzo cieszyli się zakonnicy, bo już mogli wytrzymać każde oblężenie, bez troski o wodę. O parę mil od klasztoru, na skale jeszcze dzikszej, stał zamek węgierskiego magnata Gejzy. Był to wielki rabuś

i okrutnik, który przez związki z szatanem i czarnoksiężnikami w siedemdziesiątym roku życia trzymał się zupełnie młodo. Przez pół wieku palił, mordował i rabował cały kraj. A gdy wszystkich obdarł, wyniósł się ze swymi pacholkami na turecką granicę, bo tam miał okazję do większych rozbojów i zarobków.

Na nieszczęście dla chrześcijan i klasztoru benedyktynów, wstąpił na tron turecki jakiś wielki sułtan, Mahmud czy Selim — panowie lepiej powinniście o tem wiedzieć. Ten myślał o zawojowaniu całej Europy, a przedewszystkiem tak zabrał się do uporządkowania swego państwa i granic, że nawet Gejza, ścigany przez janczarskie pułki, uprzykrzył sobie tureckich kupców i przeszedł do Siedmiogrodu.

Banda Gejzy mocno uszczuplała w ciągłych bojach, a on sam poczuł już drugą starość na grzbiecie. Gdy więc wrócił do swego zamku i z czarnoksiężnikami odprawił czarną mszę, szatan powiedział mu, że lekarstwo na swoje kłopoty znajdzie w domu Mikłosa.

Pojechał tam Gejza ze świtą, łupiąc po drodze, co się dało. A gdy spotkał starego Mikłosa, który w tej porze pilnował zbioru winogron na wino mszalne, rzekł mu:

— Hej! chamie... Albo mi dasz swego syna siłacza do świty, albo córkę, o której słyszę, że ma lat szesnaście i jest jeszcze niewinna. Widziałem już syreny śpiewające w morzu, smoki ogniem ziejące, hieny z ludzkimi głowami; alem jeszcze nie spotkał chłopca, który łamie kości niedźwiedzim, ani szesnastoletniej dziewczyny niewinnej.

Tak prawił bezbożnik. A na to mu stary Mikłos:

— Syn mój, cham czy nie cham, jest u benedyktynów poświęcony Bogu, więc prawuj się jaśnie wielmożny pan z Bogiem o niego. A córki nie dam, choćby przyjechał po nią sam Rakoczy.

Po takiej odpowiedzi, zbrodniarz Gejza trzasnął starca czekaniem w głowę i zabił na miejscu. Starszego syna, który

porwał się z pałaszem, kazał wbić na pal; podłożył ogień pod dom i spalił w nim żonę Mikłosa Czarnego, a niewinną córkę porwał do zamku.

I wiecie, panowie dobrodzieje, co z nią zrobił? Odprawił drugą czarną mszę, dziewczynę pod ołtarzem szatana zarznął, jak owcę, i... wypił jej krew, ażeby znowu odmłodnieć... Co się też stało, na chwilowy triumf szatana, a zawstydzenie świętej wiary...

Tymczasem młody Mikłós był wciąż w klasztorze i, dzięki pracy ojców benedyktynów, rósł w pobożność. Lecz, mocny w ramionach, był słaby w naukach duchownych; więc zamiast wielu mądrych przepisów, świątobliwy przeor zaszczerpił w nim tylko jedno, ale największe przykazanie:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.”

Kiedy wieść o wymordowaniu rodziny Mikłosa Czarnego doszła do klasztoru, młody Mikłós zaczął tak jęczeć, że ojcowie w dzień ani w nocy spokoju nie mieli; a tak bił głową o mury, że można było lękać się o całość warownej świątyni. Wtedy bogobojny przeor wezwał go i rzekł: — Mój synu! widzę, że zakonnikiem nie będziesz. Ale i w stanie świeckim możesz osiągnąć Królestwo Niebieskie, jeżeli podejmiesz się roboty, którą ci wyznaczę, i będziesz troskliwie wypełniał przepis:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.”

I opowiedział mu świątobliwy przeor, gdzie ma iść i co ma robić.

Przypomniał mu również, aby połowę tego, co zarobi, wiernie kościołowi oddawał. Potem udzielił mu błogosławieństwa i opatrzył na drogę, a gdy Mikłós opuścił benedyktynów, zawiadomił Gejzę, że chłopca już niema w klasztorze. Bo Gejza bezbożnik, niedość mając krwi Mikłosa Czarnego, jeszcze dopytywał się o żyjącego syna i groził klasztorowi najazdem, gdyby mu z dobrej woli nie oddano siłacza.

Wszedłszy z klasztoru, Mikłós wstąpił na ruiny folwarku

ojca i, trzy dni leżąc krzyżem na zgliszczach, wylał tyle łez, że w tem miejscu trysnęło źródło, które jest po dziś dzień, ale nikt z niego wody nie pije, gdyż jest gorzka i piecze wnętrzości. Wypłakawszy się zaś, poszedł

w góry i (jak radził mu świątobliwy przeor) został przewodnikiem na najniebezpieczniejszej drodze.

Powinniście wiedzieć, panowie, bom ja nieuczony zakonnik, że w owych czasach między Turcją i Węgrami stały dwa pasma gór, niby dwa mury, zabezpieczające świat chrześcijański od pogan. Między pasmami leżała górską dolina, na którą i od strony Turcji, i od Węgier trzeba było wdrapywać się bardzo ciasnymi wąwozami na wysokość dwudziestu wież kościelnych.

Szczególniej od strony Węgier wejście było okropne. Widzisz ciasny korytarz, którego środkiem płynął bystry potok, jednego dnia tak płytki, że człowiek ledwie podeszwy w nim zamaczał, a na drugi raz tak pełny wody rozhukanej, że niosła kamienie wielkości pieca.

Tym korytarzem, między gładkimi i ciemnymi skałami, które zdawały się do nieba sięgać, szedłeś z tysiąc kroków i spotykałeś przed sobą znowu gładką ścianę niezmierniej wysokości, ze szczytu której lał do wąwozu ryczący wodospad. W tem miejscu od huku wody i zadzierania głowy najmężniejsi doznawali zawrotu, i nikt nie myślał o wdrapywaniu się na dolinę, która leżała na dwadzieścia wież wysoko.

Dopiero bystre oko pasterzy górskich wysledziło, że w prawej ścianie wąwozu jest jakby wisząca ścieżka. Ciągnęła się ona, nieszersza od gżemsu w kościele, z początku nisko, potem wyżej, a potem już strasznie wysoko, ponad kipiącą w dole wodą, aż do hali, przez którą można było przejść za granicę turecką. Pasterze, myśliwcy i ściągani zbiegowie szli po tym gżemście napowietrznym, modląc się i zamykając oczy. Ale z pomiędzy nieoswojonych ludzi większa część nie

gła przetrzymać widoku okropnej przepaści, i dobrowolnie rzucali się z gżemsu w otchłań.

Na tej ścieżynie, za poradą bogobożnego przeora, siłacz Miklos został przewodnikiem. Ilu przeprowadził zbiegów i kupców, za ile milionów przeniósł drogocennego towaru — nikt nie obliczy. Dostyc, że wieść o przewodniku prędko obiegła Węgry, i ruch podróżnych przez zawrotną ścieżkę wzmógł się bardzo. Jaka zaś była wdzięczność ludzka, dowód w tem, że po trzech latach ojcowie benedyktyni wybudowali srebrny ołtarz z

ofiar tych, co przechodzili ścieżką, bo pobożny Miklos cały zarobek oddawał zakonowi.

Pewnego dnia (było to w pięć lat po opuszczeniu klasztoru) bogobojny przewodnik Miklos wyszedł o świcie z jaskini, gdzie zamieszkiwał, na brzeg wąwozu, oczekiwać podróżnych, którzyby posług jego potrzebowali. I, niedaleko strasznej ścieżki, ujrzał wśród lasu dwa konie, parę okutych skrzynek, tudzież podróżnego, który twardo spał pod drzewem.

Już Miklos schylił się, aby zbudzić śpiącego, gdy wtem ktoś trącił go w ramię. Miklos odwrócił się i zobaczył chudego człowieka w czarnym odzieniu, ze śniadą twarzą i nadzwyczaj bystremi oczyma.

— Wiesz ty — zapytał Miklosa śniady człowiek — wiesz, kto jest ten śpiący?...

— Pewnie jakiś nieszczęśliwy, który przez moją ścieżkę musi udawać się do Turcji — odpowiedział Miklos.

Śniademu człowiekowi jeszcze mocniej błysnęły oczy.

— To jest — mówił powoli śniady człowiek — to jest jasnie wielmożny Gejza...

Miklos osłupiał. Nagle krew uderzyła mu do głowy. Porwał ogromny kamień i rzucił się do śpiącego. Lecz gdy podniósł ciężar, przysły mu na myśl słowa, które powtarzał przy każdej ciężkiej pracy:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze.”

— Walże go!... — szepnął śniady człowiek. — To Gejzu, który zabił twego ojca...

„Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą” — myślał pobożny Miklos i opuścił ręce.

— Pił krew twojej siostry... wbił na pal brata... Teraz zrabował klasztor i z klejnotami ucieka do Turcji!... — szeptał ten śniady.

— Panie!... ku ratunkowi memu pokwap się... — rzekł Miklos, nie wiedząc, co począć.

Chudy człowiek odskoczył i zawołał:

— Nie gadaj głupstw, ty klasztorny wywłoko, tylko rozbij łeb temu, który wymordował ci całą rodzinę!...

— Miłujcie nieprzyjacioły wasze... — powtarzał Miklos, którego niewielu modlitw nauczone w klasztorze.



Czarno ubrany człowiek zazgrzytał zębami i, ścisnąwszy pięści, rzekł:  
— Głupia pała benedyktyńska! cały świat krwawymi łzami zapłacze na niego i na ciebie, jeżeli puścisz go żywym...

Spojrzał z nienawiścią na Mikłosa i skrył się między drzewami.

W tej chwili obudził się Gejza. Usiadł, ziewnął, przetarł oczy i, zobaczywszy Mikłosa, spytał:

— Ty jesteś przewodnik?

— Ja jestem przewodnik Miklos, jak pan jesteś jaśnie wielmożny Gejza, rabuśnik i morderca...

Magnat zerwał się, ścisnął szablę w rękę i krzyknął:

— Zdaje mi się, że łżesz, chamie! Bo gdybyś był Miklosem, zadławiłbyś mnie, kiedym spał...

— Jestem Miklos, Boży sługa, i spełniam wolę Pana mego, który kazał miłować nieprzyjacioły, a czynić dobrze tym, co nas nienawidzą...

Gejza rozśmiał się.

— Jeżeli tak nakazał ci twój Pan, to powinienesz mnie przeprowadzić żywego i zdrowego przez tę ścieżkę...

— Przeprowadzą...

— A uważaj!... bo mi się kręci w głowie...

— Będę uważał...

— To może i przeniesiesz moje kufry? — spytał Gejza.

— Przeniosę...

Włożył sobie na plecy bogobojny Miklos kufry, napełnione benedyktyńskimi klejnotami, pod których ciężarem ugiwały się konie, i rzekł:

— Idźmy, panie.

Gejza zdziwił się na widok takiej siły.

— Prawdę mówili mi ludzie o twojej mocy i o niewinności twojej siostry... Maryna jej było na imię, czy jak?...

— Panie, ku ratunkowi memu pokwap się! — szepnął Miklos, czując, że wobec naigrawań Gejzy wściekle zwierzę budzi mu się w sercu.

Doszli lasem do ścieżki. Wtedy Gejza spojrzał na nią, pokręcił wężą i mruknął:

— Oj! widzę, że cham ukręci mi tu szyję... Ale pójdę, bom przecie magnat węgierski.

I zaczął iść Gejza bokiem niezmiernej skały, ścieżyną wąską, po oślizgłych kamieniach, a za nim Miklos z ciężkimi kuframi. Niekiedy, zapierając oddech, trzeba było przyciskać się do mokrej ściany, z głową schyloną pod urwiskiem, z jedną nogą opartą na kamyku, niewiększym od pięści, z drugą zwieszoną nad przepaścią, gdzie w głębi, na dziesięć wież kościelnych, huczał potok, podobny dalekiemu grzmotowi. Raz wpadł na nich gęsty obłok i tak oślepił Gejzę, że bezbożnik zachwiał się i byłby runął w otchłań, gdyby Miklos nie pochwycił go za kołnierz i jak szczeniaka nie zaniósł na bezpieczniejsze miejsce.

Tu już nie było widać przepaści, tylko błękitną mgłę w dole. Zadyszany Gejza przetarł oczy krwią nabiegle i rzekł:

— Za twego ojca dam ci dziesięciu prawdziwych

murzynów... za twoją siostrę dziesięć młodych Turczynek, tylko idź ze mną do Stambułu!...

Miklos, słuchając tych bluźnierstw, gryzł sobie palce do krwi. Chwilami chciał porwać Gejzę, pogruchotać mu kości i rzucić się razem z nim nadół; ale wspomniawszy słowa: „Miłujcie mieprzyjacioły wasze!...” — opamiętał się.

— No, i dlaczego, chamska duszo, nie chcesz iść do mnie w służbę?...

Dam ci pół kufra klejnotów! — mówił Gejza.

— Bo już służę Panu Bogu mojemu — odpowiedział Miklos.

— Głupiś, niema żadnego Boga... Gdyby był, wdawałby się ze mną, potomkiem Arpada, nie z klasztornym wywłoką... Jest tylko świat, a w nim rozum, który wy, klechy, nazywacie szatanem!... — wrzeszczał Gejza.

— Gdyby Boga nie było — rzekł sprawiedliwy Miklos — leżałbyś już, panie, tam... o!... rozbity jak mysz, którą wóz przejechał...

Gejza wyciągnął szablę.

— Nie stulisz ty pyska?... chcesz, żebym zrobił z tobą, co z twoim ojcem?... — wołał rozjuszony.

— Schowaj pałasik — odpowiedział Miklos. — Nie porąbiesz nim ani tej skały, żeby była niższą, ani przepaści, ażeby stała się płytszą, a dla mnie tyle on znaczy, co wiór.

Gejza umilkł. Pięli się po kamiennej ścianie coraz wyżej, aż tam, gdzie wąwóz ścieśnił się na szerokość bramy i skąd rzucał się ogromny wodospad. Już byli na szczycie. Za sobą mieli przepaść, przed sobą

rozległą dolinę, na której nic nie rośło, chyba duże głązy dziwnych form, gęsto ułożone jeden przy drugim. Z prawej i lewej strony nad dolinę wznosiły się szare skały, zavalone śniegiem, który ciągle topniał, podsycając mnóstwo strumieni. Była ich taka obfitość, że gdyby przez wodospad nie staczały się w otchłań, mogłyby utworzyć jezioro...

Gejza pilnie obejrzał dolinę, potem ścieżkę, którą się tu dostali; coś zapisał, wyrysował i rzekł do Miklosa:

— Podła jest ta twoja ścieżka, ale oskardami i prochem możnaby z niej zrobić gościniec, nawet dla wozów.

— Pewnie, że tak — odparł Miklos, ciesząc się w duchu, że magnat wybuduje porządną drogę na chwałę Bogu i pożytek ludziom.

Doszli do końca doliny, a następnie Miklos sprowadził Geję z jego kuframi wdół, na turecką stronę. Złazić trzeba było z bardzo wysoka, ale już nie tak przepaścisto.

Gdy już mieli rozchodzić się, Gejza odezwał się na pożegnanie:

— Bądź zdrow, chamie, kiedyś głupi, i zamiast trzymać się mnie, jaśnie wielmożnego Gejzy, służysz takiemu Panu, którego nawet nie stać, żeby ci buty sprawił.

Minęła jesień, zima. Na wiosnę spostrzegł Miklos, że coraz mniej podróżnych przechodzi w stronę Turcji, ale że natomiast z podgórskich wsi poczynają ludzie uciekać w głąb kraju. Spotkawszy taką gromadę, dowiedział się, że zbrodniarz Gejza zwąchał się z sułtanem, zebrał pół miliona niewiernych i ciągnie z nimi naprzód na Węgry, potem na zawojowanie całej Europy.

— Nie wiem, czym ja dobrze zrobił — pomyślał Miklos — że puściłem zdrowo tego grzesznika?...

I trapił się do wieczora. Ale w nocy miał sen. Najpierw pokazała mu się dusza matki i rzekła:

— Synu mój, Miklosu! Iżeś uratował Geję, naszego wroga, wydobyłeś mnie, ojca i brata z mąk czyścowych, gdzie paręset lat wypadłoby nam cierpieć, gdyby nie twoje posłuszeństwo boskim nakazom.

A po matce ukazał się Miklosowi duch przeora benedyktynów, który mówił:

— Bracie! My, pomordowani przez Geję zakonnicy, donosimy ci, że przez twoją miłość dla nieprzyjaciela ulżyłeś

nam mąk czyścowych. Pierwej bowiem tonęliśmy na sto łokci głęboko w ogniach doczesnych, a teraz siedzimy tylko po łopatkę. Bo, mój bracie, nawet w świątobliwym życiu klasztornym nie jest człowiek wolny od grzechu...

Sen taki pokrzepił Mikłosa i umocnił go w wierze.

Jednego dnia bogobojny przewodnik usłyszał w górach hałas, a myśląc, że idą podróżni, pobiegł czem prędzej swoją ścieżką na dolinę. Im więcej zbliżał się do niej, tem lepiej odróżniał łoskot toporów i wybuchy prochowe. Wdrapał się więc na szczyt sąsiedniej skały i spojrzął wdół. Po dolinie uwijało się kilka tysięcy ludzi w szatach białych, czerwonych, zielonych i w turbanach na głowie. Z wielkim pośpiechem rozbijali oni kamienie i budowali drogę od Turcji do Węgier.

— Oczywiście są to poganie — myślał pobożny Mikłos. — A jeżeli poganie, więc nieprzyjaciele wszystkich chrześcijan; ergo... powinienem ich miłować i dobrze im czynić.

Zeszedł tedy w dolinę, między Turków, którzy w pierwszej chwili chcieli go zabić, co jeszcze bardziej utrwaliło Mikłosa w miłości dla nich. Na szczęście, znalazł się jakiś cygan, który poznał bogobojnego przewodnika. Więc poszwargotał z pogaństwem, opowiedział im o sile Mikłosa i uratował mu życie. Nie zabili go, lecz natomiast kazali ciężko pracować. Trudził się tam biedak niemało: odrzucał kamienie, dźwigał beczki z prochem, nawet armaty. A gdy ustał ze zmęczenia, okrutni Turcy chłostali go batami z bawolej skóry, wciąż zmuszając do najniebezpieczniejszej pracy.

Między poganami uwijał się Gejza. On wskazał im to przejście do Węgier, on kierował budowaniem drogi, on zakładał miny prochowe, gdzie należało. Zobaczywszy zaś Mikłosa, kazał go okuć w kajdany i smagać jeszcze lepiej.

— Tak, chamie, płaci twój Niebieski Pan za służbę! — mawiał, śmiejąc się, bezbożnik.

Nareszcie sprzykrzyła się Mikłosowi poniewierka wśród pogan. Pewnej nocy zerwał łańcuchy i znajomą sobie szczeliną uniknął na szczyt skały, skąd mógł przypatrywać się wszystkim czynnościom Turków.

Niekiedy wyrzucał sobie, że nie miłuje nieprzyjaciół, ale wnet pocieszał go rozsądek:

— Gdybym sto lat mieszkał w klasztorze i biczował się co piątek, jeszcze na grzbiet mój nie spadłoby tyle batów, ile mi dali niewierni. Wdzięczny im jestem za pracę nad zbawieniem duszy mojej, ale... muszę się przecież i wygoić...

Tymczasem Turcy, pod kierunkiem Gejzy uporządkowawszy dolinę, wzięli się do strasznej ścieżki Miklosowej, ażeby przerobić ją na gościniec do Węgier. Rąbali skalę oskardami, rozsadzali prochem, wiercili korytarze, budowali mosty na łańcuchach. Ilu przy tem stoczyło się ludzi w przepaść, Bogu wiadomo; lecz po dwóch tygodniach wykuli gościniec tak szeroki, że można nim było prowadzić konie, wozy i armaty.

Od cygana, który, porzuciwszy Turków, uciekał do chrześcijan, Miklos dowiedział się, że między Gejzą i wezyrem, dowodzącym sułtańską armją, wybuchły nieporozumienia. Pokłócili się o jakąś dziewczynę, Czerkieskę. Gejza porwał się z szablą na wezyra, a nie mogąc go dosięgnąć, umknął w góry; wezyr zaś przysiągł, że hardego magnata wbije na pal. Wyznaczył nawet do tej czynności jednego ze swych oprawców, olbrzyma murzyna, który zatrzymywał w biegu armaty, ciągnięte przez cztery konie.

— Będzie bieda z Gejzą! — rzekł Miklos po tej opowieści.

— Albo z wezyrem! — odparł cygan. — Bo Gejza po obu końcach doliny ma w tajemnicy zakopane prochy; jeżeli wysadzi je, zepsuje drogę, i Turcy nie wejdą do Węgier. A wtedy wezyr siądzie na pal z rozkazu sułtana.

Usłyszawszy to, Miklos pomyślał, że jednak życie

klasztorne nie naraża duszy człowieka na tyle pokus i niebezpieczeństw, co życie świeckie.

Siedząc na szczycie skały, skąd było widać Turcję i Siedmiogród, Miklos niebawem ujrzał pochód wojsk pogańskich przez dolinę.

Szli bez przerwy, w dzień przy świetle słońca, w nocy przy krwawym blasku pochodni. Jezdni, piesi, armaty i wozy ciągnęli jak niezmierna rzeka, która podnosiła się od strony tureckiej wgórze, wlewała się całym ogromem w górską dolinę, a z niej gościńcem, przerobionym z Miklosowej ścieżki, bystro spływała na Węgry.

W oczach mroczyło się bogobojnemu przewodnikowi na widok tylu tysięcy ludzi w białych, czerwonych i zielonych turbanach, w baranicach czarnych lub siwych, w żelaznych i mosiężnych szyszakach. Przez turkot

ich dźwięk, przez gwar ich rozmowy już nie przedzierał się ani huk wodospadu, ani nawet odgłosy burzy, szalejącej nad górami. Szli tak dniem i nocą, przez cały tydzień. Trzecia część ich leżała jeszcze obozem na równinach tureckich, trzecia część rozbijała namioty w górskiej dolinie, a trzecia część już zwała się na Węgry, w liczbie dwustu tysięcy ludzi i dwustu armat. Jak świat światem, nie widziano takiej powodzi heretyków.

W ciągu lat, poprzedzających najazd, niesforne państwa chrześcijańskie szarpały się pomiędzy sobą. Bił Anglik Francuza, Hiszpan Włocha, Włoch Niemca, i wszyscy gubili mnóstwo dusz, odkupionych przez mękę Zbawiciela. Lecz gdy rozeszła się wieść, że wielka armja turecka od Węgier zalewa Europę, Bóg oświecił panów chrześcijańskich: pogodzili się między sobą i jak jeden mąż ciągnęli do tej równiny w Siedmiogrodzie, na którą przez Miklosową ścieżkę lała się powódź niewiernych.

Ze szczytu skały patrzył Miklos na rzeczy nadzwyczajne. Widział, jak tureckie zastępy wychodziły z wąwozu,

rozlewając się na węgierskie pola i łąki. Tylu ich było po całotygodniowym wypływie, że zdawali się jak pstry dywan, uszyty z białych, czarnych, czerwonych i żółtych kawałków, ze dwie mile długi, z pół mili szeroki. A ilu ich jeszcze obozowało w górach, a ilu na tureckiej stronie!...

Przeciw wyjącej tęczycy, której przybywały coraz nowe posiłki, sunęła od zachodu połyskliwa linja wojsk chrześcijańskich. Jak ogniwa żelaznego łańcucha, szły naprzód kirasjerskie pułki, za nimi roje lekkiej jazdy wszystkich narodów, a w przerwach między konnemi pełzały leniwie kolumny piesze, podobne do wielkich jeźców.

Jeszcze rycerstwo chrześcijańskie było o godzinę marszu, kiedy wezryr począł szykować swoje zastępy. Z dwumilowej długości poganin skurczył się, jak zły robak, gotujący się do skoku. Polem pękł wzdłuż i zmienił się we dwa żywe mury, każdy długi na milę, gruby na piętnastu ludzi. Mury te stały za sobą w odległości tysiąca kroków. Gdyby pierwszy rozbito, zostawał drugi, zasilany nowemi kolumnami od wąwozu.

Miklos, choć nie wojak, tylko pokorny sługa Boży, widząc to wszystko jak na dłoni, rozumiał, że jeżeli nie będzie cudu, chrześcijanie legną u tych dwu ścian, reszta zaś Turków, obozująca w górach i za górami, niby po

moście, wejdą do Europy po zwłokach swoich poprzedników i przeciwników.

Okolo południa nadciągnęło Chrystusowe rycerstwo, i zaczął się bój armatnimi pociskami. Było tam wiele dymu i huk, ale mało krzywdy. Kule tureckie jakby ześlizgiwały się po kolumnach, w żelazo zakutych; kule chrześcijan tonęły w cielsku pogańskim, jak igły w stogu siana. Nagle łoskot armat umilknął, ucichł gwar ludzki, a rozległ się dziwny odgłos. Coś zadudniło i zachrzącało, jak po bruku wozy naładowane żelastwem; potem nastąpiło uderzenie, jakby cały ten ciężar padł z góry w piasek, i ze stu tysięcy piersi wybuchnął jeden okrzyk: a... a... a!... Pięć pułków kirasjerskich uderzyło w środek tureckiej

ławy, miażdżąc siebie i pogan, ludzi i konie. Ściana pękła, a na środku utworzył się krwawy stos ciał, tak pogniecionych, jakby na ludzkie mrowisko zwałił kto skałę.

Za kirasjerami przeleciała lekka kawalerja i przypelźnęły piesze kolumny, rąbiąc, koląc i strzelając rozbitego nieprzyjaciela.

Ale druga ściana turecka stała w miejscu nietknięta. Poganin wysunął przed siebie wozy i drewniane kozły i czekał natarcia. Tak go nic nie obchodził upadek pierwszej linii, tak potężna rezerwa nadciągała od gór, że Turcy zamiast martwić się, śpiewali i bębnil. Rozumieli, że w tym zwycięskim boju chrześcijańska armja stopniała do połowy, i widzieli, że im samym posiłki od wąwozu nadchodzą. Wciąż nadchodzą... wciąż nadchodzą!...

Ze skały, na której znajdował się Miklos, równie dobrze było widać pole bitwy, jak i górską dolinę, skąd przepaścistym gościńcem, obok wodospadu, spływała nadół druga armja pogańska.

Widząc garstkę zwycięskich chrześcijan i niezmiernie tłumy jeszcze nietkniętych nieprzyjaciół, którzy, niby wezbrany potok, rwali się nadół, do boju, pobożny Miklos uczuł trwogę i żal. Ukląkł na szczycie, podniósł ręce do nieba i głośnym płaczem wzywał boskiego miłosierdzia.

Wtem ktoś trącił go. Miklos obejrzał się i zobaczył Gejzję. Magnat miał poszarpaną odzież i niedobry ogień w oczach.

— Chamie! — zawołał — jak tu zejść do jaskini, co jest przy wodospadzie?...

Około wodospadu Turcy ciągle szli tłumem, a za maszerującą cizbą kipiała w dolinie sto razy liczniejsza czerń i wyla z gniewu, aby spaść nadół i dokończyć pogromu.

Na widok rozjuszonych pogan, którzy zagładą grozili światu, na widok zbrodniarza Gejzy, który ich sprowadził, bogobojny Miklos stracił panowanie nad sobą.

— Pięknie zrobiłem — pomyślał — miłując takiego

nieprzyjaciela! I piękne są boskie rozkazy, przez które wylewa się tyle krwi!...

A schwyciwszy Geję za kołnierz, krzyknął:

— Wpadłeś mi znowu w ręce, Judaszu!... Wybaczyłem ci własną krzywdę, ale już ludzkiej nie daruję... Idźże do swoich Turków najbliższą drogą!...

Podniósł go i już chciał wybladłego cisnąć w wodospad, na dwadzieścia piętr głęboko, gdy nagle ujrzał przed sobą postać świętego Benedykta. Święty pogroził Miklosowi.

Zdumiony olbrzym puścił Geję. Owszem, widząc tak wyraźny znak nieba, wskazał bezbożnikowi drogę nadół, do jaskini przy wodospadzie, obok którego maszerowali Turcy.

A na równinie wciąż pasowało się chrześcijańskie męstwo z turecką liczbą. Już i druga ściana pogan, wyszczerbiona w kilku miejscach, chwiała się pod ciosami, ale chrześcijanie wprowadzali w bój przedostatnie kolumny, kiedy Turkom napływały coraz nowe. Było wyraźne, że nim ostatni oddział pogan zejdzie z górskiej doliny, już ostatni rycerz Chrystusowy odda Bogu zmęczonego ducha.

Wtem w dolinie, mrowiącej się tureckim żołdactwem, tuż obok wodospadu, błysnęło, i rozległ się huk piorunu. Skała, na której stał Miklos, drgnęła, i wielki jej odłam upadł na początek gościńca, zbudowanego przez Geję. Zamknął Turkom drogę i zatkał ujście potokowi, który, zamiast spadać nadół, cofnął się i rozlał po dolinie. Jeszcze Miklos nie ochłonał ze zdumienia, kiedy na drugim końcu doliny rozległ się nowy grzmot. Odłamy kamieni wysoko poleciały w górę i z łoskotem posypały się między Turków, wołających wielkim głosem:  
— Zdrada! zdrada!...



To Gejza i jego pomocnicy wysadzili prochami skały przy wejściu i wyjściu z doliny. Część armji pogan, która leżała obozem po tureckiej stronie, już nie mogła wejść do Węgier, gdyż zepsuto jej drogę. Walczący na równinie z

chrześcijańskim rycerstwem pozbawieni zostali posiłków, a ze sześćdziesiąt tysięcy niewiernych znalazło się zewszed stron zamkniętymi w dolinie, którą szybko napęniała woda, nie mająca odpływu.

Nim zapadł wieczór, armja turecka po stronie Węgier została doszczętnie rozbita i zabrana w niewolę. A gdy zaświtał nowy dzień, Miklos ze szczytu swej skały ujrzał okropne widowisko.

Zamknięci w dolinie Turcy mieli już wody po ramiona; potok bardzo bystro przybierał. Napróżno nieszczęśliwi próbowali wdrapywać się na skały: co który wszedł, ześlizgiwał się w wodę, jak mysz w polewanym garnku,

Z początku klęli i grozili niewiadomo komu. Wreszcie poznawszy, że śmierć nieunikniona, zaczęli wznosić ręce ponad wzburzone fale, błagając Boga o miłosierdzie w życiu przyszłym.

Zbliżało się ono do biedaków wielkim krokiem, bo nadomiar zakłębiły się chmury, i na tonących zaczął padać rześisty deszcz.

Pobożnemu Miklosowi serce ścisnęło się na widok tej niedoli. Nigdy jeszcze tak gorąco nie pragnął miłować nieprzyjaciół i czynić dobrze nienawistnym, ale co mógł poradzić przeciw rozpętanym żywiołom?...

Wtem Bóg, litościwy ojciec nawet dla pogan, natchnął Miklosa świętą myślą. Widząc, że na tonących pada deszcz, pobożny przewodnik pobłogosławił go i, przeżegnawszy dolinę, zawołał:

— Ja was chrzczę!... W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Amen...

Na powierzchni wód widać było już ogolone głowy.

Ledwie skończył chrzest bogobojny Miklos, wnet przeleciało nad nim parę białych gołębi, potem kilka... kilkanaście... W zalanej dolinie jęki milkły; coraz więcej głów znikało pod wodą, a nad Miklosem coraz więcej przelatywało

gołębi. Nareszcie zerwały się takie roje, że od blasku ich skrzydeł widać było ma chmurach jasną łunę.

Potem znowu przeleciało tylko kilkanaście Bożych ptaków... Potem kilka... Dwa... Wreszcie jeden — ostatni...

To były dusze Turków, zbawionych dzięki sakramentowi Chrztu Świętego, którego w ostatniej chwili udzielił im Miklos.

Opowiadający zakonnik odpoczął, zażył tabaki i mówił dalej:

— W rok po nadzwyczajnych wypadkach, kiedy pobożny Miklos, już nie mogąc być przewodnikiem, siedział w górach jako pustelnik, stanął przed nim Gejza, ubogo ubrany, siwy, z wyrazem przerażenia w oczach.

Wpatrzył się w Miklosa i, zdziwiony, rzekł:

— Nie uciekasz przede mną?... Ty pierwszy nie uciekasz od nieszczęśliwego?...

— Cóż ci dolega, bracie? — zapytał go pustelnik.

— Co?... — Tu Gejza porwał się za głowę. — Wszyscy mnie unikają, nawet dzikie zwierzęta... Tej zimy, gdy błąkałem się po lasach, usłyszałem głos, wołający ratunku. Był to człowiek, którego napadli wilcy.

Przybiegłem, nawet bez kija, i... wilki pierzchły. Ale ów człowiek, gdy popatrzył na mnie, zawołał: „Przeklęty!...” — i... umarł... Wreszcie i ty pewno uciekniesz, bo... spojrzij tylko na ślady moich nóg...

Miklos spojrział i przeżegnał się: ślady Gejzy były krwawe...

— Jestem przeklęty!... — mruczał magnat.

— Miłosierdzie Boże jest nieograniczone — odparł Miklos.

— Tak mówisz?... Nauczże, co mam robić, ażeby mi Bóg przebaczył, choćby po skończeniu, świata...

— Jednego mogę cię nauczyć — rzekł pustelnik. — Miłuj nieprzyjacioly twoje i czyń dobrze tym, którzy cię nienawidzą.

— W całym chrześcijaństwie nie znajdę człowieka, któryby przyjął moje usługi — westchnął magnat.

— Więc idź między jeńców tureckich.

I poszedł Gejza, znacząc za sobą krwawe ślady. Niedaleko pustelni znalazł gromadę Turków, którzy, zakuci w łańcuchy, o głodzie i chłodzie pracowali nad budową zamku dla jednego pana węgierskiego. Gejza zbliżył się do jeńców i zaczepił najbiedniejszego:

— Jam jest Gejza, który was wtrącił w nieszczęście. Daj mi, bracie, twój łańcuch i pozwól zastąpić się w pracy.

Turek spojrział na niego ze wzdgarą i wziął się do roboty.

Gejza spostrzegł w tłumie młodego bimbaszę, z którym znał się kiedyś, i rzekł:

— Jusufie bimbaszo, jesteś człowiek młody i oświecony, nie taki gbur, jak tamten. Więc pozwól mi zastąpić cię w niewoli, a sam wracaj do rodziców, którzy wylewają łzy po tobie...

Ale Jusuf plunął mu w twarz i odszedł za innymi.

Zobaczył to pewien stary derwisz i, ulitowawszy się, powiedział do pokutnika:

— Gejzo, w naszych oczach podlejszy jesteś od psa parszywego. Ale, jeżeli chcesz zmazać winy twoje przed Bogiem, idź do tego oto lasu... Tam tuła się oszalały murzyn, który był katem wezyra, i od roku wzywa cię, abyś do niego przyszedł. Sądzi bowiem, że odzyskałby rozum, gdyby mógł napić się twojej krwi...

Gejzie włosy na głowie powstały i zemdlął z trwogi. Ale, ocknąwszy się, poszedł do lasu, gdzie biegał szalony murzyn, który wciąż wołał ogromnym głosem:

— Gejzo!... Gejzo, gdzie jesteś?...

— Jestem! — odezwał się pokutnik.

Murzyn nadbiegł, dysząc jak wściekły buhaj, a suche gałęzie trzeszczały mu pod nogami jak pod stopą niedźwiedzia. Ledwie spojrzał na Gejzę, zdarł z niego odzież, utopił

zęby w jego ramieniu, oderwał kawał ciała i napił się krwi. Potem zapalił ogień, a uszkrobawszy z sosen żywicy, rozgrzał ją i zalał nią ranę.

Gejza cierpiał bez jęku. A gdy murzyn zasnął, Gejza czuwał nad swoim katem, lub zbierał w lesie korzonki, aby go nakarmić.

Taką mękę po wiele razy zadawał pokutnikowi szalony murzyn. Gryzł mu ręce i nogi, pił jego krew i zalewał rany roztopioną żywicą. Ale Gejza radował się, bo już nie zostawiał za sobą krwawych śladów.

Nareszcie pewnego dnia murzyn, wypawszy się przez całą dobę, powstał z barłogu przytomniejszy i powiedział do Gejzy:

— Tyżeś to, zdrajco, który zgubiłeś sułtańską armję? i mojego pana, wezyra?... Wezyr nie żyje, ale ja muszę cię wziąć na męki, bo tak mi przykazał, umierając.

— Jakie on mi jeszcze męki chce zadać? — pomyślał Gejza. A chociaż miał nadludzką odwagę, jednak począł drzeć jak schwytyany zając, i zimny pot oblał mu ciało.

— Chodź, Gejzo — rzekł murzyn.

Weszli na wysokie wzgórze wśród lasu. Tam oprawca związał pokutnika i za ręce powiesił go na wysokiej gałęzi. Potem rozcinał mu skórę na piersiach i plecach i darł z niej pasy, a krwawe smugi zasypywał gryzącym popiołem, albo zalewał roztopioną żywicą.

Gejza cicho jęczał, ale nie mógł uronić ani jednej łzy. Tyle łez wylała przez niego ludzkość, że on sam już nie miał czym płakać.

Wreszcie kat rozpałił pod wiszącym niewielkie ognisko i piekł mu ciało od dołu. A gdy po dwóch godzinach tej próby spojrzął na twarz pokutnika, zobaczył w niej tak straszną boleść, że zląkł się własnego dzieła i uciekł.

I wisiał tak Gejza na Wysokiem wzgórzu, skąd między

drzewami widział równinę, gdzie rok temu chrześcijanie wygrali bitwę. Widział pola pełne zbóż, od dwóch lat nieżętych, i ogrody pełne owoców. Na te pola wszystkimi drogami zjeżdżali ludzie, ażeby osiedlić się na nowo. Spalone chaty były już odbudowane i drugie tyle przybyło nowych. Łąki miały pstry kolor od nadmiaru bydła, owiec i koni, które pasły się na nich.

— Bóg już zatarł ślady wojny — myślał pokutnik. — Może tak i moje grzechy zatrze?...

Ale jeszcze nie miał nadziei.

Wtem zobaczył kilka kobiet, które, śmiejąc się i śpiewając, szły z produktami na targ. A gdy bliżej podeszły, usłyszał rozmowę.

— Piękny rok! — mówiła jedna — takiego nie pamiętają najstarsi. W pszenicy dorosły człowiek chowa się z głową, a niektóre kłosa bodaj czy od kocich ogonów nie są większe.

— I winogrona obrodziły — rzekła najmłodsza. — A tam, gdzie padło najwięcej rycerzy, jest tak piękne wino czerwone, że po dwa dukaty nie kupisz beczki.

— Z ludźmi tak samo — dodała trzecia. — W każdej wsi od rana do nocy i od nocy do rana słyhać muzykę; księża nie mogą nadażyć ze ślubami, a w małżeństwach już nie rodzi się po jednym dziecku, tylko po dwoje, albo po troje odrazu.

— Bogu dzięki! — chciał powiedzieć Gejza, ale tylko jęknął żałośnie.

Kobiety, spostrzegłszy człowieka, wiszącego za ręce i okrutnie pokaleczonego, zaczęły uciekać. Lecz opamiętały się i wróciły do pokutnika.

— Trzebaby zwołać chłopów — mówiła jedna — ażeby go odczepili z gałęzi, bo my przecie nie damy rady...

— Ale — odpowiedziała najmłodsza — pierwszej trzeba go napoić, bo zamrze biedactwo.

Była to dziewczyna trochę podobna do córki Mikłosa Czarnego, którą niegdyś zamordował Gejza. Wyszukała długą tyczkę i, przymocowawszy do niej najśłodsze winogrono, podniosła je do spieczonych ust pokutnika. Wtedy Gejza pierwszy raz w życiu zaczął płakać i łkać... Ale nie nad swoją ogromną nędzą, tylko nad litością tej kobiety, która jakby zwiastowała mu przebaczenie w imieniu Boga.

W tym płaczu umarł Gejza i jest zbawiony. Ciało zaś jego natychmiast rozsypało się w proch: był to bowiem starzec, który już dawno leżałby w grobie, gdyby nie podtrzymywały go sztuki djabelskie.

Otóż, rozważcie sobie, panowie — kończył starzec. — Pan Bóg użył występków Gejzy do zbawienia rodziny Mikłosa Czarnego, do ukarania swarzących się panów chrześcijańskich, do zatamowania wylewów tureckich i do nawrócenia sześćdziesięciu tysięcy niewiernych. Ale wszystkie te cuda nie stałyby się, gdyby pobożny Mikłos nie wykonywał przykazania: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.” Przykazania boskie są praktyczne, moi panowie!...

Muszę dodać, że pustelnik Mikłos długo żył w swoich lesistych górach i dobrze służył ludziom. Ale świętym nie został, ponieważ raz zawahał się w wypełnieniu Bożego rozkazu.

— Ciekawa to legenda — odezwał się sędzia — tylko... nie grzeszy prawdą. Historia o niczem podobnem nie wspomina.

— Jakto nie?... — wybuchnął starzec. — Gdybyś pan dobrodziej zwiedzał nasz klasztor przed trzydziestoma laty, widziałbyś to wszystko dokładnie wymalowane na obrazach. Bitwę chrześcijan z Turkami... dusze nawróconych pogan, ulatujące nad wodą... nawet Gejzę, wiszącego na drzewie. Wszystko to było!...

Gdy, pożegnawszy staruszkę, opuściliśmy klasztor, sędzia rzekł, wskazując na osiwiące mury:

— Fabryka egzaltacji i fantastycznych widzeń!... Ten oto mnich, żyjący między zmarłymi, zaczytany w legendach, tak dalece zerwał z realną rzeczywistością, że bez ceremonji tworzy sobie fakty dziejowe. Szczęściem, krytyka pozytywna potrafiłaby nawet z takiej plewy oddzielić zdrowe ziarno...

— Ale czy potrafi dać nadzieję i zbawiać dusze potępione?...

## ZAGADKA DO NAGRODY

Pewien angielski podróżnik, uczony i wiarogodny, zelektryzował Europę wiadomością, że gdzieś w Himalajach rośnie (w jednym tylko egzemplarzu) drzewo wiekuistego żywota... Ktoby zjadł, a raczej kto zjadł odrobinę tego drzewa, choćby wielkości prosa, ten nie tylko odzyskiwał młodość, ale mógł żyć jeszcze do setnego roku. Podróżnik na własne oczy widział fakira, który mając lat siedemdziesiąt, po zjedzeniu kawałka liścia z owej rośliny, cofnął się do dwudziestu lat, nie tracąc nabytej wiedzy i doświadczeń. Fakir ten, i bodaj, czy nie on jeden, wiedział, gdzie znajduje się drzewo żywota, ale wskazać go nie chciał nikomu za żadną cenę. Wiadomość dla całego rodu ludzkiego była tak doniosła, że w Paryżu natychmiast zebrał się kongres z największych uczonych, polityków i bogaczy wszystkich państw europejskich. Po krótkiej naradzie postanowiono wysłać do Indyj zbiorową delegację, z rozległymi pełnomocnictwami.

Wysłańcy nie bez trudu znaleźli fakira, który pędził życie w jednym z lasów kaszmirskich, na gruzach prastarej świątyni. Przybywszy tam, ujrzeli człowieka lat trzydziestu, który siedział na ziemi z podwiniętymi nogami, za całą odzież miał szmatę okręconą dokoła bioder i nie mył się od lat dwudziestu. Delegaci objaśnili mu cel przybycia, dodając, że — jeżeli wskaże im cudowną roślinę, wynagrodzą go po królewsku; w razie przeciwnym zagrozili mu środkami przymusowemi.

Świątobliwy człowiek długą chwilę patrzył na nich szklanemi oczyma, wreszcie odrzekł powoli, głosem zmęczonym:

— Co wy mi dać możecie?... Złoto?... diamenty?... Ilebym zechciał, tylebym ich posiadał. A może chcecie skusić mnie delikatnymi potrawami i winem, które przynosi sny czarodziejskie?... Ależ ja ciągle przebywam w świecie czarów, a do zaspokojenia mych potrzeb wystarcza kilka fig dziennie i garsteczka wody źródlanej.

Pogrózek waszych nie boję się, ponieważ śmierć jest dla mnie tylko przejściem z jednej izby do drugiej i każdą mękę mógłbym wytrzymać, gdyż kiedy zechcę, potrafię być nieczułym zarówno na rozkosz, jak i na cierpienie.

Delegaci spojrzeli po sobie strapieni.

— Aby jednak — mówił dalej fakir — przekonać was, że nie jestem niechętny, pokażę wam drzewo żywota, a nawet pozwolę je ściąć i pokruszyć na najdrobniejsze kawałki. Jeżeli uda się próba, będziecie mogli odmładzać się do końca wieków; jeżeli nie uda się — drzewo raz na zawsze zniknie ze świata. Musicie jednak spełnić mój warunek, ten mianowicie: ściąć drzewo żywota i przerobić je na okruchy będą mieli prawo tylko członkowie jednego narodu, tego, który ja sam wybiorę. Delegaci zaczęli kręcić głowami i znowu naradzać się. Fakir jakiegoś niewymienionemu narodowi chciał nadać tak wielki, tak potężny przywilej, że wobec niego wszyscy schodzili na stanowisko podwładnych. Lecz, że wieczna młodość byłaby największym szczęściem rodzaju ludzkiego, więc po niedługich wahaniach delegaci przyjęli warunek. Ażeby fakirowi ułatwić wybór, przedstawiciele wszystkich państw i ludów, biorących udział w delegacji, opisywali mu swoje zalety.

— Ja — mówił Anglik — posiadam najrozleglejsze kolonie, najwięcej okrętów, największe swobody i najdzielniejszy charakter.

— Ja — chwalił się Francuz — dałem światu wielkich bohaterów, najgenialniejsze pomysły, a dziś jestem najoszczęd-

niejszym i najbogatszym narodem świata. Wszyscy u mnie pożyczają pieniądze.

— Ja — prawil Niemiec — w niedługim czasie stworzyłem najpotężniejszy przemysł, pracę fizyczną wzmocniłem przez naukę, mam najsilniejszą armję i wojskowy porządek w państwie.

— Moja ojczyzna — zaśpiewał Włoch — jest jednym wielkim muzeum sztuki, a moi rodacy artystami z Bożej łaski...

— A ja — odezwał się Żyd — nie posiadam nic, a ile razy zbiorę majątek, zawsze napadają mnie bandyci, obdzierają i rzucają mnie do wody. Ale ja mam taką własność, że gdy z jednego brzegu wpadnę do wody goły, to zaraz na drugim brzegu wypływam... w atłasowym żupanie, sobolowej czapce, z jednym woreczkiem pełnym złota, a drugim pełnym brylantów. Fakir namyślał się przez pół godziny, wreszcie rzekł: — Niema wśród was narodu, którego mi potrzeba. Zgnębieni delegaci jeszcze raz zrobili sesję i postanowili sprowadzić przedstawicieli narodu Ypsylonów, których do tej pory nie uznawano, i ze wszelkich europejskich zebrań wyłączano.

Ledwie pokazała się nowa deputacja, fakir klasnął w ręce i zawołał:

— Oto oni!... na tych oczekiwała dusza moja!...

Ypsylonowie z początku nie chcieli jechać do Indyj, albowiem w tym czasie ojczyzna ich obchodziła uroczystość wyścigów konnych. Dopiero, gdy powiedziano im, że chodzi o szczęście całego świata, zgodzili się na wysłanie deputatów z pośród klas najbogatszych, najświetlejszych i najlepiej urodzonych. Wzięli też z sobą nieco prostego ludu do posług. Przepiękny był widok nadchodzących Ypsylonów; delegaci wszech europejscy nie mogli od nich oczu oderwać. Naprzód szła muzyka, wygrywająca jakiś taniec huczny i melancholijny. Za muzyką sunął wąż, złożony z kilkuset kobiet i mężczyzn, uszykowanych parami. Kobiety były w najmod

niej szych strojach: szeroko u góry, wąsko u dołu: mężczyźni w butach kolorowych, niemniej kolorowych kapotach z porozpruwanymi rękawami, wreszcie w czapkach formą i barwą przypominających konfederatki.

Obeszli fakira dokoła marszem wspaniałym, przyczem kilka razy zmieniali damy i dopiero, ukończywszy taniec, zapytali, o co chodzi. A gdy im powiedziano, że chodzi o ścięcie i pokruszenie drzewa żywota, kazali porobić siekiery z najpołyskliwszego metalu, pięknie rzeźbione i osadzone na misternych toporzyskach.

Właśnie mieli wziąć się do roboty, kiedy jeden z nich przypomniał, że za kilka dni wypada trzecztyśiączna rocznica zwycięstwa, które odnieśli Ypsylonowie nad narodem już nieistniejącym. Jako wierni potomkowie swoich przodków, cały tydzień święcili rocznicę i czyniliby to jeszcze przez tydzień, gdyby jeden z astronomów nie odkrył, że z powodu jakiejś omyłki kalendarzowej, trzecztyśiącolecie przypadnie dopiero za dwa lata. Gdy ze strony ogółu Europejczyków zaproponowano im, ażeby przystąpili do podziału pracy, po kilkudniowych naradach podzielili się — na



arystokratów i demokratów, chrześcijan i antychrześcijan, narodowców i kosmopolitów i rozpoczęli długie spory, które dopiero przerwał strajk ludu prostego. Polegał on na tem, że lud nie chciał przyjmować udziału w naradach, zanim będzie miał okazję usunąć się od rzeczywistej pracy. Już wówczas doszłoby do wielkich zatargów między Ypsylonami, gdyby na szczęście nie zdarzył się wypadek, który kazał zapomnieć o partyjnych niechęciach. Oto, jeden z bardziej postępowych inteligentów woził z sobą, na wszelki przypadek, skrzynię bomb dynamitowych. Pewnego dnia poruszył ją nieostrożnie, skrzynka wybuchła i pozabijała wielką liczbę mężczyzn i kobiet.

Wobec strasznego nieszczęścia umilkły niesnaski i wszyst

kie partje złączyły się dla oddania hołdu ofiarom nieostrożności. Grzebano zmarłych i oplakiwano ich cały tydzień, a mowy nad grobami i przy każdej zresztą sposobności były tak wzruszające, że nawet Anglicy i Niemcy mieli oczy zapuchnięte od łez. Jednych roztkliwiała straszna śmierć poległych, inni płakali z żalu, że przy ypsylonowskim systemie pracy ludzie nie skosztują ani odrobiny drzewa żywota!

Nareszcie jakiś poważny Amerykanin zaprosił na poufną naradę najmędrszych Ypsylonów i rzekł im:

— Drodzy, kochani panowie! Czy nie moglibyście, choć na kilka dni, zapomnieć o swoich interesach partyjnych i podzielić się ot — tak — prosto — na trzy grupy: pierwszą, któraby ścinała drzewo, drugą, któraby dyrygowała tamtymi, i trzecią, która nie będzie robiła nic, ale też powstrzyma się od przeszkadzania innym. Myślę, że do takiej organizacji wystarczy kilkanaście osób, choć trochę pracowitych i jako tako rozsądnych. Przecież tu nie potrzeba rzeczy nadzwyczajnych; w ciągu jednego dnia zetniecie drzewo, a na drugi dzień możecie się wziąć do rozdawania okruchów, zabezpieczywszy, co jest rzeczą sprawiedliwą, najpierwej samym sobie wieczną młodość. Pamiętajcie, kochani Ypsylonowie, że mając taki cudny, taki boski materiał w ręku, możecie się stać nie tylko najszczęśliwszymi bogaczami tego świata, ale i władcami reszty ludów, żyjących na kuli ziemskiej. Zastanówcie się, że takiej władzy, jak wasza, nie było jeszcze pod słońcem!...

Ypsylonowie nie tylko doskonale zrozumieli słusność wywodów Amerykanina, ale jeszcze poparli je tak pięknymi mowami, że większość Europejczyków nie mogła powstrzymać się od łez, a jednego to nawet

tknął paraliż ze wzruszenia. Ypsylonowie nie tylko głębiej rozwinęli ideę poczciwego Amerykanina, ale nadto przysięgli sobie, że natychmiast przystąpią do urzeczywistnienia tak prostego i płodnego w skutki planu. Lecz tu właśnie zdarzyło się największe nieszczęście: wszyscy bowiem pragnęli, albo dyrygować robotami, albo — nic nie

robić; ale wziąć się do ścinania, albo drobienia drzewa żywota — nikt nie chciał. Jeden był za dobrze urodzony do wszelkiej pospolitej pracy, drugi zanadto inteligentny, trzeci miał za wiele pieniędzy, ażeby potrzebował hańbić się trudem ręcznym...

Przez dwa dni ciągnęły się straszne spory, kilka osób padło od noża, albo od kuli rewolwerowej. Skończyło się na tem, że wszyscy, ale to wszyscy Ypsylonowie, choć cokolwiek zamożniejsi, jako tako dobrze urodzeni, albo odrobinę oświeceńsi — opuścili świątynię, fakira i drzewo żywota, a zostało tylko kilkanaście osób z ludu prostego.

Gdy Europejczycy do nich zwrócili się z prośbą o ścięcie i rozdrobienie drzewa żywota, odpowiedzieli, że zrobią to jak najchętniej i natychmiast. Jakoż wzięli siekiery cudnie rzeźbione i osadzone na misternych toporzyskach i poszli do drzewa. Lecz ile razy kto uderzył w pień, błyszcząca siekiera rozsypywała się w proch; okazało się bowiem, że dla oszczędzenia trudu i kosztów, ypsylońscy fabrykanci siekier, zamiast ze stali, kazali odlać je z cyny...

I otóż zdarzyła się rzecz najgorsza, o jakiej można było marzyć. Po kilkudziesięciu i kilkuset uderzeniach, wszystkie siekiery pokruszyły się, ale od drzewa żywota nawet kawałek kory nie odprysnął. Boska roślina na każdy cios odpowiadała naprzód jękiem, później skargą, wkońcu groźnym łoskotem i nareszcie... zniknęła... całkiem z powierzchni ziemi!...

Zrozpaczeni delegaci wszecheuropejscy z nienawiścią do Ypsylonów powracali do domu, a niektórzy zabijali się sami, mówiąc, że po utracie tak pięknych nadziei, życie straciło dla nich urok.

Na gruzach kaszmirskiej świątyni pobożny fakir został sam, otoczony nieliczną garstką uczniów. Pewnego razu jeden z nich zapytał:

— Mistrzu, jeżeli wolno niepokoić uszy twoje głupimi pytaniami, racz nam objaśnić, dlaczego ścięcie drzewa żywota

powierzyłeś Ypsylonom, którzy przecież zmarnowali okazję unieśmiertelnienia świata?

— Dla dwu powodów — odrzekł bogobożny. — Pierwszym jest ten, że Brama nie chciał, aby drzewo żywota dostało się w ręce ludzkie, a do urzeczywistnienia tego celu najlepiej nadawali się Ypsylonowie, którzy nic i nigdy nie zrobili porządnie.

— I naród ten już się nie zmieni?

— Tu jest drugi powód, dla którego wezwałem Ypsylonów. Klęska, jakiej sami doznali i jaką zadali światu, otworzy im oczy i — staną się rozważniejszymi, aniżeli są dzisiaj.

— Ale zmarnowali okazję do zrobienia się najpotężniejszym narodem...

— wtrącił uczeń.

Święty człowiek znowu wpadł w zadumę i długi czas siedział nieruchomy, prawie nie oddychając. Gdy ocknął się, wszyscy uczniowie skupili się u jego stóp, wiedząc, że usłyszą jakąś mądrą przypowieść. W rzeczy samej fakir odezwał się:

— Synowie moi! pewien kapłan tybetański, idąc w daleką pielgrzymkę, zobaczył przy rozstajnych drogach kapliczkę, a na jej ścianach takie przeczytał napisy: „Pobożny pielgrzymie, jeżeli pójdziesz dalej ścieżką po lewej ręce, znajdziesz bez trudu dziesięć wag czystego złota; ale jeżeli udasz się w podróż ścieżką na prawo, po wielu niepokojach i trudach, znajdziesz tylko jeden liść palmowy, zapisany sentencjami mądrymi...” A ponieważ: był to pielgrzym wzniosłego ducha, więc poszedł na prawo, znalazł palmowy liść z przepisami i stał się chlubą swego królestwa. Otóż, mówię wam, że Ypsylonowie — przypadkiem — naśladowali owego pielgrzyma; przez lekkomyślność opuścili drogę łatwego szczęścia i nie wiedząc, weszli na ścieżkę bolesnych trudów, na której jednak znajdują to, czego ich duszom brakowało dotychczas...

## ZAŚCIANKOWI POLITYCY

„Wielką bowiem czułem gorzkość w sercu mojem, patrząc na te rzeczy...”

Choroba politykomanji dotyka niekiedy ludzi młodych. — najczęściej jednakże ofiarami jej są ludzie starzy. Eksurzędnicy, kapitaliści,

eksszlagony, podeszli właściciele kamienic — oto grunt, na którym najlepiej wschodzą nasiona tak szczerze przez „Gazetę Polską” i „Gazetę Warszawską” rozsypywane.

Zaściankowi politycy w młodym wieku nie odznaczają się niczem; grają w karty, wielbią płeć piękną, jedzą, piją i... próżnują, jak wszyscy śmiertelni. Dopiero ku schyłkowi życia, gdy puls wolniej uderza, a ciało więdnije, gdy od czasu do czasu figlarna Wenus odezwie się to w tej to owej kosteczce, człowiekgaśienica przemienia się w pasorzytapolityka; kładzie wówczas w uszy bawełnę, na nogi buty filcowe, na grzbiet watowany szlafrok, na głowę czapkę z kutasem i poczyną przeżuwać gazety.

— Panie sędzio! panie sędzio!... — woła kancelista — niech się pan chwilkę zatrzyma, bo świadkowie przyszli.

— Niech idą do djabła! nie mam czasu, bo już wpół do czwartej i poczta nadejdzie.

— Ależ oni o trzy mile mieszkają.

— Daj mi acan pokój!... czy nie słyszysz, że już trąbi? I drałuje sędzia, aż błoto bryzga na ulicy, aż mu stawy w nogach skrzypią! Dokąd? Na pocztę, na pocztę!... kędy rój polityków ze wszystkich stron miasteczka podąża.

— Panie aptekarzu!... panie aptekarzu!... niechże się pan ulituje nade mną!... taż mi dziecina umrze bez lekarstwa!

— Zatrzymaj się pani godzinkę.... pół godzinki.... Ja za chwilę wrócę, ale teraz nie mogę.

— Mężu! — wołają z drugiej strony na otyłego właściciela posesji — przyszedł Mosiek kończyć interes o siano, ugódźże się z nim, bo odjedzie, a tu grosika niema w domu;

— Niech zaczeka, nic pilnego!... Ja teraz nie mam czasu. I tak jeden za drugim biegają politycy jak wyścigowe konie, — bo kto się spóźni, ten może gazety nie dostać, oni zaś, nie mając swoich gazet, czytają je o tyle, o ile pocztmajster pozwoli.

— Panie majorze dobrodzieju! — woła eksradca do eksmajora — weź gazetę do domu, to przeczytamy razem!

— Chodź radca na pocztę, bo mi przecież do domu nie dadzą.

— Jakże mogę iść na pocztę, kiedym się z tym cymbałem pokłócił?

— Ha! ja temu nie winien — odpowiada eksmajor.

A na poczcie?... Och! na poczcie, a raczej przed pocztą tłumy jakby na odpuście.

— Panie naczelniku — wołają na pocztmistrza — daj „Gazetkę” rybeńko, choćby „Kurjerka...”

— Ależ panowie, gazet jeszcze niema!

— Jakto niema, kiedy słyszeliśmy trąbkę?

— To ekstrapocztą!

— A... a... a!.. oh!... Bodaj cię piorun trząś!... A nie słyszeliście tam co nowego?

— Owszem — mówił pasażer — że Strassburg wzięli.

— Bój się ran boskich!... to być nie może!... Przecież ten Ulryk?...

— Co tam Ulryk?... wzięli i basta!

— No!... a cóż Macmachon na to wszystko?

— Cóż Macmachon? to samo, co i inni — dostał w .... i interes skończony!

— A Bazajne?

— To samo, co i inni!

— Kirje elejson!... o Chryste!... No!... a gazety prędko przyjdą?

— Niedługo!... niedługo!...

Na tem się kończy gwarliwa rozprawa z naczelnik

kiem, tłum rozbija się na pojedyncze kupki, brodzące i radzące na błocie.

— Aj! durnie, durnie te Francuzy — mówi eksporucznik — ot mnieby tam... jaby im pokazał!...

— Co ty tam kapitanie barłożysz!... znasz się na polityce jak kogut na ewangelji.

— No! prawda, ale wojna to jedna rzecz, a polityka to druga rzecz. Na wojnie to tylko bij jego w łeb i ot co jest!

— To też oni ich będą bili, będą... tylko cierpliwości!... ślepyby namacał, że chcą Niemców wciągnąć w głąb kraju jak gęsi w kojec, ażeby później karki im poskręcać!

— No!... może to być — odpowiada eksporucznik.

— Chodźno sędzia do mnie — mówi eksmajor do sędziego — nim gazety przyjdą urzniemy partyjkę szachów i coś ci pokażę, tylko mi dasz wprzód słowo honoru, że zachowasz sekret.

— Cóż to takiego, kochany majorze?

— Zobaczysz sam, ale daj pierwszej słowo!

— Najświętsze słowo honoru, że nikomu nie powiem! — mówi sędzia, a eksmajor, obejrzawszy się na wszystkie strony, wprowadza gościa do domu. Tam zamykają jedne drzwi na klucz, drugie na zasuwkę i stają naprzeciw pieca.

— No!... a co, sędzio, jakże ci się mój pomysł podoba? — pyta eksmajor gościa, wskazując na piec.

— Nic nie widzę, majorze!... niech mnie Bóg skarże!...

— Jakto nic nie widzisz, nie widzisz tych pudełek na piecu?

— No widzę!... cóż to, więc taką masę zapalek pan kupiłeś? poco?

— Ależ tam niema zapalek, to są puściuteńkie pudełka!... I jeszcze się pan niczego nie domyślasz?...

— Niczego, jak pragnę zbawienia duszy!

— Patrzcie się, gapiu: w górnym rzędzie stoją same pudła szafirowe.

— Aha!...

— Pod niemi same amarantowe.

— Aha... ha!...

— Wiesz już, co to znaczy?

— Dalibóg nic jeszcze nie wiem!...

— Bójże się Boga!... toż to francuskie barwy!

— E hee!... A gdzież kolor biały?

— Jakto gdzie? przecież piec jest biały!

— Oto! hooo!...

Pod oknami domu majora przechodzi w tej chwili eksprezydent z pocztmajstrem — obaj smutnie zwiesili głowy.

— No!... bierz djabli tymczasem politykę — mówi eksprezydent — jakże naczelnik stoisz z hreczką?

— A cóż!... gnije w polu.

— Fiu! fiu!... — a z kartoflami?

— Pi!... może dla świń wystarczy!

— Tra la la!... a po jakimuż to prowadzicie gospodarkę, naczelniku?

— At, mój radco!... w takich interesach to człowiek i głowę traci... Tu przegrana, tu przegrana i tu znowu przegrana!, klęska po klęsce, a człowiek myśli o wszystkim i truje się wszystkim, więc też djabli biorą hreczkę i kartofle. A cóż, czy radca odebrałeś już emeryturę?

— Djabła tam!... miałem onegdaj kwit posłać, alem się zgryzł tym Bazajnem i na śmierć zapomniałem!...

Oto co się dzieje w małych miasteczkach podczas wojny; ludzie, tak gorliwie zajmują się strategią, że im hreczka marnieje i emerytura w kasach miejsce zawala.

A w czasie pokoju?...

W czasie pokoju toż samo, tylko na inne kopyto: zamiast planów bitew, układa się programy wojen na wiosnę i oblicza się szansę wygranych. O Europo! Europo! Europo!... ileż to głów pracuje nad tem, aby twój pokój zakłócić!...

## ZEMSTA

Paryż. Podziemna kawiarnia, złożona z kilku sal, z których jedna zwie się indyjską. Jest to izba prostokątna, niby wykuta w skale. Sufit płaski, ozdobiony bogatymi rzeźbami roślin, poplątanych w sieć gęstą. Na środku sali, między dwoma wodotryskami, stoi spiżowy posąg Buddy, wielkości naturalnej. Izbę ze wszystkich stron otaczają kolumny pękate, od podłogi do sufitu 'okryte rzeźbami. Między kolumnami gabinety; między rzeźbionymi liśćmi i kwiatami lampki elektryczne. Sala robi wrażenie ciasnej, choć jest obszerna i, dzięki wentylatorom, doskonale przewiewana.

W jednym z gabinetów, które od sąsiednich oddzielają gęste, złożone kraty w formie gałązek bluszczu, na taboretach podobnych do kolumn i przy takichże stoliczkach siedzi trzech mężczyzn Polaków. Łysawy szatyn, z ciemną brodą i senną twarzą, ma przed sobą talerz sorbetów. Wysoki brunet, z fizjognomją drapieżnego ptaka, pije kawę, wreszcie niski blondyn, z energicznymi ruchami i oczyma stalowej barwy, miesza łyżeczką limonadę, której nie pije.

— A zatem jeszcze nie obmyśliliście niczego? — pyta niecierpliwie blondyn, Władysław Miler.

— Owszem — odpowiada Zygmunt Goldberg z twarzą drapieżną. — Dostarcz pieniędzy, ale dużo pieniędzy, i organizację z ludzi gotowych na wszystko, a przede wszystkim na śmierć, a ja podam ci taki plan, którym będziesz zachwycony.

—• Chciałbym go jednak usłyszeć, jeżeli nie starasz się o patent wynalazku — odrzekł Władysław.

— Plan nietrudny do pojęcia — mówił Zygmunt Goldberg, a w jego okrągłych oczach co chwilę zapalały się iskry. — Za jedno uderzenie — dziesięć uderzeń, za jedną ruinę — dziesięć ruin, za jedną śmierć — dziesięć śmierci...

— Takie rzeczy łatwiej proponować, aniżeli wykonać — wtrącił Miler.

— Nie możesz osiągnąć Johana, wal Fryca... nie dasz rady mocniejszemu — bij słabych... dzieci... kobiety...

— Ależ to jest podłość!...

— Za jedną ich podłość oddaj dziesięć podłości — ciągnął Goldberg. — Kiedy pantera musi walczyć ze słoniem, nie wchodzi mu pod nogi, ale go chwytą za trąbę... Nie dasz im rady w Poznaniu, idź do Berlina; wypędzą cię z Europy, szukaj ich w Ameryce, Azji, Australji... Za wywłaszczony folwark — niszczyć koleje, składy, kamienice, okręty, mosty... Nie masz bagnetów i armat, weź nóż, dynamit, arszenik, wreszcie bakterje cholery i dżumy... A dopiero kiedy całe Niemcy krzykną z bólu, rząd ich zrozumie, że w dwudziestym wieku nawet słabszego nie wolno krzywdzić, bo on w chemji, w bakterjologii znajdzie środki odwetu. Taki jest mój plan.

— Do wykonania takiego planu nie znajdziesz u nas ludzi.

— Boście durnie! Z łajdakami nie prowadzi się walki uczciwej, tylko łajdacką, gdyż oni innej nie ulegną się, a szlachetności nie rozumieją.

— Do mnie tego nie mów — odpowiedział Miler — bo ja już jestem zdecydowany na wszystko. Ale ponieważ mam tylko ludzkie siły i tylko jedno życie...

— Dlatego — ciągnął Goldberg — mówiłem o potrzebie organizacji... Przypuśćmy, że jeden człowiek wysadzi most, albo spali kamienicę... Zastrzelą go, czy zetną... Wtedy przyje

dzie drugi. Zniszczy kolej albo skład, zginie i ustąpi miejsca trzeciemu... A tymczasem w Niemczech zrobi się ruch, sejmiki. Obudzi się zmysł krytyczny i — szacunek dla etyki: nie czyni innym, czego nie chcesz, aby tobie czynili... Czy to nie piękny cel: umoralnić dzisiejszych Niemców?... — A ty, Janie, co myślisz? — zwrócił się Miler do spokojnego szatyna, Czerskiego.



— Myślę, że projekt Zygmunta jest i nieuczciwy i niedorzeczny. Było dwu chłopów, a każdy miał pełną stodołę niemłóconego żyta. Jeden wymłócił swoje żyto, część ziarna zmełł, część wysiał, a słomę sprzedał; ten zrobił wygodę innym ludziom i sobie. Ale drugi chłop użył swoich snopów na podpalanie cudzych stodół; więc zmarnował własne żyto, zmarnował dostatki publiczne, sam poszedł do kryminału, a dla siebie, dzieci i rodziny zdobył nazwę łajdaków, podpalaczy... Oto odpowiedź na projekty Zygmunta...

— A jednak bez odwetu... bez zemsty... takiej zbrodni jak wywłaszczenie Prusakom darować nie można! — rzekł Miler, bijąc pięścią w stolik.

— Narody nie poto żyją, aby się mścić, ale ażeby rozwijać się i spełniać jakąś misję cywilizacyjną — odpowiedział Jan.

— Jakże ją spełnisz, człowieku, jeżeli cię odzierają, ogłupiają i upadlają?

— zapytał Władysław. — A co to jest, wydrzeć ziemię narodowi! —

Przecież to zagłada...

— Zaraz... zaraz... nie tak prędko! — przerwał Czerski. — Już z ekonomji wiemy, że na dobrobyt i cywilizację składają się cztery czynniki. Po pierwsze — natura, czyli: ziemie orne, lasy, wody, kopalnie... Po wtóre — praca energiczna, która owe pola uprawia i eksploatuje kopalnie. Po trzecie — rozum wynalazczy, który nie tylko odkrywa tajemnice natury, ale jeszcze umie wynajdować i budować potrzebne narzędzia. I po czwarte, na co ekonomja nie kładzie nacisku, a co jest równie ważne — cnota...

— Która polega na tem, ażeby, gdy dadzą ci policzek z jednej strony, nadstawić drugą — wtrącił Goldberg.

— To jest cnota nadzwyczajna, ja zaś mówię o zwyczajnych, do których należy: wytrwałość, oszczędność, rzetelność, sprawiedliwość — odpowiedział Czerski.

— Tchórzostwo — mruknął Zygmunt.

— Odwaga, panie — mówił Czerski — odwaga, która, jeżeli potrzeba, nie lęka się niczego: ognia ani wody, piekła ani śmierci. Odwaga, która potrafi o wszystkim myśleć, wszystko krytykować, wszystko zamierzyć i wszystko wykonać...

— Nie słyszę tu odpowiedzi na moją troskę — odezwał się Miler.

— W tej chwili będzie odpowiedź — prawił Czerski. — Otóż, jeżeli Prusacy zabierają Polakom ziemię, czyli jeden z czynników dobrobytu,

Polacy muszą spotęgować trzy inne czynniki, a więc: energiczną pracę, wiedzę twórczą i cnoty. A wówczas nie tylko nie zginą, ale jeszcze podniosą się na wyższy stopień cywilizacji...

Goldberg spojrział na zegarek.

— Darujcie — rzekł — wyrabiani swemu kuzynowi posadę w banku ługduńskim i za kwadrans muszę się z kimś zobaczyć. Nie obrazisz się, Janie?

— Ja także uciekam — odpowiedział Czerski. — dziesiątej będę na zebraniu, w którym jog Ahamkara...

— Aha... ten szarlatan indyjski! — wtrącił Zygmunt.

— Jak go zobaczę, powiem ci, czy jest szarlatanem — odparł Jan. — A tymczasem słyszę, że człowiek ten czyta w cudzych myślach, widzi przez ściany, opowiada przeszłość i przyszłość. Mówią też o nim, że potrafi unosić się w powietrzu, znikać, albo ukazywać się w miejscu zamkniętym...

— Słowem: istny djabeł! — roześmiał się Zygmunt.

— O gdyby nim był! — zawołał Władysław Miler, podno

sząc ręce dogóry. — Sprzedałbym mu duszę wzamian za jego potęgę, a wtedy... pogadalibyśmy z Prusakami...

— Może o pracy, mądrości i cnotach? — zapytał Goldberg szyderczo. Władysław zamyślił się.

— Czy ja wiem? — rzekł. — A może i o twoich projektach: dynamicie, cholerze, dżumie...

— Człowieku, więc za to szatanowi oddałbyś duszę? — zawołał Czerski.

— Uspokój się, stary — wtrącił Zygmunt. — Władek jest tak dobrym politykiem, że oddaje tylko to, czego nie posiada, takiemu, który nie istnieje.

Ponieważ dwaj panowie podnieśli się ze swych słupków, Miler rzekł głosem jęklwym:

— Więc opuszczacie mnie?

— Posiedź tu, przeczytaj gazety, a za jakieś pół godziny zaczną schodzić się inni — rzekł Jan. — Może od którego usłyszysz lepszy projekt...

— O pielęgnowaniu cnoty — mruknął Goldberg, uchylając kapelusza na pożegnanie.

Miler został sam w półotwartym gabinecie. Wziął do ręki „Matina”, ale wnet odłożył go, czując, że niewiele rozumie, zapewne skutkiem, zmęczenia podróżą. Teraz dopiero zastanowił go ponury wygląd sali, ciche rozmowy gości i służba odziana biało, w turbanach, przesuwająca się jak cienie. Rozmowa z Zygmuntem i Janem nie zadowoliła go. Przyjechał tu, ażeby obmyślić jakiś praktyczny plan działania przeciw Prusakom, a zaraz na pierwszym kroku trafił na teorje, z których jedna, zalecająca mądrość i cnotę, wydawała mu się nadludzką, a druga niegodziwą choć imponującą, groźną ale niewykonalną... „Przypuśćmy — myślał — że wszyscy Prusacy zasługują

na zrujnowanie ich i wytepienie, to skądże wziąć ludzi, skąd pieniędzy potrzebnych do tej ohydnej roboty? Zresztą, może w Europie nie byłoby trudno o znalezienie zbrodniarzy gotowych niszczyć wszystko i zabijać nawet niewinnych.”

W tej chwili od zakratowanego okna z prawej strony coś jakby powiało: chłód, czy bardzo słaby prąd elektryczny. Spojrzał przez gęstą siatkę i spostrzegł niewyraźną postać ludzką.

„Piękne to były czasy — myślał — te z bajek czasy, kiedy człowiek mógł djabłu oddać duszę, a wzamian otrzymać nieprzebrane skarby, długotrwałą młodość... dywan samolot... czapkę niewidkę... kij samobij, nie licząc potężnych, a posłusznych na każde wezwanie demonów... Oj, przydałyby się dzisiaj czapki niewidki i kije, a nawet miecze samobije!...” Do gabinetu wszedł biało ubrany służący i położył na stoliku bilet.

— Ten pan siedzi obok — rzekł, wskazując na okno z prawej strony. Miler spojrział na bilet i przeczytał: „Iswar Ahamkara.” „Ahamkara? — powtórzył w myśli, usiłując przypomnieć sobie. — Ależ to chyba ów czarodziej, o którym wspomniał Jan...”

Ogarnął go podziw, a zarazem nieprzeparta chęć zobaczenia cudotwórcy. Więc choć zaprosiny były oryginalne, Władysław podniósł się i, po krótkim wahaniu, wszedł do sąsiedniego gabinetu. Siedział tam człowiek po aktorsku wygolony, z wąskimi ustami, wydatną brodą, z czołem bardzo wysokiem i wypukłym. Jego oczy zdawały się posiadać jakąś niezwykłą potęgę; nie trwożyła ona, była spokojna, ale czuleś, że opierać się jej niepodobna, jak niepodobna powstrzymać piersiami zwolna sunącej lokomotywy.

— Słyszałem rozmowę panów — odezwał się po francusku Ahamkara, wskazując Władysławowi taboret.

— Pan zna język polski? — zapytał Miler.

— Znam język silnych pragnień. Myli się pan jednak, sądząc, że duszę można sprzedać. Ją można tylko zastawić, nawet na dłuższy czas, no — i na warunkach odpowiadających pragnieniom zastawiającego.

Ahamkara wziął do ust węzowaty cybuch nargili i pociągnął kilka razy.

W gabinecie rozszedł się niebieskawy dymek mdłego zapachu.

— Radby pan dokonać wielkiej zemsty i dla niej zastawić swoją duszę. Rozumiem to i mogę dopomóc — mówił Indus. — A zapewne byłby pan ciekawy warunków?

Władysław chciał coś odpowiedzieć, ale wyrazy ugrzęzły mu w gardle i zamieniły się w rodzaj cichego łkania.

— Wyobraź pan sobie — ciągnął Ahamkara — że jesteś właścicielem — naprzykład — drzewa owocowego, które — dajmy na to — przynosi panu rocznie franka. Pan wydzierzawiasz mi to drzewo — przypuśćmy — na sto miliardów lat i żądasz, abym wypłacił ci sumę dzierżawną: sto miliardów franków w ciągu — dwudziestu lat. Ja godzę się, biorę drzewo na sto miliardów lat, a panu dostarczam pięciu miliardów franków rocznie w postaci: gotowych pieniędzy, ziemi, służby, rozmaitych machin i materiałów, a nareszcie, co bodaj że jest najważniejsze, w postaci rozmaitych porad i pomocy...

— O jakim drzewie?... — wtrącił Miler zduszonym głosem.

— Tem drzewem jest dusza pańska, z której dochód oceniam symbolicznie na franka, lecz która, w moich rękach, może być sto razy, nawet tysiąc razy więcej warta. Ale to już należy do mnie.

— Pięć miliardów franków rocznie? — szepnął Władysław.

— To tylko symbol — przerwał Indus. — Nie kładźmy nacisku na wyrazy. Słowem: daję panu, na dwadzieścia lat potęgę, jakiej nie posiada żaden król, żadne państwo, potęgę,

zapomocą której można wyrządzać całym narodom okropne krzywdy... A pan za to, na sto miliardów lat (a więc nie na całą wieczność, zaledwie na

początek wieczności), oddajesz mi władzę nad swoją duszą. Czy zgoda?

— A... czy będę mógł robić dobrze?...

— Tylko jednostkom i tylko takim, które do zemsty będą pomagały.

Przeciwników, a nawet obojętnych, może spotkać z pańskiej ręki tylko nieszczęście — odpowiedział Ahamkara.

Indus znowu kilka razy pociągnął nargilę, i mdły dym wypełnił gabinet.

Milerowi głowa zaczęła ciężać; oparł ją na rękę i myślał... myślał... Nagle spojrzął na Lidusa i rzekł stanowczym tonem:

— Zgadzam się!... zgadzam się!...

Ahamkara wydobyła pod kamizelki złoty medaljon i przycisnął go

Władysławowi do czoła. Milerowi zdało się, że ujrzał niezmierną błyskawicę, potem straszną noc... Lecz po chwili odzyskał przytomność.

— Już należysz do mnie — mówił Indus — na miliard wieków. Na dwadzieścia lat jednak daję ci władzę i wolność szkodzenia ludziom i narodom, w jakich zechcesz granicach. A teraz wypełnię jeden obowiązek i pokażę ci przyszłość.

— Czy tę, jaką ja wywołam? — zapytał Miler, już zupełnie spokojny.

— Nie. Taką, jaka byłaby, gdybyś ty nie wmieszał się do dziejów świata.

— I nic w niej nie można będzie zmienić?...

— Owszem. Właśnie w tym celu zobaczysz ją, ażebyś wiedział, co dla twoich zamiarów potrzeba zmienić. Ale zmienić tylko na gorsze!...

— A teraz... — dodał, wydostając z bocznej kieszeni kolisty przedmiot — a teraz popatrz w to lustro...

Gdy Ahamkara, przymrużywszy oczy, ciągnął dym nargili, Władysław oparł na stole zwierciadelko i z uwagą zaczął się wpatrywać. Z początku widział odbite ściany gabinetu i lampki elektryczne; powoli jednak obraz zamglił się i zniknął, a jego miejsce zajęły wizerunki nieznanymi miejsc i osób, jakieś dramaty... Milerowi zdawało się, że patrzy na kinematograf nowego rodzaju i że ktoś, stojący za nim, czy może w nim samym, udziela mu cichym głosem objaśnień.

...Piwiarnia w małym miasteczku poznańskim, zapelniona rolnikami, rzemieślnikami, handlarzami... Wszystko rodowici Prusacy, których sprowadzono na ziemię polskie. Ludzie ci, po całych dniach, bawią się, jedzą, piją, rozmawiają i śpiewają. Od kilku już lat cieszą się, że ziemia przechodzi z rąk przeklętych Polaków w posiadanie rzeczywistych

pruskich patriotów. Wznoszą toasty za pamięć Bismarcka i Bulowa i śpiewają ogromnymi głosami, że ojczyzna niemiecka może być spokojna, ponieważ nie tylko nad Renem, ale i nad Wartą czuwa straż nieusypiająca.

Lieb' Vaterland, magst ruhig sein!...

Niekiedy w piwiarni ukazuje się pruski urzędnik (typ dotychczas nieznany w państwach), którego obowiązkiem jest czuwać nad sprawowaniem się, a nadewszystko nad patriotyzmem kolonistów. Urzędnik ów przypomina bawiącym się, że zbyt długo przesiadują w knajpach, trwoniąc czas i pieniądze, zamiast pracować. Ale biesiadnicy odpowiadają mu, że oni nie przyjechali tu do pracy, ale do strzeżenia honoru i bezpieczeństwa Niemiec. Robota należy do polskiego bydła, które, dzięki pruskiemu dozorowi i naukom, wcale niegorzej wypełnia obowiązki. Potem zapraszają urzędnika na „bombę”, którą on przyjmuje łaskawie, wśród okrzyków: hoch!... i hura!...

...Polaków w Poznańskim coraz mniej, pruscy koloniści uczują coraz gorliwiej, już nie tylko w piwiarniach, ale we

własnych domach i na ulicach. A tymczasem pola, niedbale uprawiane, złe rodzą, ogrody dziczeją, sklepy i warsztaty po całych dniach zamknięte; ciągle bowiem zdarza się jakaś patriotyczna uroczystość, którą trzeba święcić pijatyką i próżniactwem.

Podatków w Poznańskim prawie nikt już nie płaci, owszem: zarząd miejscowy domaga się od państwa coraz nowych zasiłków na szosy, szkoły, szpitale, pokrycie szkód ogniowych, odszkodowanie za nieurodzaj i t. d. Gdyby nie dziesiątki i setki milionów marek co rok dokładanych przez skarb państwa, głód chroniczny panowałby w Ostmarchji, gdzie już od wielu lat w zastraszający sposób zwiększyła się śmiertelność, zbrodnicość i liczba obłąkań.

...W rozmaitych punktach cesarstwa niemieckiego wybuchły rozruchy proletariatu, który dopomina się o zasiłki państwowe i o wywłaszczenie posiadaczy wielkich, jak w Poznańskim.

...Sejm niemiecki uchwalił prawo, na mocy którego koloniści w Poznańskim, nie chcący pracować, będą usuwani ze swoich folwarczków i mieszkań.

...Pozbawieni zapomóg państwowych ostmarkierzy zaczęli mordować urzędników naprzód w Poznańskim, a następnie w całym królestwie pruskim.

...W państwie niemieckim rozpoczęła się wojna domowa z proletariatem, który domaga się protekcji rządu dla siebie i ogólnego wywłaszczenia klas posiadających. Wszędzie słyhać mowy publiczne, że jeżeli rząd proteguje taką kanajkę, jak ostmarkierzy poznańscy, to tem bardziej winien popierać uczciwych i pracowitych robotników w reszcie państwa.

...Wojna domowa, szczególnie w Prusach, toczy się z wielką zajadłością. Zniszczono prawie wszystkie koleje, mosty, składy zboża i innych towarów; zrujnowano fabryki, powysadzano kopalnie, Niemcy Południowe ogłosiły rzeczpospolitą i wezwały na pomoc Francuzów...  
Ponieważ w zbrodniach i okru

czeństwach najbardziej odznaczali się koloniści z Poznańskiego, zwani ostmarkierami, więc wyjęto ich z pod opieki prawa. Każdy ostmarkier, schwytany poza granicą swojej prowincji, jeżeli nie mógł wytłomaczyć się, skąd i poco przybywa — skazywany był na śmierć bez sądu.

W lustrze czarodziejskiem na dłuższą chwilę zrobiło się ciemno. Miler wyprostował się i spojrzawszy na Indusa, zapytał:

— Więc to tak musi być, czy tylko może być?...

— Twoja interwencja zmieni bieg wypadków — odpowiedział Ahamkara.

— Nie zmieni tylko zasadniczego prawa.

— Jakież ono?...

— Ci, którzy sieją kąkol, nie zbiorą pszenicy, lecz kąkol — odpowiedział Indus. — Ze złego rodzi się tylko złe...

— A czy mogę zobaczyć przyszłość naszą, polską?... —zapytał Miler.

— Owszem, patrz...

Miler znowu ustawił cudowne zwierciadełko, które tym razem przez długi czas było ciemne i nawet nie odbijało lampek elektrycznych, ani ścian gabinetu. Już odwracał głowę, ażeby zapytać Indusa, co to znaczy... gdy ujrzał w polu widzenia jasny punkcik, który szybko rosnął, a niebawem zamienił się w obraz. Był tam rozległy plac, otoczony gmachami w stylu wystawowym. Na placu tłoczyła się ciżba ludu i wznosiły się wielkie

maszty, Ozdobione chorągwiami w barwach polskich i angielskich. Na chorągwiach i girlandach były napisy: „Stulecie odrodzenia Polski —.” Odbył się jakiś pochód z towarzyszeniem śpiewów i doskonałej orkiestry, wieńczono jakiś pomnik... Wreszcie na balkonie największego gmachu ukazała się tuba, skąd wypłynął

potężny i wyraźny głos, który wypowiedział odczyt dla stu tysięcy słuchaczy.

Z odczytu tego, najciekawszego, jaki słyszał kiedykolwiek, Miler dowiedział się, że uroczystość odbywa się w mieście Polonji, położonem w Afryce, na terytorjum niegdyś pustem i jałowem, a dziś bardzo bogatem, które Anglja ofiarowała poznańskim wygnańcom, ażeby utworzyli sobie nową ojczyznę, wolne. Od tej chwili między Polakami a Anglikami na całej kuli ziemskiej zawiązało się braterstwo, które Polacy jeszcze umocnili wielką ofiarą pieniędzy i krwi dla Anglji, kiedy zagrożono jej bytowi i wolności.

Rok , w którym wyszło pruskie prawo o wywłaszczeniu, był dla historii polskiej nową erą, ważniejszą od innych. Wtedy Polacy przekonali się, że pomimo sympatji uczciwych narodów nic nie uratuje ich od zagłady, jeżeli sobie nie postawią nowych ideałów i nie zmodyfikują własnego charakteru.

Więc przedewszystkiem pomyśleli Polacy, zarówno osiedleni w Afryce, jak i pozostali w Europie, że niema co nazywać się przedmurzem chrześcijaństwa; niema co wspominać zwycięstwa pod Grunwaldem, odsieczy wiedeńskiej, wawozów Somosierra; minioną bowiem sława tyle jest warta, co chleb zjedzony w roku zeszłym.

Następnie Polacy oduczuli się wykrzykiwać na cały głos, co to oni mają zamiar zrobić i co to oni kiedyś zrobią — przekonali się bowiem, że to nikogo nie trwoży, ich samych zaś ośmiesza i przynosi szkody realne. Następnie Polacy zrozumieli, że wobec ciągłego przyrostu ludności i coraz trudniejszych warunków bytu, te tylko rody i narody utrzymają się na ziemi, które będą umiały pracować jak najużyteczniej dla cywilizacji i potrafią doskonalić się fizycznie i moralnie bez granic. Naród, który z każdym rokiem nie będzie wytwarzał coraz więcej nowych bogactw i dzieł na pożytek ludzkości, albo który z każdym rokiem nie będzie na



bywał nowej wiedzy i nowych zalet cielesnych i duchowych — taki naród zginie bez ratunku.

Zrozumiawszy te stare prawdy, Polacy cicho, lecz z wielkim uporem wzięli się do roboty nad samymi sobą, pod hasłem: „Praca energiczna, Wiedza twórcza i Cnota”, a wyniki ich wysiłków przeszły oczekiwania. Już w połowie dwudziestego wieku Polacy zdobyli opinię najdzielniejszych pracowników.

Przerobić pustynię na urodzajne pola i ogrody, wytworzyć nowe odmiany roślin czy zwierząt użytecznych, odkryć kopalnię, gdzie jej nie podejrzewano, zrobić nowy materiał, mający zastosowanie w przemyśle, wymyślić nowy sposób techniczny albo nowy mechanizm, wszystko to były drobiazgi dla tych ludzi pracowitych, ukształconych i twórczych. Ich talenty kombinacyjne były tak wielkie, że do kierowania fabryk i przedsiębiorstw handlowych najchętniej wybierano Polaków. Im bez kwitu powierzano największe majątki, ponieważ słynęli z rzetelności. Oni, z powodu niezrównanej odwagi i zimnej krwi, bywali dowódcami i robotnikami statków podwodnych, machin latających, fabryk trucizn i niebezpiecznych materiałów wybuchowych.

W ciągu jednego wieku Polacy wydali z pośród siebie kilku poetów, których genjusz porównywano z dantejskim i szekspirowskim, wynalazcę najlepszej maszyny latającej, odkrywcę metalu tak użytecznego i taniego jak żelazo, wynalazcę nowego sposobu ogrzewania. Ich lekarze obmyślili metody leczenia gruźlicy i raka. Jeden Polak był naczelnym wodzem armji francuskiej i wygrawszy niebezpieczną wojnę, cofnął się do życia prywatnego jak Waszyngton. Innego wybrano na papieża, który zaprowadził głębokie reformy w katolicyzmie.

Polacy, ale tylko ci, którzy należeli do związku: Praca, Wiedza i Cnota, tworzyli bardzo liczne, rozmaite i ścisłe stowarzyszenia. Dzięki temu, każdy zdrowy miał u nich pracę, każdy potrzebujący opiekę, każde dziecko naukę i dobre wy-

chowanie, a każdy utalentowany młodzieniec środki do kształcenia się jak najwyżej. Gdy Polak dopuścił się przestępstwa, sądzono go i wyłączano ze związku, co najczęściej prowadziło do samobójstwa.

Najważniejsza jednak reforma społeczna polegała na tem, że dzieci wolno było mieć tylko małżeństwom zdrowym i zdolnym. Skutkiem tego ludność polska wzrastała bardzo powoli, ale rasa odznaczała się niezwykle mi zaletami.

Pomimo nagromadzonych bogactw we wszystkich częściach świata Polacy odznaczyli się skromnością obyczajów. Żywili się dostatecznie, ale tanio, ubierali się po prostu, choć gustownie, mieszkali bez zbytków, choć wygodnie. Klejnotów nie używali, a największą ozdobą kobiet polskich była ich piękność i artyzm życiowy.

W stosunku do narodów obcych Polacy zachowywali się życzliwie lecz ostrożnie; takich tylko ludzi przypuszczano do bliższej znajomości, którzy praktykowali polską zasadę: „PracaMądrośćCnota.” Żadnemu zaś Polakowi nie przysłoby do głowy narzucać komukolwiek swego języka albo cywilizacji. Zbyt dużo mieli na to poczucia godności osobistej i narodowej.

W Afryce, dla sąsiednich plemion murzyńskich, Polacy byli dostawcami, a bardzo często nauczycielami i kierownikami tych ludów, lecz tylko wówczas, gdy ich o to usilnie proszono. Byli za uczciwi, aby narzucać swoją władzę, albo wyzyskiwać pracę. Ich wreszcie ambicją było robić samym wszystko, co potrzeba; rozumieli bowiem, że tylko praca potężna i jak najrozmaitsza, praca własnoręczna a inteligentna, czyni człowieka zdrowym, silnym, zdolnym i szlachetnym. To też między Polakami nie było próżniaków, a powiedzenie komuś, że mógłby pracować mniej, uważało się za zniewagę.

Gdy ostatni obraz zniknął w czarodziejskiem zwierciadle, wzruszony, rozgorączkowany Władysław Miler zwrócił się do Indusa:

— Więc taka będzie przyszłość Polski?

— Nie taka, bo ty ją zmienisz...

— A cóżby się stało, gdybym ja zniszczył Niemców?...

— To, co się stać musi — odpowiedział Ahamkara. — Kto sieje kąkol, zbierze kąkol.

— Więc gdybym ja się zemścił, rodaków moich spotkałoby to, co owych ostmarkierów?...

— Kto posiał kąkol, nie może zebrać pszenicy.

— W takim razie zrywam naszą umowę!... — zawołał Miler.

— To zginiesz.

Miler schwycił się za głowę.

— Nie mogę zgubić mego narodu — wyszeptał po chwili zadyszany głosem. — Zrywam umowę...

— Więc giń! — zawołał Indus, dotykając palcem jego czoła.

Miler nagle ocknął się. W gabinecie nie było nikogo; gabinet zaś był ten, w którym rozmawiał z Czerskim i Goldbergiem. Na stoliku stała szklanka niewypitej limonady, na podłodze leżał numer „Matina.”

Miler wyrżał na salę, a w tej chwili przybiegł służący biało odziany.

— Czy ten pan wyszedł?...

— Przed kwadransiem wyszli stąd dwaj panowie.

— Ale Ahamkara?... — pytał Miler. Służący pokręcił głową.

— No, ten pan z sąsiedniego gabinetu, którego bilet przynieśliście mi?...

— W sąsiednim gabinecie nie było nikogo — odpowiedział służący. — Ja żadnego biletu nie przynosiłem tutaj...

Miler już powrócił z Paryża i nie wie po dziś dzień, czy rozmawiał, czy nie rozmawiał z indyjskim czarnoksiężnikiem. Ale jego pogląd na użyteczność zemsty uległ gruntownej zmianie, gdyż zaczął rozumieć, ile tajemniczej wagi mieści się w słowach: „Mnie zostaw zemstę — mówi Pan...”

## ORESTES I PYLADES.

Poznałem ich w restauracji, a kilka wyrazów sprawiły to, żem od razu do nich przylgnął. Po kolacyi bowiem, gdy Orest zapytał Pyladesa: "mój drogi, gdzie są papierosy?" ten mu je podał ze swojej cygarnicy. A w chwilę później Pylades rzekł do Oresta: "czy ty wzięłeś portmonetkę?" "Ja" — odparł Orest. — "No, to płac — zakończył Pylades — i idźmy do domu".

Ludzie, którzy posiadają wspólne papierosy i portmonetę zasługują na uwagę. W pierwszej chwili sądziłem, że to jacyś wyjątkowi bracia, lecz objaśniono mi, że to tylko dobrzy znajomi.

— Bardzo dobrzy znajomi — dodałem w duchu i złożyłem im wizytę. W drodze, ich wspólny przyjaciel powiedział mi, że gdy pewnego razu ktoś w złośliwy sposób odezwał się o dochodach Oresta, Pylades wyzwał go na pojedynek. Szczęściem Orest,

dowiedziawszy się o zajściu, zaczepił swego oszczercę i zapowiedział, że — zabije go, jeżeli Pyladesowi spadnie bodaj włos z głowy.

Wobec tego oszczerca cofnął się i przeprosił obu przyjaciół.

Zapoznawszy się z tak wyjątkowymi ludźmi, odkrywałem w nich coraz nowe dowody wzajemnego przywiązania. Oto, co się trafiło zeszłego karnawału.

Byłem u Oresta w godzinie, w której wybierał się na maskaradową schadzkę. Już kazał przynieść bieliznę i balowy garnitur, gdy wszedł Pylades.

— Co ci jest? — zapytał go Orest, spostrzegłszy niezwykle odciętą twarz przyjaciela...

— Mam schadzkę na maskaradzie — odparł zapytany — no, ale cóż — kiedy mi nie odnieśli fraka...

— Więc bierz mój... — zawołał Orest.

— Tak, ale w dodatku praczka nie oddała mi koszuli.

— Moja jest w tej chwili kupiona, niechże ci służy — dodał Orest i trochę pobladł.

— A tobie co?... — spytał zalekniony Pylades, patrząc przyjacielowi w oczy.

Orest milczał; za to ja się odezwałem:

— Ma schadzkę na maskaradzie.

— O, facecie! — zawołał Pylades, ściskając przyjaciela. — I ty myślisz, że ja w podobnych warunkach wziąłbym twój frak i koszulę?...

A widząc, że Orest nie zmienia zamiaru, dodał poważnie:

— Jeżeli nie chcesz, ażebym z tobą zerwał, ubieraj się i idź...

Orest zaczął się ubierać i śmiejąc się, rzekł:

— Pani Zofia ma szczęście, no, no!... A gotów byłem dziś nie dotrzymać jej placu.

— Pani Zofia?... — krzyknął Pylades.

Orest stanął przed nim jak posąg i przesywając go wzrokiem, zapytał:

— Więc to ty miałaś się z nią, dziś zobaczyć?...

— No — tak! — odpowiedział Pylades tonem szlachetnej rezygnacji.

— Więc... ja zostanę w domu — rzekł Orest z mocą.

— Nie, zostaniemy obaj — odparł Pylades. Przecz chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz w końcu uścisnęli się za ręce i obaj zostali.

— Nie mogłem pohamować wzruszenia i ucałowałem każdego po kolei. Przyjaźń ich wytrzymała najcięższą próbę.

Dziś — siedzą obaj w więzieniu, pod zarzutem, że fałszowali stemple.

Orestes posiadał wyjątkowy talent do niepochwytnego wyskrobywania liter: K. O. P., a Pylades z nieporównanem mistrzostwem wypisywał litery: R. V. B.

## PODWÓJNY CZŁOWIEK.

Czasami tęsknię, ale nigdy nie nudzę się, ponieważ we mnie jest dwu ludzi, którzy ciągle sprzecząją się z sobą. No, a w moim wieku niema przyjemniejszej rozrywki, jak ożywiona dyskusya."

W taki sposób określił samego siebie pewien stary kawaler, p.

Drzymalski. gdy go pytano: czy nie nudzi się, nic nie robiąc?... W podobny sposób wyjaśnił kwestyę: dlaczego chodzi do teatrzyków, a nie bywa w teatrze?

— Na przypatrywanie się baletowi mam za dużo rozumu. Na dramat chodzić nie potrzebuję, gdyż sam w sobie noszę kopalnię uczuciowych sytuacji; żadną zaś komedyą nie ubawię się tak, jak moim własnym dowcipem. Chodzę tylko na operetki, ponieważ nie znam się na muzyce.

Mnóstwo tego rodzaju zdań p. Drzymalski wygłaszał z niezachwianą powagą, za co przyjaciele nazywali go oryginałem, a niechętni cynikiem. Gdy mu to powiedziano w oczy, odparł bez gniewu:

— Mylicie się, panowie, jestem tylko prawdomównym.

Był to człowiek nieładny, ale spojrzenie miał dziwne. Zwykle patrzył szyderczo, z drwiącym uśmieszkiem, niekiedy zaś tak smutno, jak gdyby serce zalewało mu się łzami. Czasem na nic nie patrzył, a wtedy z jego oczu padał cień jak z przepaści.

W jednej z podobnych chwil, ktoś, uchodzący za dowcipnego, powiedział mu:

— Za często zaglądasz pan w siebie.

— Bo mam na co spoglądać — odrzekł. — Gdybyś pan robił to samo, traciłbyś czas na próżno.

Życie prowadził systematyczne. Jadał obiad o drugiej, po obiedzie spał, przed obiadem spacerował. O dziewiątej wieczorem szedł na kolację, później czytał książki albo grał w wista, a o północy leżał w łóżku. Z rana wstawał o siódmej, karmił opatrywał swoje kanarki, czytał i przed obiadem szedł znowu na spacer.

Na niedzielę miał inny program zajęć. Po południu składał wizyty różnym starym panom i damom, których już nikt nie odwiedzał, a z rana chodził do kościoła.

— Więc pan bywasz w kościele? — dziwił się jakiś farmazon.

— Bywam.

— Jak można pozować na świętoszka!...

— Rzecz gustu — odpowiedział Drzymalski. — Pan dbasz o łaskę prezesów, a ja o łaskę Boga i świętych. Mam ten zysk, że moi protektorowie nigdy mnie nie lekceważą.

Farmazon oburzył się tak, że przestał witać się z Drzymalskim. Przyjaciele nie omieszkali wyzyskać tego.

— Cóż to, panie Drzymalski, nasz szanowny dyrektor nie wita się z panem?

— Wiem o tem lepiej aniżeli panowie, bo właśnie wczoraj nie podał mi ręki w salonie, przy pięćdziesięciu osobach

— I cóż pan na to?

— Powiedziałem mu, że Grand Daniel także nie podałby mi ręki, choć jest bardzo szanownym koniem.

Pewnego dnia, gdy odbywał zwykłą przechadzkę po saskim ogrodzie, zastąpił mu drogę tęgi, siwiejący szlachcic. P. Drzymalski ocknął się z zamyślenia i chwilę popatrzawszy zawołał:

— Niedojdziewicz!

— We własnej skórze! — odparł przybysz. Padli sobie w objęcia.

— Skądże się wziąłeś w Warszawie i do tego w ogrodzie? — zapytał Drzymalski.

— Wczoraj przyjechałem do miasta, a dziś byłem u ciebie w domu. Służąca powiedziała mi, że zastanę cię tutaj, między studnią i wodą sodową — no i zgadła. Jesteś regularny jak zegarek.

— Żaden szlachcic nie zalega tak regularnie w długach, jak ja spełniam moje obowiązki. Tu naprzykład bywam codzień od dziesięciu lat.

— Boże miłosierny! — westchnął Niedojdziewicz. I co tu robisz codzień.

— Cieszę ludzi moim widokiem, a niekiedy marzę.

— Ty?...

— Czy mi nie wolno? — spytał Drzymalski. — Jestem przecie pełnoletni.

— I bardzo. Ale o czym marzysz?

— Niekiedy podziwiam dobrotliwą Opatrzność, która nad każdą ławką w saskim ogrodzie stworzyła drzewo, aby ludzie mieli dosyć cieniu...

Nedojdziewicz spojrział na niego, niepewny, co myśleć o tej filozofii.

— Zwykle zaś — ciągnął Drzymalski — pieszczę się i dręcę widokiem przechodzących kobiet. O, spojrzysz naprzykład na tę, czy nie piękna? Blondynka, ciemno szare oczy. grecki profil, a jaki rzut nogi!... Zdaje mi się, że za jeden jej pocałunek oddałbym życie; ale wnet przypominam sobie, że ona takiego

jak ja, nie pocałowałaby nawet za turkusowe kolczyki. Moje zaś dochody nie pozwoliłyby mi ofiarować jej brylantowych...

— Kpisz ze mnie? — spytał Niedojdziewicz, patrząc mu w oczy.

— Mówię zupełnie seryo — odparł Drzymalski z wejrzeniem pełnym smutku. Ale jestem jak Człowiek śmiechu: kiedy mi serce pęka, ludzie myślą, że kpię z nich. Lecz prawda, że wy na wsi czytacie dopiero WalterSkotta, a Hugo jeszcze się dla was nie urodził.

— Zawsze był dziwak — rzekł Niedojdziewicz — ale nie wiedziałem, że obudził się w tobie gust do kobiet.

— Gust?... Powiedz namiętność!... Od piątej klasy ginałem za kobietami, kochałem się jak Romeo, ale — po cichu, wiedząc, że żadna nie odpłaci mi wzajemnością. Tak głupiej niema w Warszawie, a na prowincję nie chce mi się wyjeżdżać.

— Zechciej się tylko ożenić, a sto wyjdzie za ciebie nawet w Warszawie.

— Dajże spokój. W ciągu piętnastu lat starokawalerstwa oświadczyłem się czterem i żadna się nie złapała. Śmiały się, gdy ze łzą w oku opisywałem im interesujący stan mojej duszy. Im byłem rzewniejszy, tem one miały lepszy humor; widocznie w ich opinii szkodził mi zbyt uczyć. Zrobiłbym wrażenie, gdybym miał w sobie mniej poezji, bo ko

biety są realistki i wolą okrągły kark, aniżeli okrągły frazes.

— A dlaczego nie zwracałeś się nigdy do Anny?...

Drzymalski cofnął się.

— Jakiej Anny?... — spytał niespokojnie.

— Siostry mojej żony.

Drzymalski począł iść szybko i, zaplotłszy ręce za siebie, ścisnął je tak mocno, jakby chciał połamać palce. Niedojdziewicz zdumiał się, widząc jego wzruszenie.

— Co ci się stało?... Czego lecisz jak waryat?...

— Posłuchaj mnie — odezwał się Drzymalski. — Jesteś jedynym moim przyjacielem, jeżeli w ogóle mogę mieć przyjaciół, ale pomimo to zrobiłeś mi wielką przykrość...

— Przykrość?...

— Niezmierną. Czy pomyślałeś kiedy, że ja, od piętnastu lat, kocham... nie — uwielbiam Annę?... To moja pierwsza i jedyna miłość?... I kto wie, czy dziś nie byłbym innym, gdybym się z nią ożenił... Przedewszystkiem miałbym kamienicę, bo jej ojciec umarłby ze zmartwienia, patrząc na takiego zięcia.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się Niedojdziewicz. Więc dlaczego nigdy nie wspomniałeś o tym afekcie?

— Nie śmiałem... Piętnaście... eh!... co ja mówię... sto razy chciałem się o Annę oświadczyć, ale



słowa więzły mi w gardle. Siedzisz całe życie na wsi i myślisz tylko o tem, ażeby co roku mieć dziecko; nie masz więc pojęcia, jak wstydliwem jest prawdziwe uczucie. Ale gdybym ci przeczytał sonety, jakie na jej cześć pisałem, zapłakałbyś... Taką lichą mają formę, obok głębokiego uczucia. Niedojdziewicz kręcił głową.

— Mój drogi — rzekł — drwisz ze mnie. Mówisz, żeś kochał jedną tylko Annę, a... oświadczałeś się czterem innym pannom.

— Z rozpaczy i dla wprawy. Kto nie może utopić się w oceanie, skacze do studni.

— Dajmy na to. Ale kiedy już nabyłeś wprawy?...

— Nie śmiałem zwracać się do panny Anny, dostawszy odkosza od innej

— odparł Drzymalski tonem przekonania. No, ale jest już druga, więc idźmy na obiad. Dziś wyjątkowo pójde do lepszej knajpy i proszę cię ze sobą...

Nedojdziewicz wahał się.

— Obiecałem — rzekł — Anusi, że u nich będę na obiedzie, ale — mniejsza o to. Poślę kartkę przez posłańca, a tymczasem pogadamy. Może cię ożenię?

— Prędzej wsadzisz mnie na szczyt ratuszowej wieży — odparł Drzymalski.

Wyszli z ogrodu w stronę teatralnego placu. Drzymalski spuścił głowę i gwizdał marsza Szopena;

Nedojdziewicz spoglądał na niego z pod oka i wzruszał ramionami.

— Dziwak, wielki dziwak!... — myślał o swoim przyjacielu. Ale — jeżeli się ożeni, to może się odmienić.

W restauracyi znaleźli osobny gabinet. Nedojdziewicz pisał kartkę, a Drzymalski zamawiał obiad.

— Daj nam pan — mówił do subjekta, bębniąc palcami w stół — daj nam pan — barszczu... polędwicę... A rybę macie jaką? Jestem dziś tak wzruszony, że muszę jeść rybę.

— Jest sandacz z jajami.

— Bardzo dobrze, daj pan sandacza. A ze zwierzyny?...

— Może być pieczeń sarnia.

— Wybornie, więc i pieczeń sarnią, byle nam ze stołu nie uciekła.

— Wódeczkę podać przed obiadem?

— Owszem, daj nam pan starki i ćwierć funta kawioru. Obiad bez wódki, jest jak dorożka bez stopnia.

— Wino będzie jakie?

— Może byś sotern, a później zobaczymy.

— Po obiedzie czarna kawa i likier?

— Obiad bez kawy, jest jak krzesło bez poręczy. Zapisuj pan sobie moje dowcipy, będziesz miał reputację.

Początek obiadu upłynął w milczeniu. Ale przy drugiej butelce soternu, dwaj przyjaciele wrócili do przerwanej rozmowy.

— Powiedźże mi krótko — spytał Niedojdziewicz — boć znamy się od dzieci, a kochamy jak bracia... Chcesz się żenić, czy nie?... Ale krótko.

— Dyabli wiedzą — odparł Drzymalski. Znasz moje najgłębsze uczucia, więc sam osądź....

— Zatem chcesz się żenić, Józefie!... Ty chcesz.. — zawołał

Niedojdziewicz i złożył pocałunek na spoconej twarzy przyjaciela.

— Nie wiem. Serce mówi: tak! — a rozum przypomina, że w małżeństwie są duże obowiązki. Trzeba być nie tylko punktualnym, ale i entuzystą.

— Józiu!... Drzymalski... — prawil zarumieniony szlachcic. Znamy się od pierwszej klasy... Ty byłeś naprzód moim kolegą, ale, że ja siadywałem w każdej klasie po dwa lata, więc zostałeś moim korepetytorem... Zawsze jednak... Józiu patrz mi w oczy... Zawsze jednak byliśmy przyjaciółmi.

Otóż, ja, Niedojdziewicz, jako twój najserdeczniejszy przyjaciel, mówię ci: Drzymalski, ty chcesz się żenić!... Prawda, że w tobie siedzi jakiś przekorny dyabeł, i nie wiadomo kiedy kpisz, a kiedy mówisz prawdę, ale ja cię znam... Ty chcesz się żenić i tobie dobrze zrobi małżeństwo...

— Kiedy w saskim ogrodzie — mówił Drzymalski, patrząc w sufit — widzę spruchniałe drzewa, obite smołowcową tekturą, myślę, że dla starego kawalera małżeństwo jest taką tekturą, co osłania jego rany... Ale ich nie leczy !...

— Józiu... tobie koniecznie potrzeba żony... Ona by ci świat umilała. Drzymalski począł marzyć głośno:

— Patrząc w salonie na młode kobiety, na ich piękność, ruchy, ich strój tak różny od naszego, a tak ponętny, rozumiem, że na świecie niema doskonalszej istoty nad kobietę. Czasami, na widok turniury, chwiejącej się z wdziękiem, ogarnia mnie taki żal, że, boję się rozplakać i uciekam... Ale kiedy znowu pomyślę, że pewnego dnia, mógłbym w moim pokoju zobaczyć suknie porozwieszane na drzwiach, kaftaniki na bibliotece, chusteczki na parawanie — zimno mi się robi... Kobiety mają za dużo garderoby!...

— To głupstwo! — machnął ręką Niedojdziewicz. Garderoba nie stanowi kobiety.

— To wcale nie dodaje mi odwagi.

— Więc ja cię wyręcę.

— W czym?... — zawołał Drzymalski.

— Uświadczę się w twoim imieniu Annie.

— Czyżbyś to zrobił?...

— Nawet dzisiaj, w tej chwili! — zawołał Niedojdziewicz, z pewnym trudem unosząc się z kanapy.

— Pierwej skończmy obiad — uspokoił go Drzymalski. Dobry obiad jest gwarancją powodzenia w miłości; lubo nie zawsze! — westchnął.

— Obiad skończmy — mówił Niedojdziewicz z pałającymi oczyma — ale... oświadczmy się dziś...

I uderzył pięścią w stół marmurowy.

— Nie mam odwagi...

— Trzeba raz skończyć!...

— Nie ośmielę się...

— Z oświadczynami robi się jak z wyrwaniem zęba. Powiedz sobie: rwę dziś, za godzinę i basta!.. Za godzinę będziesz po słowie z Anną...

— Odrzuci mnie! — desperował Drzymalski.

— Pójdzie za ciebie z pocałowaniem ręki. Za późno na grymasy, kiedy się dobiega trzydziestki.

— No, Anna już przewaliła trzydziestkę...

— Jest znacznie młodsza od ciebie.

— Bagatela! — mruknął Drzymalski. — O mnie już lada dzień napiszą nekrolog i, doprawdy, zazdroszczę tym, którzy go czytać będą. Ale mniejsza o lata panny Anny — dodał — ponieważ czuję, że i w tym

wieku, jaki ma, zrobiłaby mi łaskę wychodząc za mnie. Nie jestem jej wart...

Niedojdziewicza ogarnął zapal.

— Wart jesteś! — krzyknął — boś mój kolega i przyjaciel... Jeszcze kieliszek... i idziemy w konkury...

— Jak to, zaraz?...

— Natychmiast. Z oświadczynami, jak ze rwaniem zębów...

— Ależ ja mam na sobie stary tużurek...

— Do dentysty biegłbyś w szlafroku, gdyby cię przycisnęło.

— Zresztą muszę pomyśleć...

Niedojdziewicz podniósł się z kanapy.

— Kochasz Annę, czy nie?...

— Miłość jej zatrąła mi piętnaście najpiękniejszych lat życia...

— A więc basta!... Pije zdrowie twojej narzeczonej, a siostry mojej żony...

— Gubisz mnie!... — reflektował go Drzymalski i zakrzuszył się winem ze wzruszenia.

— Teraz idźmy!... — rzekł Niedojdziewicz.

Drzymalski chwycił się za poręcz kanapy.

— Trupa mojego weźmiesz stąd...

Niedojdziewicz trochę wytrzeźwiał.

— Słuchaj — mówił spokojniejszym głosem. — Jutro wyjeżdżam z Warszawy, ale dziś chcę cię uratować. Widzę, że marnujesz się w starokawalerstwie i zmarniejesz, więc decyduj. Albo oświadczymy się o Annę zaraz, albo...

— Pozwólże mi zebrać myśli... — szepnął Drzymalski. Nie jestem berejterem, ażeby z miejsca brał taką baryerę, jak oświadczyły.

— Dobrze. Wyjdę na pięć minut z tego poko

ju, przyślę ci syfon wody selcerskiej, a ty — napij się jej i pomyśl. Albo... albo...

Niedojdziewicz wyszedł, a po chwili ukazał się subjekt i, milcząc, postawił syfon na stole.

— Boże mój, co robić? — szepnął Drzymalski. — Anioł czy szatan sprowadził mi na kark Niedojdziewicza?... Ten szlachcic rozmarzył mnie,

czuję, że odmłodziłem na sarnę myśl o Annie. Ile wspomnień... Widzę całą moją ubogą młodość, klasy pełne dziecinnych głów, uniwersytet, izbę na poddaszu, gdzie we trzech mieliśmy dwa łóżka i, na cały dzień jedną bułkę chleba...

A potem — Anna... Spotkałem ją na wieczorku. Miała tarlatanową suknię i niebieską szarfę. Jak to dawno!... Z początku nie zauważyłem jej, ale wypadkiem dotknęła mnie sukienką i spojrzała tak, że mi wybiegł do przedpokoju i pocałowałem jakąś pokojówkę. A może ja jej wtedy podobałem się?... No, chybaby miała kataraktę na oczach, bo nawet stare baby nigdy nie okazywały apetytu na moje wdzięki... Ale jeżeli... Jeżeli z tego powodu do dziś dnia została panną?... Bah! a narzeczony, który ją porzucił? Choć i to niczego nie dowodzi, mnie cztery panny odrzuciły, a jednak ją kocham.

Gdyby więc i ona mnie kochała, gdybym przy niej odżył i tak codzień widywał moje młode lata, jak dzisiaj?... Co prawda, żeniąc się, zrobiłbym uciechę całej Warszawie; ludzie wytykaliby mnie

palcami. Ale cóż mnie to obchodzi? Czy nie mam prawa do szczęścia, a Warszawa do uciechy? A gdybyśmy mieli dzieci... Nie, widocznie już zwaryowałem!... Ale jeżeli ona mnie kocha?... No, to by mi także w moim wieku nic nie pomogło. Boże! jakie straszne wątpliwości.

We drzwiach stanął Niedojdziewicz.

— Tak, czy nie? — spytał.

— Jestem zdecydowany, ale... i pełen sceptycyzmu, jak prawdziwy filozof — odparł Drzymalski.

— Ubezwłasnowalnięm cię na godzinę! — zawołał Niedojdziewicz. O tu jest miednica z wodą, umyj się.

Drzymalski wyszedł do drugiego pokoju i umył się.

— A!... — syknął — zimna woda dodaje otuchy, nawet do małżeństwa.

— Bierz palto. Drzymalski ubrał się.

— Idźmy.

— Czy tam?... — spytał Drzymalski.

— Nie pytaj.

— Zmiłuj się — szepnął, biorąc Niedojdziewicza za rękę. — Jeszcze kwadrans do namysłu...

— Ani sekundy...

Wyszli, siedli w dorożkę i wkrótce stanęli przed sporą kamienicą.

— Połowa tego domu będzie twoją — rzekł Niedojdziewicz.

— Zatrzymajmy się... — błagał go Drzymalski. — Zabije mnie apopleksya...

— Mieszka tu felczer i puści ci krew.

Drzymalski opierał się, ale wieśniak ujął go mocno pod rękę i wciągnął na schody.

— Toby była awantura, gdybym został przyjęty! — szepnął Drzymalski.

Nedojdziewicz zadzwonił. W tej chwili drzwi otworzono.

W przedpokoju Drzymalski uczuł, że nogi chwieją się pod nim.

Szczeńciem spojrział w lustro i zobaczył sinawe rumieńce na swojej twarzy i nos czerwony.

Widok ten przywrócił mu równowagę duchową.

— No — myślał — już takiego konkurenta nie przyjmie nie tylko Anna, ale nawet jej kucharka — pomyślał. — Wyglądam jak pijak i z pewnością dostanę piątego arbuza w życiu, ale — co mi to szkodzi?... Sądzone widać, ażeby w tym tygodniu ubawił Warszawę moją skwapliwością do kobiet.

Weszli do gabinetu pana domu, szczupłego i jowialnego staruszka, który przyjął ich bardzo życzliwie.

— To mi lokator! — zawołał staruszek, ściskając za obie ręce Drzymalskiego. — Spokojny, punktualny, lubi porządek...

— Nie wiem, czy tak pochlebną opinię podzielałby mój gospodarz — odpowiedział Drzymalski

— O, podziela!... — zawołał staruszek. — Zna przecie pana od ośmiu lat i mówi, że taki lokator to błogosławieństwo boże. Zazdroszczę mu z całego serca...

Drzymalski skłonił się pełen niepokoju.

Wtem Niedojdziewicz odchrząknął i wtrącił się do rozmowy.

— Może ojciec mieć tego lokatora do końca życia.

— Co mówisz? — spytał stary z zaiskrzonymi oczyma.

— Tak jest i nawet przyszliśmy w tym interesie.

— Ejże?... Więc on wyprowadza się od Frajtaga?... Brawo!... — krzyknął staruszek klaszcząc w ręce.

Drzymalski siedział blady i wyginał sobie palce. Niedojdziewicz pocałował staruszkę w ramię i mówił:

— Kochany ojczy, powiem ci bez wstępu: Drzymalski prosi cię o rękę Anny...

Mimo panowania nad sobą, Drzymalski tak nagle rzucił się na kanapę, że dotknął głową ściany. Staruszek otworzył usta ze zdziwienia, podniósł rękę do góry i rzekł:

— Czy to być może?...

— Wiedziałem — odezwał się Drzymalski — że

umie pan dobrodziej odrzucisz... Przynosi to zaszczyt pańskiemu doświadczeniu i dbałości o szczęście córki.

— Ależ nie!... — odparł staruszek, dziwiąc się coraz bardziej.

Drzymalski oniemiał.

— Józef od piętnastu lat kocha Annę — rzeki Niedojdziewicz, — a jeżeli oświadcza się tak późno, to tylko przez nieśmiałość.

— Bagatela — zawołał staruszek — zalegał w oświadczeniach sześćdziesiąt kwartałów!... Jednak lepiej późno, aniżeli nigdy, bo dobry i ten lokator, który, długo nie płacąc, chociaż w końcu oddaje. Ale ja mam, panie, takich, co mi nigdy nie zapłacą... Wymknęli się, graty z domu wynieśli i — szukaj nieboszczyka w biurze adresowem!

— Więc ojczy, przyjmujesz Drzymalskiego?... — spytał Niedojdziewicz.

— Całe piętro mu oddam... To jest — poprawił się staruszek — widzicie tak. Ja zajmuję się tylko kamienicą i zapraszam do niej pana Drzymalskiego, owszem, nawet zniżę mu komorne. Ale czy Anusia przyjmie go za męża, to już jej rzecz.

— A jest w domu?

— Rozumie się, że jest i nawet pewnie nas podsłuchuje — rzekł staruszek.

— Ależ papo!... — zawołała panna Anna, stając nagle we drzwiach gabinetu. Cóż za wyobrażenie będzie miał o mnie pan Drzymalski?...

Nedojdziewicz spojrział na nią, kiwając głową.

— Że nie podsłuchujesz, to wiem — rzekł do niej. — Ale gardło daję, że słyszałaś całą naszą rozmowę.

— Byłoby dziwne, gdybym nie słyszała — odpowiedziała panna. Robiąc koronkę siedzę cały dzień przy tych drzwiach w saloniku, a panowie tak głośno powierzacie sobie tajemnice, że trudno ich nie słyszeć.

— A więc?... — spytał Niedojdziewicz.

— Co więc?... — chłodno odparła panna Anna.

— Czy przyjmiesz oświadczyzny Józefa?...

— Czy ty jesteś panem Józefem?... Drzymalski podniósł się z kanapy.

— Pani! — rzekł — do tej pory milczałem, nie mając odwagi prosić pani o rękę. W tej chwili mówię, ale... również czuję, że nie mam odwagi...

Skazany na śmierć nie doświadcza takich wrażeń wobec...

Tu urwał i stanął z otwartymi ustami, zapatrzony w pannę.

— Dziękuję panu, żeś mnie chciał porównać do kata, ale mniejsza o to...

Przedewszystkiem witam — rzekła panna i podała mu rękę.

— Zdaje się, moi państwo — wtrącił Niedojdziewicz — że najłatwiej porozumiecie się, bez świadków.

I dla tego zostawcie tu mnie z ojcem na półgodzinną rozmowę o interesach, a sami przejdźcie do saloniku. Ty, Józefie masz drogę uatorowana. Reszty dokończysz sam.

— Wpadłem na siedm bez atu! — pomyślał Drzymalski.

Anna wyszła do saloniku, a za nią jej konkurent. Tam przeniosła swój warsztat, koronkarski na drugi koniec pokoju i. usiadłszy na fotelu, najspokojniej zaczęła robotę. Drzymalski zajął miejsce naprzeciw niej, na taburecie, mocno zmieszany.

— Rzadko widzujemy się — rzekła panna.

— Słodki to dla mnie wyrzut. Ale, jeżeli pani pozwoli, postaram się dotychczasowe zaniedbanie wynagrodzić — odparł Drzymalski.

— Komu?...

— Wynagrodzić przedewszystkiem sobie...

— A powtóre?...

— Istotnie, że z tego com powiedział, wypływa i powtóre. A więc — powtóre — znowu sobie.

— Prawda, że w panu jest podobno dwu ludzi.

— Pani słyszała o tym aforyzmie? Dobry jest, co?....



— Nawet o sławie pańskiego dowcipu. Ale jacyż to są ci dwaj ludzie, których pan lokujesz w sobie?

— Jednym jest ten, który panią poznał przed

piętnasta laty: tkliwy i marzący. Drugim ten który przez piętnaście lat kochał bez nadziei...

— I cztery razy oświadczał się czterem różnym pannom. Jakiż jest ten drugi?

— Dowcipny i złośliwy — odparł Drzymalski.

— W miłości nieszczęśliwy — dodała Anna.

— Pozwolę sobie zauważyć, że rym, który pani w tej chwili skomponowała, jest lepszy od wielu moich, choć dużo nad nimi pracuję.

— Bardzo mi to pochlebia. Czy i pan dopuszcza się wierszy?

— Niestety tak. Układałem je na cześć pani. Czy pani także bawiła się w poezję?

— Niestety, tak...

— Domyślam się, że nie z mego powodu?

— Powinnabym uwielbiać pańską skromność, ale, będąc szczerą, wolę podziwiać pańską domyślność.

— Gorzkie odpowiedzi pani ranią moje nadzieje.

— Ach, prawda, że pan ma mi się oświadczyć i zapewne w imieniu obu swoich lokatorów. Skądże to przyszło tak nagle?

— Miałem już honor wspomnieć, że od piętnastu lat...

— To słyszałam, niech więc pan przejdzie do daty najświeższej.

— Bardzo dobrze. Otóż dziś spotkał mnie w saskim ogrodzie szwagier pani...

— I litując się nad siostrą żony, starą panną, prosił w jej imieniu o pańską rękę. Czy tak?

— Boże uchroni! — odparł Drzymalski. Jesteśmy z nim kolegami od pierwszej klasy, nic zatem dziwnego, że w poufalej rozmowie wspomniałem mu o moich uczuciach, a on...

— Poszedł z panem do restauracyi na obiad. Tam, przy butelce wina, serca wasze uderzyły jeszcze spieszniej i — ułożyliście mariaż. Czy tak?

— Gdyby pani od swego opisu odjęła trochę złośliwości, a dodała trochę uczucia i poezji, możebym go potwierdził.

— Mara dodać poezji?... Więc była nie jedna, ale kilka butelek wina?... Poznałam to po humorze mego szwagra.

— Pani! soter jest napojeni tak niewinnym, że mógłbym po nim iść do spowiedzi...

— No i poszedł pan, omyliwszy się tylko... co do osoby spowiednika... Wino nie musiało być mocne.

Drzymalski poruszył się.

— Wiem — rzekł, zmieniając ton rozmowy — że nie jestem godzien miłości kobiety takiej jak pani, ale czuję, że nawet mojej miłości nie godzi się wyszydzać. Zresztą mówiłem o niej ze szwagrem pani nietylko przy obiedzie, ale i przed obiadem... Mówiłem tak pięknie, że szwagier pani był głęboko wzruszony.

Panna Anna ze śmiechem odsunęła swój warsztat.

— Pan potrafi być szczerym?

— Nie umiem być innym.

— Gdzie pan pójdzie od nas?

— Na spacer.

— A później?

— Na kolację, a z kolacyi na wista. Zbiera się trzech starych kawalerów i jeden wdowiec, ale głuchy.

— Gdybym panu zabroniła iść na kolację i na wista?

— Byłbym szczerze zmartwiony, bo moi koledzy musieliby grać z dziadkiem.

— Widzę, że pan mówi prawdę. A co pan robi po wiście?

— Czytam książkę do poduszki i zasypiam.

— A z rana co?

— Karmię moje kanarki, znowu czytam, a potem idę na spacer i na obiad.

— Obiad pan jada zawsze w tej samej restauracji?

— Od dziesięciu lat.

— A spaceruje pan zawsze po tej samej alei?

— Także od dziesięciu lat.

— Kiedyż pan myśli o mnie?

— Prawie codziennie, gdy spaceruje po ogrodzie.

— I dla mnie zmieniłby pan swój tryb życia?

Drzymalski zamyślił się.

— Z wielką trudnością. Jestem już bardzo stary.

— To znaczy: nie zmieniłby go pan?

— Prawie że nie. Chociaż podobno miłość wiele może.

— Go do mnie, ja nawet dla pańskiej miłości nie zmieniłabym mego trybu, a jest on zupełnie różny od pańskiego.

Drzymalski zaczął kręcić się na taburecie. Anna zapytała go po chwili:

— Jakiż pan wniosek wyprowadzasz z naszej rozmowy?

Rozłożył ręce na znak rozpaczy i uderzył się w kolano.

— Okrutny wniosek — odparł — ten, że pani mnie nie chce. Jest to już piąta rana śmiertelna, jaką zadaje mi płeć piękna.

— Spodziewam się — rzekła powstając z fotelu — że dzisiaj straci pan raz na zawsze ochotę do oświadczyn.

— Przeciwnie pani. Gdybym przy pierwszej mojej katastrofie spotkał tak dowcipną kobietę jak pani, oświadczałbym się co tydzień. A tak, zmarnowałem życie, utraciłem bardzo przyjemną rozrywkę.

— A teraz który człowiek przemawia przez pańskie usta?

— Niestety! obaj... Jeden czuje, że jest nie

szczęśliwy, a drugi pociesza się w nieszczęściu, jak umie.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i wbiegł do salonu Niedojdziewicz, a za nim teść.

— No i cóż porozumieliście się! — zawołał szlachcic. — Wiedziałem o tem,

— Tak jest — odparł Drzymalski. — Porozumieliśmy się o tyle, że panna Anna nie chce nawet słyszeć o mnie.

— Co? — krzyknął Niedojdziewicz, patrząc na Annę.

— Przeciwnie, to pan Drzymalski zrobił lepiej niż ja, bo wcale się nie oświadczał.

— Ale w kwestyi mieszkania trzymam pana za słowo — wtrącił staruszek, ściskając Drzymalskiego za rękę. — Żeń się, nie żeń się, to twoja rzecz; ale sprowadź się do mego domu, boś porządny lokator.

— Co pani sądzi o tym projekcie ojca? — spytał Drzymalski, spoglądając na Annę.

— Jak pan chce — odparła ze śmiechem. — Jesteśmy chyba bezpieczni zarówno od siebie, jak i od ludzkich podejrzeń.  
— Zabiła mnie! — pomyślał Drzymalski. — Widzę, że otąd nie wypada mi oświadczać się nawet z niepowodzeniem.  
— Waryatyl — ofuknął Niedojdziewicz. — A przysięgłbym, że pasujecie do siebie, jak moje dwie dłonie.

Drzymalski pożegnał się i wyszedł, Był rozdrażniony i skierował się ku Saskiemu ogrodowi.

— Mam naukę — mówił do siebie — ażeby nie pijać lichego soternu. Do jutra będzie mnie łeb bolał.

W ogrodzie spotkał znajomego.

— O! — zdziwił się znajomy — cóżeś pan taki zmięty, panie Drzymalski. Spieczone usta, w oczach gorączka, cera niezdrowa... Chory jesteś?

— Zrobiłem dziś dwa kapitalne głupstwa — odparł Drzymalski. — Przy obiedzie piłem liches sotern, a po obiedzie oświadczyłem sio.

— To ostatnie jest grubo ważniejsze.

— Wcale nie, bo panna dała mi odkosza natychmiast, a wino czuję do tej pory.

I poszedł dalej, niedbale kiwnąwszy głową. Znajomy i tym razem nie wiedział, czy drwi z niego Drzymalski, czy naprawdę jest zboląły i smutny?

\* \* \*

## NA POGRANICZU.

Rzecz dzieje się w pogranicznej mieścinie. Mieścina wybudowana jest w okolicy dosyć równej, otoczona nędznie uprawnemi polami. W pobliżu znajduje się trochę lasu i kawałek łąki. Przez łąkę płynie rzeczka niezbyt szeroka, ale w niektórych miejscach głęboka; strome i czarne jej brzegi (ulubiona siedziba raków) porośnięte są gęstymi kępami wierzby.

Ta rzeczka stanowi granicę.

Sama miejscina odznacza się ubóstwem i nieporządkiem. Ma duży czworokątny rynek, obudowany drewnianymi domami, z których jedno chyła się do upadku, inne świecą, kawałkiem nowego dachu z gontów, a jeszcze inne — wdzieczą się świeżo pomalowanymi okiennicami na kolor: jasnoniebieski, ciemnozielony, albo czerwony.

Rynek jest pełen wzgórz i dołów. Wzgórza utworzyły się ze śmieci wyrzucanych z mieszkań; z dołów wybierano glinę na wylepianie pieców. W jednym rogu placu widać studnię z kołowrotem i daszkiem; w drugim znajduje się figura świętego, z palmą w ręku i znowu pod daszkiem. Od rynku, w różnych kierunkach, biegną uliczki, zabudowane jeszcze nędzniejszymi domkami, a na końcach — stodołami. Gdzieniegdzie, przy najpogodniejszym dniu, widać obszerne kałuże, które bynajmniej nie wpływają na zmniejszenie się piaszczystej kurzawy na ulicach. W porze letniej pod domami, na spróchniałych ławkach, igrają dzieci, nędznie odziane i, o ile się zdaje, rzadko myte. W kałużach pływają kacząta, albo wyleguje się samotny przedstawiciel nierogacizny. Ogrodów jest niewiele; prawie brak cienia. Tylko przy murowanym kościele stoi kilkanaście starych lip. Około urzędu gminnego zasadzono kilka młodych kasztanów, po których dziś zostały cztery kije. Środek miasta zamieszkują przeważnie Żydzi, obwód chrześcijanie. Żydzi utrzymują szynkownię, sklepiki z pieczywem, z norymberszczyzną, solą; chrześcijanie należą do stanu rolniczego, ale bawią się także furmaństwem i rybactwem.

Na pozór nadgraniczna miejscina nie różni się od setek innych, rozrzuconych po kraju. W gruncie rzeczy jednak posiada bardzo charakterystyczne cechy, co prawda nierzucające się w oczy, a nawet do pewnego stopnia kryjące się przed ciekawymi spojrzeniami. Przedewszystkiem parutysięczna jej ludność składa się z pierwiastków dziwnie ruchliwych. Dziś znajduje się tu pełno ludzi, których nie było przed tygodniem i nie będzie jutro. Pomimo to, są oni jakby u siebie w

domu. Mają własne mieszkania, łóżka, mogą się w każdej chwili przebrać. Niejednego z nich widziałeś onegdaj za granicą, gdzie również był, jak u siebie w domu. Pojutrze możesz go spotkać w krzakach, nad rzeczką i zobaczyć w jego fizyognomii wyraz właściwy człowiekowi, który i w krzakach jest jakby u siebie w domu.

W długie rozmowy z tym turystą nie wdawaj się. Odchodź jak najspieszniej, z zupełnym jednak przekonaniem, że on ścigać cię nie będzie.

Objeszczyki, inaczej strażnicy pograniczni, często i nagle wpadają do miejsciny bez powodu i pilnie obserwują jej mieszkańców. Ale obserwowaay patrzy spokojnie w oczy ciekawemu i, dla okazania większej fantazyi, nuci sobie coś pod nosem.

Po takim pojedynku na spojrzenia strażnik wzrusza zwykle ramionami i odchodzi. Nagle wraca, znowu obserwuje swój obiekt, znowu spotyka ten

sam spokojny, trochę szyderczy wzrok i słyszy tę sarnę piosnkę.

Bez żadnej wątpliwości każdy obywatel miejsciny miał jakieś zajęcie, jakiś jawny sposób zarobkowania. Ale... wydatki jego o wiele przENOsiły dochody.

Pytanie: z jakiego źródła czerpał owę przewyżkę?...

Niekiedy działy się tam ciekawe rzeczy.

W szopach lub stodołach ludzi, nieposiadających nawet kury własnej, rżały konie. Wśród snopów słomy, albo, pod stosem gałęzi widywano zagraniczne towary. Czasami w nocy rozlegały się w polu odgłosy gonitw... Niekiedy, ale te już bardzo rzadko, znajdowano w krzakach trupa którego z mieszkańców...

Wszystkie owe tajemnicze zjawiska objaśniały się za pomocą jednego, dosyć upowszechnionego podejrzenia. Oto podobno wielu mieszkańców osady trudniło się przemytnictwem.

Cechy polityczne i topograficzne okolic oddziałują na sposób życia i charakter ludności. Wiedzano już o tem bardzo dawno. Nie byłoby też nic dziwnego, gdyby istotnie ludność osady nadgranicznej bawiła się nielegalnym handlem.

Na wszelkie zaś zarzuty, jakie. procederowi podobnemu robić można, istnieje gotowa odpowiedź:

— Każdy człowiek żyć musi!...

Odpowiedzi tej na pamięć wyuczyli się objeszczyki.

.....

Jednego dnia w rynku miejsciny ukazało się paru strażników. Rozejrzeli się uważnie, jak zazwyczaj. Wstąpili do szynku, gdzie gościnny gospodarz uświetował ich gęsiną, szabasowym szczupakiem i, o ile się zdaje, nieplombowanym likierem.

Gospodarz, człowiek ciekawy, rzucił im przy okazji kilka pytań, na które otrzymał odpowiedzi obojętne i ostrożne.

Pomimo to, ledwie strażnicy wyjechali, w osadzie zaczęto szeptać alarmujące wieści.

Mówiono, że na posterunku złożył ktoś zeznanie, dotyczące bardzo ważnej kontrabandy.

Mówiono, że skutkiem tego czujność na granicy ma być wzmocniona i patrole zdwojone.

Uradzono wreszcie, ażeby ostrzedz wszystkich "swoich". Tamci zaś, którzy dziś mieli przynieść czy przewozić kontrabandę, niech łamią kark!... Oni bowiem nie tylko nie byli nikomu znani, ale jeszcze nie chcieli odwoływać się do pomocy nikogo ze "znanych".

Domyślano się, że, denuncjacją na owych intruzów zrobił któryś ze "swoich", widocznie pod wpływem

wym pocucia solidarności i obawy, ażeby nowa, a tajemnicza spółka, nie popsuła interesów dawnej.

Ale Moszek Cymes, śniady brunet, który miał sklep norymberski, i, jego brat, rudy i blady, Abramek, który nic nie miał, nie słuchali dalszych wniosków, wyprowadzanych z zasadniczej wiadomości. Oni, ledwie zobaczyli strażników, zaraz wyszli przed sklep i zaczęli kpinkować ze swych sąsiadów bardzo dowcipnie, choć serya uderzały im bardzo prędko. Dowiedziawszy się zaś, że z powodu jakiejś wielkiej kontrabandy dozór ma być zwiększony obaj zniknęli ze sklepu, pozostawiając w nim swoją siostrę, Ruchlę.

Przed zniknięciem jednak zabrali z za szafy duży tłomok, owinięty w płachtę i przez podwórka i tylne ulice pobiegli do mieszkania swego ojca. Stary Cymes zajmował dużą izbę, podzieloną przepierzeniem na dwie części. Tam, gdzie było okno, siedziała jego sędziwa żona i robiła pouczość.

Za przepierzeniem zaś, w mało oświetlonym alkierzu, leżał na łóżku sam Cymes, od paru lat sparaliżowany.

Ledwie ukazali się bracia ze swoim tłomokiem, aliści oboje rodzice poczęli im od ostatnich słów wymyślać. Matka za to, że onegdaj, w dzień szaba

su, widziano ich palących fajki, — a ojciec za to, że mu nie zwrócili pożyczonych w zeszłym tygodniu dziesięciu rubli.

Ale dobrzy synowie nie mieli bynajmniej zamiaru trapić serc rodzicielskich hardemi odpowiedziami. Milczeli pokornie. Tylko, wniósłszy tłomok do alkierza, zabrali się do oryginalnej roboty. Moszek chwycił pościel ojcowską w głowach, Abraham w nogach i w ten sposób dźwignawszy paralytyka, złożyli go na podłodze.

Stary kłął okropnie, matka rzuciła na złych synów dużym kłębkim niebieskiej bawełny, ale — nic to nie pomogło. Bracia wydobyli ze swego tłomoka kilkanaście sztuk tkanin, napełnili niemi szerokie łóżko, a dopiero na tym osobliwym materacu położyli napowrót pierzynę i poduszki, wraz ze sparaliżowanym ojcem.

Następnie wybiegli z izby nawet nie patrząc na swoich życiodawców.

Chory aż płakał ze złości, ale powstała na niego żona.

— Daj spokój! — mówiła po żydowsku. — Widać, że stało się coś złego, a w takim razie trzeba się przecie prędko zwijać. No, nie krzycz Jasek, bo przez ciebie mogą ich wziąć do kryminału!...

— Niech dyali wezmą gałganów, za wszystkie zgryzoty, jakie mi wyrządzili! — jęczał chory.

— Cóż oni mają robić? — oburzyła się matka. — Sameś ich tego nauczył.

— Ja? Ja nauczyłem ich, ażeby ojca nie szanowali?

— Nauczyłeś ich zagranicznego handlu.



— Zagraniczny handel co innego a biedny stary ojciec co innego' — mruzczał paralytyk. Mogli mnie poprosić, a nie tak, jak rozbójnicy poniewierać po podłodze. Mało mi pierzyny nie podarli. Żona machnęła ręką, wiedząc, że Josek, z powodu nieszczęsnej choroby swojej, był przesadnie drażliwy.

Wieść o spotęgowanej czujności nad granicą obiegłszy wszystkich żydków, trafiła w końcu do kancelaryi gminnej. Ktoś przechodzący tamtędy, wsadził głowę w okno i wrzasnął:

— Kontrabandy szukają!

W kancelaryi siedział pisarz i wójt. Pisarz, figurka mała i ruchliwa przeglądał papiery, a wójt, chłop siwy i krępy, opowiadał wesołą historię o tem, jak go niegdyś naczelnik przez omyłkę kijem obił.

Ale okrzyk: kontrabandy szukają! padł między nich jak bomba. Wójt zbladł, nie rozumiejąc o co chodzi, ale w każdym razie domyślając się czegoś niezwykłego, a więc strasznego. Pisarz zaś zerwał się od stolika i wbiegł do pokoju żony, wołając:

— Ot, masz!... Szukają w mieście kontrabandy!... Chowajże teraz te sztuki jedwabiu w piec, albo do studni'... Narobiłaś mi kwasu twojemi znajomościami!...

Pani pisarzowa, ubrana w aksamitny kaftan i czarną rypsową suknię z długim ogonem, na razie oniemiała.

— Com ja ci narobiła?...

— Ano to, że przyjmujesz od szwareowników kontrabandę do przechowania, a ja głową nałożę. Nie bój się, wiem ja o wszystkim! — mówił mąż.

Pani odzyskała energie.

— A któż to pierwszy wziął na przechowanie towary: ja — czy ty? — zapytała gniewnie, ujmując się pod boki.

— Ja wziąłem raz i tylko dlatego, ażeby tobie sprawić jedwabną suknię, której ci się zachciało — odparł mąż. — Przez twoją głupią ambicyę mogę miejsce stracić... marnie zginąć...

Pyzata twarz pani oblała się ciemnoburakowym rumieńcem.

— Ty chamie jakiś!... ekonomiczny synu!... To ja mam głupie ambicye? — zawołała. — A czy już zapomniałeś z jakiego ja domu pochodzę?... Tyś mnie, chamie, w złotogłów powinien ubierać, proch za mną językiem zmiatać, żem ci zrobiła taką łaskę i za ciebie wyszła...

Pisarz, zaatakowany z tej strony, utopił obie ręce we własnych naturalnie włosach i szybko wrócił do kancelaryi, zatrzaskując drzwi. Ale pani nie dała za wygraną i przez dziurkę od klucza wołała:

— Toś ty zapomniał, że mój ojciec był obywatelem ziemskim, a stryj matki senatorem?... To ty już nie pamiętasz, jak mnie, trzy lata temu, ten stary kolonista nazywał: jaśnie panienką i mówił, że służył u nas za furmana...

Pisarz pobiegł ku drzwiom i nachyliwszy się do klamki, począł krzyżeć: — Gradaj sobie, gadaj!.. Ja już zatkałem uszy i nic nie słyszę... Tra. ta ta!... tra ta ta!...

Z tamtej strony kopnięto nogą we drzwi i zabębnilo w nie pięściami; poczem — głos dobrze urodzonej damy ucichł. Natomiast w kuchni wszczęły się jakieś hałasy i płacz służącej.

Pisarz był wzburzony. Potrącił kałamarz i uderzył bokiem w kratę oddzielającą cywilną połowę kancelaryi od urzędowej. Nareszcie wsadził rękę w kieszenie, zwiesił głowę na piersi i począł chodzić po izbie, mrużąc:

— Czysta choroba z tą babą i z temi ciągłemi rewizjami...

Wójt patrzył na niego, rozumiejąc jedno tylko, że jest — źle. Każde poszukiwanie kontrabandy i każdy przyjazd delegata powiatowego wprawiał

pisarza w najgorszy humor i, budził w nim myśli rozpaczliwe, co ogromnie trwożyło starego wójta.

Bodaj to superrewizya albo zbieranie zaległych podatków! Wtedy pisarz miał inną minę, z żoną nie kłócił się i wójta nie straszył!...

— Panie pisarzu — odezwał się wójt.

— Ehe?...

— Co to będzie?

— A źle będzie! — odparł pisarz.

— Niby... komu?

— Rozumie się, że całej gminie. Tu jak już raz zaczną szukać kontrabandy, a znajdą co dobrego, to jedną naszą gminą wybrukują wszystkie kryminały!

Wójt poruszył się.

— A cóż winna gmina, że kilkunastu z niej szwarcuje towary, a tam... kto przechowuje? Ma być taka wieczna zgryzuta przez nich, to najlepiej zaskarżyć sprawców i tyle!...

Pisarz przybiegł do stołu i wytrząsając ręką, zawołał;

— O!... ol... o!... jeszcze czego? A czy to wójt nie wiesz, że jak się raz taka sprawa wyda, a oni kosztów nie zapłacą (bo skądby wzięli?) to my bekniemy wszyscy?...

Wójtowi jeszcze nic — ciągnął dalej. — Sprzedadzą wam grunt, dom, resztę odsiedzicie najdłużej w ciągu roku i jako człowiek stary, będziecie

mogli utrzymać się do końca życia z jałmużny. Ale ja co zrobię?... Żebrać przecie nie pójdę.

Pisarz wiedział w jaki sposób pocieszać wójta, bo starzec aż za głowę się schwyił.

— Matko Boska Częstochowska! — zawołał. — Ja mam żebrać na stare lata?... Mnie sprzedadzą grunt?...

— Takie prawo! — rzekł lakonicznie pisarz. Wójt aż spotniał.

— Cóż na to począć, gadajże pan? — pytał. Pisarzowi błysnęły oczy.

— Co począć? — powtórzył. — Naprzód nie myśleć o żadnych skargach na nikogo, bo to jest głupstwo budzić dyabła kiedy śpi. A po drugie...

Zaraz ja tu przyjdę...

Wyszedł do pokoju żony, coś z nią poszeptał i wrócił ze sporą paką w rękę.

— Niech to wójt zanieś do siebie i trzyma parę dni — rzekł, oddając mu pakę.

Chłop wahał się.

— Niema się co namyślać! — zawołał pisarz niecierpliwie. — Wójta objeszczyki mają za spokojnego człowieka, nie posądzają o nie i rewizyi nie robią. A gdyby taka rzecz w kancelaryi została, to mielibyśmy obaj!...

— Pocóżeś pan to brał?

— Poco!... Albo ja brałem?... Przyszedł dziś w nocy jakiś gałgan i wrzucił mi pakę przez okno do

pokoju. Oddam może objeszczykom, to umie szwarcownicy spala, a zaskarzę — to na całą gminę nieszczęście spadnie!

Wójt, człowiek uczciwy i nawet rozsądny, który jednak na swoim urzędzie stracił umysłową równowagę, słuchając teraz dowodzeń pisarza, skołowaciał do reszty. Nie zupełnie mu wierzył, ale — bał się nie wierzyć. Bo co będzie, jeżeli pisarz mówi prawdę?... Pytać«o wyjaśnienie podobnych subtelności prawnych nie bardzo kogo wypada, a zaskarżyć niebezpiecznie.

Z własnej praktyki wiedział wójt, że do każdej sprawy wpłatać można najniewinniejszych. Co zatem będzie, jeżeli jego wpłaczą do interesów szwarcunkowych? A co będzie, jeżeli w kancelaryi znajdą kontrabandę? Jak zwykle, tak i tym razem wójt stracił własny Sąd i wolę i uległ pisarzowi. Nie bez trwogi wziął pakę towarów i opuścił z nią kancelaryę. Idąc ku domowi, niespokojnie oglądał się na wszystkie strony, czy go kto nie śledzi. Ale że każdy mieszkaniec osady był w tej chwili zajęty sobą, więc nikt go nie spostrzegł. Cały zatem i bezpieczny doszedł do chaty i oddał pakę żonie, z ostrzeżeniem, aby ją dobrze schowała.

Na jej pytanie: co znaczy paka ? opowiedział wszystko szczerze. Wtedy wójtowa poczęła mówić przejęta żalem:

— Za jakie grzechy skarał nas Pan Bóg tem wójtowstwem?... A dyć to czysta zguba ciała i duszy!... Masz trochę większe dochody, ale za to ludzie cię przeklinają i musisz robić rzeczy niebezpieczne, tak jak dziś, z towarami!...

A wszystko wynika stąd, że cię, pisarz, opętał. Przyjdzie choć najbiedniejszy pożyczyć pieniądze z kasy — musi płacić. Oni nie wiedzą, że tobie z tych interesów nie wiele wpływa, ino wszystko idzie dla pisarza. Ale swoją drogą ciebie tylko widzą i ciebie klną.

Mówie ci, Szymonie — biadała kobieta — zrzuć ty się z urzędu, albo wygnaj pisarza, bo on cię zgubi!

Wójt machnął ręką.

— Wygnaj go! — rzekł. — Łatwo się to gada, ale trudno zrobić. Nie można przecie człowieka pozbawiać chleba, a zresztą — westchnął — nie ja mu nie poradzę. Jeszcze on mnie zaskarzy i pójdę pod sąd...  
Byłby on lepszy — dodał po chwili — ino ma taką żonkę, co go ssie, jak wąż krowę, buntuje go i namawia. Ho! ho! ona się urodziła na naczelniczkę a nie na chłopską pisarzowej...  
Oj! jakże mnie na wnętrzu trapi! — wykrzyknął wójt na zakończenie. Żona — wiedząc dobrze, w jaki sposób kończą się zwykle utrapienia urzędowe — zaprowadziła go do łóżka.

— Stary! — rzekła — zadam ci na odrzucenie...  
— Kiej to bardzo paskudnie! — jęczał wójt.  
— Magda! — zawołała staruszka — a przetrzyj tam cybuch piórkiem.  
— Oj! kiedy strasznie nie lubię! — szeptał wójt. Ale na utyskiwania jego nie zważano. Magda przeciągnęła cienkie, kacze piórko przez kanał cybuszka, i nabrawszy dosyć szmelcugi, podała piórko wójtowej. Żona objęła starca jedną ręką za głowę, mówiąc:  
— Otwórz gębę, staryk.. Zaraz ci ulży...  
— Oj! kiedy nie lubię... Nie lubię... nie lubię... — stękał wójt, szeroko otwierając usta.  
Wtedy żona poczęła go łaskotać piórkiem po wnętrzu gardła. Wójtowi — aż oczy na wierzch wylazły; na szczęście — nie bez skutku...  
— Lżej ci teraz? — pytała go żona.  
— Och, lżej! — mrukał i upadł na wznak, na poduszkę.  
Potem zasnął twardo i zapomniał o swoich zgryzotach.

.....

Nad wieczorem Moszek i Abraham Cymesowie przyszli do kancelaryi gminnej.

Zobaczywszy ich, mały pisarz zerwał się z krzesła i zapytał:

— Cóż słyhać?...

— Nic wielkiego — odparł Moszek. — Ale nas bardzo zestrachali...

— A niech was licho weźmie! — pochwycił pisarz — to ja miałem kłopotu z waszemi paczkami. W domu trzymać ich nie mogłem, więc dobrze nakręciłem głowę, nim udało mi się namówić wójta, ażeby je wziął...

— Wójt wziął?... — zawołali razem obaj Cymesowie z akcentem radosnego zdziwienia.

— A rozumie się! Moszek zatarł ręce:

— Pan pisarz jest bardzo mądry! — rzekł. — Jak wójt będzie nasz, to nam się interesy jeszcze lepiej poprawią. Objeszczyki pierwejby poszli do proboszcza na rewizję, aniżeli do niego...

Pisarz uśmiechał się:

— A co mnie za to będzie? — spytał.

— Dobrze będzie — odparł Moszek.

Z tą cenną wiadomością obaj bracia opuścili pisarza i śpiesznie poszli do domu wójta. Ale ich tani nie puszczono. Magda powiedziała, że wójt chory.

— To niech do nas wyjdzie pani wójtowa. My tylko mamy jedno słówko powiedzieć.

Po chwili ukazała się na progu staruszka. Żydki ukłonili się nisko, a Moszek, wymowniejszy od rudego brata, zapytał półgłosem:

— Tu u państwa jest trochę naszych towarów. One tu bezpieczne?...

— Jakich towarów? — zapytała zmieszana wójtowa, udając oburzenie. — Wściekliście się żydy, czy co?

— Nu! nu!... niema się o co gniewać. Tam jest trochę materyi dla... naczelnika, więc chodzi nam o to, ażeby się nie zniszczyła.

Ja nawet pani wójtowej powiem — obełgiwał w dalszym ciągu Moszek — że ta materya była plombowana, tylko nam jeden żydek obciął plomby.

Ale to nic, bo tam są jeszcze dziurki!

— Dajcie mi pokój, utraپیءcy, ja nie wiem o niczem!... — odparła wójtowa.

— Niema się o co gniewać! — mówił Moszek. — Pani wójtowej wypada tak gadać, a nam nie wypada się pytać. Ja to przecie rozumiem.

Więc tylko powiem, że takich rzeczy w izbie trzymać nie warto...

— Nie bój się, nie bój — przerwała mu staruszka.

— Ja się nie boję!... U państwa jest bezpieczniej aniżeli w kościele... Ale tej materyi nie można trzymać i w obórce, boby się zepsuła, a to przecie dla naczelnika.

— Już tylko ty się nie frasuj!... — odpowiedziała znowu wójtowa, pewna, że składa w tej chwili dowody niezwyklej ostrożności.

No — a teraz idźcie już sobie — dodała. My, z takimi jak wy nie wdawaliśmy się, dzięki Bogu, i nie chcemy wdawać...

Odwróciła się od nich i zamknęła drzwi.

Bracia uśmiechnęli się i poczęli naradzać się po żydowsku:

— Nie schowali w izbie, ani w obórce — mówił Abramek — więc pewnie w stodole, o tu — na prawo.

I bez żadnej ukrytej myśli, raczej z nałogu, przypatrzyli się uważnie dziedzińcowi i stodółce. Spostrzegli przytem, że pies podwórzowy jest dosyć chudy i że w stodole deski, tworzące ścianę, dadzą się bez trudu wyjąć.

Powrócili do miasteczka.

W drodze spotkali się z mieszczaninem, który szedł ostro, w czapie na bakier, wygwizdując krakowiaki.

— Co ty tak dziś gwizdzesz, Wicek? — spytał go wymowniejszy z Cymesów.

— A gwizdzę bom zły! Prawda temu, że dzisiaj — nie będzie roboty?...

— Na granicy — parzy — odparł Moszek.

— Cóż tam będą przynosili?... — pytał mieszczanin.

— Podobno coś dużego.

— Mieszczanin poprawił czapkę.

— No — to może mi dacie trochę pieniędzy — rzekł.

Żydki poczęły się dziwić.

— Pieniądzy? — powtórzył Moszek. — Wczoraj przecie zarobiłeś trzy ruble.

— Ale dziś nie mam nic.

— To weź od ojca. U niego ruble pleśnieją...

— Może i tak, ale mnie nic z tego.

— Skąpy stary! — mruknął Moszek — a ma gruby grosz. Onby kupił wójtostwo, gdyby chciał.

Mieszczanin wsadziwszy ręce w kieszenie, patrzył w ziemię i smutnie kiwał głową.

— To mi choć pożyczcie ze dwa ruble — odezwał się do żydków.

My sami nic nie mamy! Zresztą winieneś nam ze trzydzieści rubli.

— A tak, za to, że dajecie na kredyt wódkę matce.

— To ci jeszcze źle, Wicek? — spytał Moszek.

— Ma się wiedzieć. Ot i dzisiaj matka upili się, nie zgotowali kolacyi i nie ma co jeść z domu.

No — pożyczycie dwa ruble?

Obaj bracia wzruszyli ramionami.

— My sami nie mamy!... Towary nie sprzedane... Ty Wicek, razem z matką, nie umiecie grosza upilnować, a twój ojciec jest skąpy. Bieda z wami...

Tak lamentując Moszek szedł ku miastu, a jego brat obok, patrząc wypukłami oczyma, w niebo,

jakby śledził czy i stamtąd nie możnaby sprowadzić jakiej kontrabandy? Wicek słuchał ich, ale już nie gwizdał i nasunął czapkę na oczy.

— Co tu robić? — myślał. — W karczmie nie zakredytują mi, w domu bez jedzenia smutno siedzieć...

Słońce już zaszło i niebo zaciągnęło się chmurami. Wiekowi było coraz tęskniej, więc powlókł się machinalnie w stronę pogranicznej rzeczki.

Zdaleka doleciał go odgłos końskiego stępa. Wicek szybko schował się między krzaki i upadł na ziemię. Wiedział on, że w każdej chwili może nadjechać strażnik, odkryć go i aresztować.

Uczuł na plecach lekki dreszczyk, serce uderzyło mu śpieszniej, zmysły spotęgowały się.

Z różnych stron dolatywał go tętent koni, a nawet szmer rozmów,

prowadzonych nie zbyt głośno. Był to punkt bardzo niebezpieczny: ale

dlatego właśnie Wicek przestał się nudzić. Jak wąż przy pełzał do

stromego brzegu rzeki i oddychał jej wilgotnymi parami. Leżąc tak

namyślał się, czyby, dla rozrywki, nie przejść na drugą stronę granicy? Na



wszelki zaś wypadek był gotów opuścić się do rzeczki, dać nurka, a potem cicho płynąć lub pęzać po mieliznach, choćby przez całą noc.

Niebezpieczne ucieczki i niewygodne kryjówki były jego żywiołem, pracą i zabawą. Gdyby tego nie

stało — Wicek chyba by się rozpił z nudów. Bo co miał robić?...

W tem miejscu należy dodać objaśnienie.

Podobno przed kilkoma dniami w jednym z praskich arsenałów popełniono kradzież. Ponieważ nadużycie wykryte zostało nadspodziewanie prędko, więc sprawcy złego, wraz ze swoim niebezpiecznym towarem, postanowili uciec do Królestwa.

Na nieszczęście, żandarmerya pruska zawiadomiła o wypadku tutejszą straż pograniczną i na biednych złodziei z dwóch stron urządzono obławę.

Ale tych szczegółów Wicek nie znał. Słyszał on tylko od "swoich" o wielkiej kontrabandzie i nie mogąc w niej przyjmować czynnego udziału, chciał przynajmniej zobaczyć: co z owego polowania wyniknie?

Czekał więc nad rzeczka, leżąc bez ruchu, parę godzin. Głosy objeszczyków i pruskich żandarmów ucichły, a Wicek zdrzemnął się.

W tem, około północy, usłyszał w oddaleniu wielki hałas. Galopowały konie, brzęczały pałasze, padło nawet kilka strzałów... Zawierucha ta, jak nagle zerwała się, tak i nagle ucichła. Jezdni pocwałowali w inną stronę, a nad łąką znowu głębokie milczenie zaległo.

Z tych ciemnych i chaotycznych wypadków Wicek wyprowadził dziwny wniosek.

— Widać — myślał — że koledzy szwarcowników odciągnęli straż w inną stronę, a więc... tędy przejdzie kontrabanda!...

I jakby w odpowiedzi na swój domysł, może w odległości stu kroków, usłyszał prędko bieg dwu ludzi. Byli obaj zadyszani i biegnąc, rozmawiali ze sobą po niemiecku, ale o czym?... Wicek nie rozumiał, ani nawet dobrze słyszał.

— Rzućże to! — mówił jeden z uciekających.

— Ale dajże spokój! — odparł drugi. — W tem pudle jest proch i mieszanina piorunująca. Niech uderzy o ziemię, to nas na kawałki rozerwie, a przynajmniej ściągnie nam na kark całą brygadę żandarmów.

— Więc połóż lekko na ziemi.

— Nie głupim! W dzień znajdą pakę, a jeżeli nas złapią, to odrazu będą mieli dowód.

Rozmowa na chwilę ucichła.

— Patrz! tu płynie rzeka — odezwał się pierwszy głos.

— W rzeko można rzucić... — odpowiedział drugi. Tu nawet jest wir. Uciekający stanęli po drugiej stronie rzeczki o kilkadziesiąt kroków od Wieka. Kontrabandzista widział ich ciemne sylwetki, widział, jak obaj pochylili się nad stromym brzegiem i ostrożnie spuścili do wody drewniane pudełko, średniej wielkości.

Za chwilę znikli w pomroce. Wickowi serce biło jak młot.

— Oni chyba klejnoty szwarcowali, może nawet zegarki? — myślał. —

Za parę dni przyjdą tu i wydobędą z wody pakę, za którą... ubogi człowiek... mógłby kupić wieś... Co ja gadam?... Trzy wsie!...

Dla kontrabandzisty, który po kilka razy tygodniowo narażał się na śmierć, kalectwo, w najlepszym razie na kryminał, a pomimo to był zawsze biedny i siedział w kieszeni u żydów, wypadek podobny wydał się łaską Opatrzności. Odtąd już Wicek będzie panem całą gębą, jedynie dzięki temu, że skąpy Mostek nie chciał mu dwu rubli pożyczyć!...

Wicek drżał jak w febrze. W głowie mu się paliło, piersi coś rozpierało.

Gdyby mu kto w tej chwili zastąpił drogę, kontrabandzista nie cofnąłby się przed morderstwem, zabiłby człowieka jak zająca...

Pomimo najrozmaitszych uczuć, jakie nim miotały, Wicek czasu nie tracił. Szybko rozebrał się. ułożył rzeczy pod krzakiem i cicho, jak widmo zsunął się do rzeczki.

Pluśnięcia wody prawie że nie było słyhać, tylko na jej powierzchni utworzyło się mnóstwo kół posuwających się ku drugiemu brzegowi.

Tam, gdzie uciekający rzucili skrzynkę z klejnotami, był dół głęboki a nad nim wir. Ale Wicek

ani myślał o podobnym drobiazgu. Płynął prosto przed siebie i nagle, pochwycony przez lej wodny, w którym aż gotowało się, dał nurka. Nim dosięgnął dna, już go wyrzuciło na wierzch. Wicek drugi raz popłynął, drugi raz zanurzył się, schwycił garść błota, ale skrzynki nie znalazł. "Woda odrzuciła go powtórnie. Dotarł do brzegu i zaczepiwszy ręką o zwieszającą się wierzbę, chwilę odpoczął. Potem znowu dał nurka i szukał skrzynki ze wściekłą zawziętością. Zdawało mu się, że jeżeli nie znajdzie klejnotów, sam się raczej utopi, ale takiej okazji, jedynej w życiu, z rąk nie wypuści.

Szalona praca jego, przerywana krótkimi wypoczynkami, trwała z pół godziny. Niekiedy wir chwycił go tak, że zmęczony kontrabandzista nie mógł mu się oprzeć i szedł na dno, wywracając koziółki. Niekiedy kręcąc się w głębinie, nie mógł zapanować nad płucami łaknącemi powietrza, a wówczas zalewała go woda. Raz, zdawało mu się, że już tonie...

Pomimo to nie dat za wygranę, ale wciąż nurzał się i szukał w rozmaitych miejscach, nie robiąc przytem najmniejszego hałasu, nie oddychając nawet silniej. Nareszcie, po rozpaczliwej walce, odpłynąwszy kilka kroków z biegiem rzeki, znalazł skrzynkę!..

I tym razem mało, że nie utonął; szczęściem znalazł w brzegu raczą jamę, zanurzył w niej rękę i wydobył się z wiru. W tak niewygodnej pozycji

odpoczął, przyciskając drugą ręką skrzynkę z klejnotami do piersi.

Radość ze znalezienia takiego skarbu prawie pozbawiała go zmysłów.

Chciał gdzieś uciekać, na kraj świata, gdzieby go ludzkie oko nie dojrzało, tam dopiero otworzyć skrzynkę, sprzedać klejnoty czy zegarki i zostać wielkim panem!..

Tymczasem woda odpłynęła mu z uszu i Wicek usłyszał szmer... Wyteżył oczy... Nad brzegiem, w tem samym miejscu, gdzie kontrabandzista złożył swoje odzienie, chodził w tej chwili objeszczyk!

Wicek struchlał, prawie obumarł z wielkiej bojaźni... Czyżby go odkryto?...

Jeżeli tak, więc zginie, utopi się. ale skarbu nie odda!...

Nastąpiła długa i straszna pauza. Kontrabandziście zdawało się, że upływają całe godziny. Drżał i ledwie mógł powstrzymać się od szcęknięcia zębami. Objeszczyk tymczasem chodził naprzód i w tył po niewielkiej przestrzeni. Ale, że nudziła go noc i samotność, więc nałożył sobie fajkę, zapalił ją i znowu począł chodzić jak sztydłach, tuż obok krzaka, pod którym leżało ubranie Wieka.

W kontrabandzistę duch wstąpił. Wprawdzie o zabraniu swoich rzeczy nie mógł myśleć, nie mógł też wisieć, jak obecnie, pod brzegiem do białego dnia. Ale był pewny, że objeszczyk nie spostrzegł go.

Wicek szybko obmyślił plan działania i natychmiast wykonał go. W chwili, gdy strażnik pomaszerował w górę rzeki, Wicek puścił się brzegu i, mocno trzymając skrzynkę, odpłynął z biegiem wody bez szelestu.

Po paru minutach był już daleko od strażnika i wyszedł na brzeg.

Miasteczko leżało o wiorstę drogi od tego miejsca, a dom Wicka na przeciwnym krańcu miejsciny. Kontrabandzista musiał więc iść przez łąki, nago, jak go Bóg stworzył, i ostrożnie, aby go kto nie spostrzegł.

Noc była wprawdzie dosyć ciemna, ale patrole krążyły.

Wicek, wiedząc o tym, że go zobaczyć łatwo, usłyszawszy najmniejszy szmer, padał na ziemię i pełzał po trawie.

Była to prawdziwie ciemna droga. Kilka razy o mało nie spostrzeżono kontrabandzistę, który wleciał w rów, pokaleczył się, musiał uciekać przed psami...

W taki sposób doszedł do miasteczka, które należało okrążyć. Z brzegu stała kolonia wójta, otoczona płotem chruścianymi. Nagi Wicek z trudnością przelazł go i wpadł między pokrzywy, a co gorsze musiał w nich dłuższy czas pozostać, usłyszał bowiem jakiś szmer.

Wpatrzył się lepiej w ciemność i zobaczył dwu ludzi, którzy starali się osadzić deskę wyjętą ze stodoły. Ponieważ nie udało im się to, więc rzucili deskę i szybko uciekli. Wickowi zdawało się, że to byli: Moszek i Abraham Cymesowie i że jeden z nich niósł jakąś paczkę, niby towary.

W każdym innym razie kontrabandzista pognałby za złodziejami i zmusił ich przynajmniej do podzielenia się zarobkiem. Ale w tej chwili Wicek nie o tem myślał. Pokrzywy piekły go jak ogień, a mimo to czuł przeraźliwe zimno, które go do kości przejmowało.

O ile mógł szybko opuścił kolonię wójta i między sadami dostał się do ojcowskiej chaty, podrapany, poparzony, potłuczony i zziębnięty.

Okolo pustej obórki znajdował się dół, w którym była niegdyś gnojówka, a obecnie woda deszczowa i wszelkiego rodzaju pomyje. Wicek w tym dole zatopił swoją skrzynkę, umył ręce przy studni i zapukał do okna.

W chacie rozległ się powolny szmer.

— Ewa! wstawaj... Otwórz drzwi! — zawołał głos męski.

Odpowiedziało mu chrapanie.

Wicek powtórnie zapukał.

Tym razem gruby głos zaklął. Potem słyhać było skrzypienie tapczana, upadek jakiegoś sprzętu, zgrzyt zasuw i drzwi uchylły się.

Po drugiej stronie wysokiego progu ukazał się ojciec Wicka, starzec chudy, który za cały strój miał na sobie zgrzebną koszulę.

Wicek już chciał wejść, gdy nagle ojciec jego krzyknął:

— Co tu?... Kto tu?

— No, jużci ja! — odparł Wicek i przemocą wdarł się do chaty.

— Coś ty taki goły?... Gdzieś się rozebrał?... Wicek nie odpowiedział nic.

Stary tymczasem

potarł zapałkę i zapalił kaganek. Potem zdziwiony, rozgniewany i trochę przestraszony począł oglądać nagiego syna.

— Gdzieś odzienie podział?... Coś ty — zwaryował? — pytał stary.

— Odzienie objeszczyki mi złapali — odparł syn ponuro.

— Objeszczyki? — powtórzył ojciec. — Ewa! — krzyknął na śpiącą żonę i targnął ją za ramię — wstawaj i patrz, jak ten złodziej wygląda... Tyś przepił, sobaczy duchu, odzienie!... Dam ja ci!...

Matka obudziła się, z pijackiego snu i nieprzytomnie patrzyła na Wicka.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnała się. Ojciec pochwycił gruby rzemień, a syn, choć już mężczyzna dorosły, począł go prosić.

— No, niech tatko nie bije!... Żeby mnie Bóg skarał, tak mi objeszczyki złapali odzienie...

Stary podniósł do góry ramię i pytał:

— Gdzie ci złapali?... Gadaj prawdę!...

— Złapali nad rzeką... Bom ja niedawno z wody wylazł.

— A coś ty tam robił?... Tylko mów szczerą prawdę...

Wicek przez chwilę wahał się, ale potem wziął na odwagę i powiedział o znalezionym przez siebie pudełku klejnotów i zegarków.

Staremu ramię wypadł z ręki, a oczy zaświeciły jak próchno.

— Gdzież ta skrzynka? — spytał już łagodnie. — Pokażno ją...

Ale syn usiadł na tapczanie, nakrył się derą i odparł:

— Już ja sam sprzedam klejnoty, bo tatko nicby mi nie dał...

— Co ci nie mam dać! — ofuknął stary. — Dam ci zaraz... rubla.

— Ale... rubla!... — mruknął Wicek. — Jabym takiej skrzynki i za tysiąc rubli nie oddał...

Stary prędko zmiarkował, że pogrózkami nic nie wskóra, chwycił się więc innej taktyki.

— Nie bądź głupi — rzekł — tylko powiedz, gdzie skrzynka, bo ci ją jeszcze kto ukradnie. Ja tam nic z niej nie chcę.. Co twoje, to twoje... Dasz mi sam tyle, ile ci się podoba, ale taką rzecz lepiej trzymać w chacie, w pewnym miejscu.

— Ja ją sam przyniosę do chaty — odparł Wicek.

Stary zachmurzył się.

— A jakże przyniesiesz, kiedyś goły?...

— Wielka rzecz! Jutro wezmę z komory odzienie od święta...

Nim skończył, już ojciec skoczył do komory, drzwi zamknął i klucz wyjął, mówiąc:

— Aha!... zaraz!... Otóż — nie dam ci odzienia, dopóki nie powiesz, gdzieś skrzynkę schował...

Teraz Wicek zrozumiał, że stary skąpiec ma bardzo wielką ciekawość do klejnotów.

— I! — mruknął. — To tatko taki?... Nie powiem że ja tatkowi nic, aż sprzedam... Tatko by zabrał i schował, tak, jak pieniądze, co je dusi, kiedy my z matką głód mrzemy...

— Gadaj sobie, gadaj! — odparł stary. — Ja ci rzeczy nie wydram, a ty siedź w izbie, kiedyś goły... Tymczasem niech ci kto skrzynkę skradnie, kiedyś głupi, i własnemu ojcu nie wierzysz!

Matka słuchała tej sprzeczki z wielkiem zajęciem, ale w końcu sen przemógł ją, więc z głośnem chrapaniem upadła na tapczan. Stary zdmuchnął kaganek i także wlaź pod sukmanę. Wicek wreszcie pomyślawszy trochę, owinął się lepiej w derkę i legł, choć zasnąć nie mógł.

Rano skąpiec wyszedł na zwiady, sądząc, że, jako doświadczony kontrabandzista, wpadnie na trop. Powłókł się nad rzeczka, między wierzby, znalazł w jednym miejscu (naprzeciw wiru) ślady objeszczyka, ale nad to nic więcej.

— Sprytny kundel! — pomyślał o synu. — To ci ma szczęście... Ja pięćdziesiąt lat harowałem i raz tylko jeden udało mi się znaleźć dwadzieścia dukatów przy nieboszczyku... A on już ma skrzynię klejnotów!... Jeżeli go żydy nie okpią, to będzie jaśnie panem, a rodziców psami od siebie wyszczuje...

I na myśl o przyszłych nieprawościach synowskich taki starego żal ogarnął, że mu się łzy w oczach zakręciły. Postanowił bądź co bądź wynaleść skrzynkę i nią się zaopiekować.

Po wyjściu ojca Wicek opowiedział matce, że znalazł skarb, który ukrył w pewnym miejscu, że ojciec, chce mu go wydrzeć i dlatego zamknął komorę z odświętnem odzieniem. W końcu prosił matkę, aby udała się do braci Cymesów i wzięła od nich na kredyt jakie ubranie.

Poczciwa kobieta z rozrzewnieniem wysłuchiwała wiadomości o z bogaceniu się syna. Ucałowała go, a potem wzniosłszy rękę do góry, rzekła:

— Ale ty, dziecko, nie wyprzesz się swojej matki?

Wicek wzruszył ramionami.

— I codzień będziesz mi stawiał flaszkę kimelu. Bo ja, stara, stygnę już, potrzebuję czegoś gorącego, a na herbatę moje nie stać!...

— No... no! — przerwał Wicek. — Będzie dobrze, tylko niech mama rwie do żydów i przyniesie mi odzienie. Inaczej nie ruszę się z domu.

Bracia Cymesowie czuwali już przed sklepem kiedy przyszła do nich matka Wickowa, z żądaniem odzienia. Zrobiła zaś to z miną tak tajemniczą, że bracia uznali za niezbędne potraktować ją szklanką wódki.

Wtedy baba, z największymi ostrożnościami, dała im do zrozumienia, iż Wicek dzisiejszej nocy znalazł taki skarb, taki wielki skarb, że aż... musiał się przy nim rozebrać do naga!...

Braci zaciekawilo opowiadanie. Wiec Moszek poslal Abramka niby to po rzeczy, a sam ze staruszką poszedl do Wicka.

Ledwie przestapil próg, zawołal:

— Co to jest Wicek, coś ty znalazł?... Ty przecie wiesz dobrze, że my jesteśmy wspólnicy i dzielimy się do połowy, a jeszcze... jesteś nam nie mało winien!

— Oddam com winien, za parę dni — odparł Wicek, napróżno usiłując schować się dokładnie pod kusą derkę.

— Co ty oddasz? — wołał Moszek. — Ty oddaj nam towary, bo to "nasi" zgubili i możesz mieć kłopot...

Wicek oburzył się.

— Nie czekałbyś żydzie napróżno. Tego com znalazł nie zgubili "nasi" tylko tamci, co na nich wczoraj nad granicą polowali. Zresztą, to nie są żadne towary, ino klejnoty i zegarki. Żyd aż podskoczył.

— Klejnoty?... zegarki? — pytał. — A co ty z nimi zrobisz? Ty nam oddaj, a my sprzedamy, bo inaczej złapią cię.

Wicek oburzył się.

— Kiedy tak, to wynoś się, żydu!... A jak mi będziecie dokuczać, oddam skrzynkę na komorę i jeszcze was zadenuncyję!

— Czego się pan Wincenty tak złości? — odparł Moszek, zmieniając nagle ton. — Nie chcesz pan z nami trzymać, to nie... A skarżyć niema interesu, bo my także coś wiemy... Zresztą, pan Wincenty robi sobie jak zechce, ze swoim znaleźnem, a ja... zaraz tu ubranie przyniosę. Może Abramek dostał już co potrzeba...

To powiedziawszy opuścił chatę i szybko pobiegł do brata.

— On znalazł coś wielkiego! — rzekł do Abramka. — Jego trzeba zaraz zrewidować... Idźmy do wójta.

Abraham chciał go zreflektować.

— Jakże my teraz pójdziemy do wójta — odparł kiedyśmy byli u niego dziś w nocy?...



— Co to szkodzi! — przerwał Moszek. Pobiegli do kancelaryi gminnej, a gdy pisarz

wyprowadził ich do osobnego pokoju, Moszek odezwał się:

— Czy pan pisarz wie, dla kogo była ta materya, cośmy ją dali tu do schowania?... Ale niech pan pisarz nikomu nie mówi!...

— Dla kogo?... Nic nie powiem! — upewnił ich pisarz.

— Oto, widzi pan pisarz, ona była dla... naczelnika! A naczelnik przysłał teraz jednego żydka, coby on tę materyę odwiózł mu w trymiga, więc — my przyszli, żeby ją pan pisarz oddał.

— Mówiłem wam przecie, że ją oddałem do schowania wójtowi.

— To jest prawda, ale nam wójt bez pana nie da jej powąchać — odparł Moszek.

— Więc idźmy do niego! — rzekł drobny pisarz, biorąc olbrzymi kij do ręki i majestatyczną czapkę na głowę.,

Gdy weszli na dziedziniec kolonii wójtowskiej, znaleźli wójta i wójtowe przed stodółką, oboje bardzo zafrasowanych. Ona nawet płakała.

Widząc to, Abramek trącił Moszka i uśmiechnął się. Bracia już wiedzieli o przyczynie frasunku!

Zobaczywszy przybyłych, wójt zawołał.

— A toś mi pan, panie pisarzu, dogodził z tą paką!... A dyć mi ją dziś w nocy ukradli...

— Nie może być! — krzyknął pisarz. Bracia, Moszek i Abraham, poczęli rozpaczać:

— Co to będzie? — jęczał Moszek. — Akurat w tej chwili naczelnik przysłał po materyę...

Wójt osłupiał.

— Ale czy napewno ukradziono materyę? — pytał pisarz. — Może się tylko wójtowi zdaje?

— Ale nie zdaje mi się! — odparł wójt. — Przecie nam jeszcze psa otruli i deskę ze stodółki wyjęli...

— Któżby to mógł zrobić? — mruknął pisarz, naprawdę zdziwiony. — Przecie nikt nie wiedział, gdzieście schowali materyę...

Teraz Moszek wysunął się naprzód.

— Z przeproszeniem — rzekł — czy tego nie zrobił Wicek, ten... szwarcownik?... Od, dziś w nocy kontrabandy nie prznosił, a jednak

gdzieś chodził i całe odzienie stracił. Leży teraz w izbie goły i ja myślę, że gdyby państwo poszukali u niego, to możeby się znalazła materya...

I wójt i pisarz bez namysłu przyjęli projekt Moszka.

— Zrewidujmy mu chałupę! — krzyknął wójt.

— Idźmy! — dodał pisarz.

— Tylko niech się państwo nie śpieszą! — wtrą

cił pokornie Moszek. — Takie rzeczy trzeba robić ostrożnie, a przytem my nie chcemy, ażeby on wiedział, że myśmy go posądzili. Wiec ja i brat pójdziemy do niego naprzód, z odzieniem, a państwo przyjdą za pół godziny. Może my tam co zobaczymy?...

Wójt i pisarz uznali słuszność tej uwagi.

Wówczas bracia Cymesowie pobiegli do swego sklepu, wzięli stamtąd jakieś stare odzienie i z niem udali się do Wieka, ciesząc się, że wszystko idzie dobrze.

W drodze ułożyli plan. Wiedzieli, że wójt materyi u Wicka nie znajdzie, ponieważ oni ją sami wykradli, ale chodziło im o dowiedzenie się: gdzie są klejnoty, które kontrabandzista znalazł?... Znali oni żywy temperament Wieka i rachowali na to, że gdy wójt i pisarz w czasie rewizyi trafią na miejsce • gdzie był schowany skarb, chłop wpadnie w gniew i zrobi im awanturę. Wtedy oni przypomną wójtowi, że taka rewizya nie jest legalną i skarb zostanie ocalony, dla nich!

Rzeczywiście, ledwie przybyli do chaty Wieka, oddali mu odzienie i poczęli wypytywać o znalezione skarby, na dziedzińcu ukazał się wójt i pisarz.

Obaj urzędnicy weszli natychmiast do izby i rozpoczęło się badanie:

— Gdzieś ty, Wicek, był dziś w nocy? — zapytał go wójt.

— A wam co do tego? — odparł hardo kontrabandzista, choć był zmieszany.

— To nam, że cię posądzają o kradzież jednych tam rzeczy — mówił wójt. — Przyznaj się więc odrazu i oddaj coś wziął, a minie cię kara. Wicek trochę ochłonął.

— Żeby mnie Bóg skarał — zawołał bijąc się w piersi — takim nic nikomu nie ukradł!... Zresztą szukajcie, a jeżeli znajdziecie co waszego, to mnie oddajcie do kryminału... Tak wam mówie i sprawiedliwie!...

Z kolei wójt i pisarz zakłopotali się pewnością Wieka. Żydzi zaś pomyśleli, że kontrabandzista nie trzyma swoich klejnotów w chacie, kiedy się nie obawia rewizyi.

— Możeś ty i nie ukradł nic — rzekł wójt — ale zawdy powiedz: gdzieś był dziś w nocy?

Wicek postanowił być otwartym.

— Powiem! — rzekł. — Byłem nad granicą i coś znalazłem. Ale to, com ja znalazł nie jest żadnego z tutejszych, ino należy do Niemców, którzy uciekali i rzucili. Kiedym zaś znalazł, schowałem w takie miejsce, że sam dyabeł nie odszuka...

A teraz rewidujcie! — dodał.

Wójt i pisara pokręcili głowami, popatrzyli na siebie i dali za wygraną. Rozumieli, że Wicek mówi prawdę i że u niego materyi nie znajda. Żydzi byli pochmurni.

Już mieli się wszyscy rozejść, gdy w tem na dziedzińcu ukazało się dwu objeszczyków.

— Hej! Wicek! — zawołał jeden z nich. Kontrabandzista wyszedł błądy jak ściana.

— Ty dziś w nocy byłeś nad granicą, byłeś nawet w rzece... Nie zapieraj się, bo mamy twoje odzienie...

— A byłem w rzece! — odparł Wicek zuchwałe.

— Cóżes ty tam robił?...

— A raki łapałem.

— Raki! — rzekł ze śmiechem objeszczyk. — No, chodź z nami na komorę, to tam o tych rakach powiesz więcej.

— Co nie mam pójść?.. Pójdę! — rzekł kontrabandzista.

Wójt, pisarz i obaj żydki patrzyli na scenę tę ze strachem, bo każdy z nich wobec strażników miał nieczyste sumienie.

Kontrabandzista wbiegł do izby po kapelusz. W przelocie schwycił matkę za rękę i szepnął:

— Mamo!... niech mama przysięgnie, że nikomu nie powie i sama mojej skrzynki nie ruszy...

— Biorę Boga na świadka!... Przysięgam! — odpowiedziała kobieta, szlochając.

— Skrzynka leży w gnojówce, koło obory... Ale nikomu matko... nikomu!... Ani ojcu... ani samej nie ruszać...

— Przysięgam ci na rany boskie!...

Rozmowa trwała bardzo krótko, ale bracia Cymesowie zauważyli ją i zaraz odgadli, że baba wie o miejscu, gdzie ukryta jest skrzynka. W tej samej chwili ukazał się Wicek z miną zuchowatą i poszedł z objeszczykami. Za nimi zdaleka pociągnęli Moszek i Abraham, a wójt z pisarzem zawrócili do kancelaryi, smutnie kiwając głowami.

— Co to będzie?... co to będzie? — szeptał wójt.

— Bekniemy! — mruknął pisarz.

— Za cóż ja... nieszczęśliwy? — spytał wójt.

— Wy?... z urzędu. Ale za co ja? — westchnął pisarz.

.....

Ojciec Wieka już w drodze do domu dowiedział się, że syna aresztowali objeszczyki. Wpadł tedy do izby, zły jak dyabeł i odrazu rzucił się do żony, wołając:

— Ty wiesz, czarownico, gdzie on schował klejnoty!... Gadaj zaraz, bo ci łeb rozwalę...

— Nic nie wiem! — jęczała baba.

— Co nie wiesz!... On ci musiał powiedzieć, bo on twój synalek... Gadaj zaraz, gdzie schował, bo nim ten łajdak wróci, to mu kto ukradnie taki skarb. W całym mieście szepcą, że on coś znalazł i już pewnie z dziesięciu na nasze klejnoty czatuje...

Stary skąpiec był wściekły z gniewu. Uczy mu krwią nabiegły, a żyły na czole nabrzmiały. Tupał nogami i wrzeszał na żonę:

— Gadaj, gdzie skrzynka, bo cię...

— Nie wiem! — odparła baba.

Wtedy stary pochwycił ją za włosy i począł bić kijem. Wreszcie rzucił ją na ziemię, skopał nogami i wybiegł na dziedziniec. Przewrócił stos gałęzi. Wpadł na obórki i począł rozgrzebywać mierzwę. Spuścił żuraw do studni

i pukał nim w dno, sądząc, że może tam syn skrzynkę schował. Ale napróżno.

Więc znowu wrócił do izby i zbił żonę jeszcze lepiej. Możeby ją i zabił, bo żądza posiadania skarbu zagłuszyła w nim wszelkie uczucia ludzkie, gdy na szczęście wszedł do chaty Moszek.

— Co wy robicie, Janie? — krzyknął na skąpca. Stary oprzytomniał nieco.

— Biję babę — rzekł — ażeby powiedziała, gdzie jest skrzynka, co ją Wicek znalazł. Żyd wzruszył ramionami.

— Jak ona może powiedzieć, kiedy ona nic nie wie?

Skrwawiona i sponiewierana baba podniosła się z ziemi i z wdzięcznością spojrzała na Moszka.

— A ty skąd wiesz, że ona nie wie? — zapytał skąpiec.

— Wiem od Wieka — odparł Moszek. — On nikomu swoich sekretów nie gada. A jak on się na

komorze ślicznie tłumaczy?... To tak. jakby już ze cztery razy w kryminale siedział. To mądry chłop!.. Oho!... ho!... Gdzieby on babie i do tego pijaczce,

o swojej skrzyni powiedział!...

Skąpiec ochłonął z gniewu i w myśli przyznał słuszność wywodom Moszka. Jużci prawda! gdzieby znowu Wicek powierzał taką tajemnicę pijaczce, choć ona jego matka, a on niby ją kocha!

Po takiej refleksyi, skąpiec opuścił dom i poszedł Da łąkę, rozmyślając: gdzieby jednak skrzynka mogła być ukryta?

Wtedy Moszek dobył z kieszeni półkwartową flaszkę wódki i rzekł do baby:

— Wicek kłania się wam (bo ja teraz byłem u niego na komorze).

Przysyła wam wódkę i prosi, żebyście staremu o skrzynce nie powiedzieli...

— Powiem mu na tamtym świecie! — mruknęła baba, kosztując wódki.

— Jeszcze Wicek prosił — ciągnął żyd — żebyście bez ustanku baczyli na skrzynkę... w dzień w nocy!... Bo się o tem ludzie już dowiedzieli i mogą ukraść...

— Ma się wiedzieć, że będę uważała dzień i noc — mruknęła baba.

W nawiasie dodać trzeba, że Moszek kłamał jak z nut. Z Wiekiem nie widział się, wódkę sam babie kupił, ale swoją drogą wódkę zarzucił i kobieta złapała się na nią.

Teraz już potrzebował tylko śledzić babę i był przekonany, że ona, przesadną czujnością swoją, najpewniej wskaże mu drogę do skrzyni. Jakoż, niby to opuścił chatę i poszedł ku miastu, Wnet jednak zawrócił się i stanąwszy za jakimś opustoszałym budynkiem, patrzył.

Z tego miejsca dostrzegł przedewszystkiem, że baba siedzi w oknie i wygląda na dziedziniec.

Miałaby skrzynka być w dziedzińcu?

Wkrótce przypuszczenia jego zmieniły się w pewność, stara bowiem wyszła z chaty i poczęła krążyć po podwórku, coraz bardziej zbliżając się do dołu z gnojówką. Wreszcie, obejrzawszy się wokoło, wzięła w rękę gałąź, i poczęła mięszać nią gnojówkę.

Teraz Moszek zawrócił do domu. Wiedział już wszystko.

Wkrótce zjawił się w chacie kontrabandzisty Abraham i przywitawszy babę, zapytał:

— Był tu Moszek?

— Był.

— Mówił wam co od Wieka?

— Mówił — rzekła baba.

— A wódkę wam przyniósł?... Baba, już na pół pijana, odparła:

— Żadnej wódki nie widziałam!...

— No, to macie! — rzekł Abraham, wydobywając z kieszeni znowu półkwartową flaszkę. Wicek kazał

wam codzień wódkę przynosić i jeszcze prosił, żeby wam na niczem nie zbywało.

On przecie nasz wspólnik — dodał po chwili — to my jego musimy w nieszczęściu ratować.

W taki sposób rozmawiał z kobietą dobrą godzinę, od czasu do czasu spoglądając w okno.

Było południe. Około chaty kontrabandyisty nikt jakoś nie przechodził. Pomimo to matce Wieka zdawało się, że przez dziedziniec przemknął się ktoś, jakby Moszek?... Ale, że w czasie rozmowy z Abramkiem kobiecina wciąż ssała flaszkę, więc chcąc podnieść się i wyrzucić przez okno, zatoczyła się na tapczan. Po chwili twardo zasnęła.

Spała parę godzin. W tym czasie mąż jej zajrzał do izby, wylał na pijaczkę parę garncy wody i znowu powlókł się gdzieś szukać synowskiego skarbu. Nareszcie baba, zmoczona od stóp do głów, otrzeźwiła się prędzej niż zwykle. Ziewnęła, przeciągnęła się i wyszła na dziedziniec, a widząc, że nikogo niema w ulicy, zbliżyła się do dołu z gnojówką i za pomocą gałęzi poczęła sprawdzać: czy skrzynka jest na swoim miejscu? Szturgnęła kijem tu i owdzie, zamieszała pomyje aż ją obryzgały, ale... skrzynki nie wyczuła.

Ogarnął ją strach, więc już całkiem przytomna wlaźła w dół i poczęła grzebać rękoma w obrzydliwej cieczy.

Niema skrzynki!... a przecież zrana była tu. Była, pamięta ją najwyraźniej, sama dotykała ją gałęzią...

Przy tych poszukiwaniach zastał ją mąż siną, drżącą z wielkiego wzruszenia.

— Co ty tu robisz? — zawołał.

— Skrajnię Wiekową ktoś ukradł! — odparła zmienionym głosem.

— Ukradł! — wrzasnął skąpiec. — Ukradł ktoś skrzynię klejnotów, a tyś mi nie chciała powiedzieć, że ona tu była... Tu w tym dole!...

I oszalały z gniewu wpadł do izby, wyniósł stamtąd siekiere i chciał nią żonę zabić. Ale kobieta spostrzegła dość wcześnie, że mężowi źle z oczu patrzy, więc, wydrapawszy się z dołu uciekła, przemoczona i cuchnąca.

Stary rzucił za nią siekiere, ale jej nie dosięgnął!. Baba zaś pędziła ku miastu tak szybko, jakby jej strach ze czterdzieści lat odjął.

Skąpiec stracił już wszelką władzę nad sobą i resztę rozumu. Podniósłszy rzuconą siekiere, wrócił z nią do izby i począł wszystko rąbać. Okna, ławy, półkę z naczyniami, tapczany z pościelą...

— Ukradli mi skrzynkę klejnotów! — wołał.

Wreszcie, w przystępie najwyższej rozpacz, wynalazłszy gdzieś w kącie powróż, przeciągnął go przez belkę, wlaź na stół, zawiązał pętlę na szyi i skoczył...

Ale powróż był widać zbutwiały, bo urwał się, a skąpiec padł na ziemię i zwichnął nogę.

Zamiast więc tłumaczyć się na sądzie szczegółowym z pobudek samobójstwa, leżał nieborak na ziemi i krzyczał w niebogłosy.

W tem opłakanem położeniu znalazł go syn. Wicek, którego już uwolnili na komorze. Zobaczywszy straszny nieład w izbie, podruzgotane sprzęty, powróż na belce i ojca na podłodze, kontrabandzista zawołał:

— Co się tatkowi stało?...

— Skrzynię z klejnotami ukradli! — jęczał skąpiec. — O, ty kundlu jakiś!... nie powiedziałaś mi, gdzie leżała i teraz masz...

Ale na Wieku wiadomość ta nie wywarła żadnego wrażenia.

— Ukradli? — spytał. — Pal ją kaci!... Tam nie było klejnotów, ino proch, z niemieckiego arsenału...

— Proch?... nie klejnoty? — spytał skąpiec, szeroko otwierając oczy. — A skąd ty to wiesz?

— Słyszałem jak gadali na komorze. Teraz stary uczuł straszny ból w nodze.

— Wicek — rzekł — a naciągnij rai łapę, bom se zwichnął.

Syn obejrzał nogę, przyznał, że jest mocno zwichnięta i przystąpił do operacji. W tym celu skąpiec

chwycił się oburącz za próg. Wicek wziął go za nogę i szarpnął z całej siły.

— Gwałtu! — krzyknął skąpiec i aż zemdłał. Syn jednak prędko go otrzeźwił. Potem zdjął mu resztę powroza z szyi i zaniósł chorego na tapczan.

Ojciec stękał, próbował nogi, czy dobrze się chodzi, poprawił się...

— Wieku! — rzekł — a spojrzyno pod tapczan czy tam niema pakuł.

Wicek pochylił się, chcąc zajrzeć pod tapczan, ale w tej chwili starzec huknął go pięścią koło ucha, raz i drugi. Kontrabandzistę aż zamroczyło.



— Za co mnie tatko bije? — spytał oburzony.

— Proch czy nie proch, a trzeba go było ojcu oddać. Chciałeś zostać wielkim panem, sam, bezemnie, to teraz won z chałupy!... Na oczy mi się nigdy nie pokazuj.... pod płotem zgnij, byłeś tu nie wracał, bo cię zabiję! I schwyciwszy kawał drewna chciał nim uderzyć syna. Ale Wicek już uciekł.

Matka kontrabandzisty, szczęśliwie uniknąwszy ciosu siekiery, którą za nią mąż rzucił, biegła bez pamięci przed siebie. Nie dziwił jej ani szalony gniew, ani okrucieństwo starego skąpca.

— Miał recht! — myślała. — Nie trzeba było skrywać przed nim skrzyni. Co prawda, byłby ją wziął

wziął i schował w swoje kąty, ale przecie on nie wieczny, więc i skrzynka wróciłaby do nas. A tak ani on, ani my!...

Czuła, że jest zgubioną, bo odtąd i syn pocznie ją nienawidzić tak, jak mąż. Ale słusznie, bo dlaczego nie pilnowała skarbu, któryby ich wszystkich uszczęśliwił do końca życia!...

Pomimo jednak wielkiej rozpacz i resztek pijackiego odurzenia, baba usiłowała odgadnąć: kto skrzynię ukradł?

Byli dziś w ich domu objeszczyki, wójt, pisarz, tudzież bracia Abraham i Moszek. Już samo wyliczenie osób rzuciło na sprawę trochę światła: z nich wszystkich Abraham i Moszek, jakoś najwięcej patrzeli na śmiałych i szczęśliwych złodziei...

Baba przypomniała sobie, że obaj bracia dali jej po flaszcze wódki, że Abraham długo z nią rozmawiał, i że, o ile jej się zdaje, około południa Moszek był na dziedzińcu.

— Oni ukradli! — krzyknęła nagle stara i z zaciśniętymi pięściami pobiegła do sklepiku Cymesów.

Rzeczywiście, nie omyliła się. W tym czasie, kiedy Abraham poił ją drugą flaszką wódki, Moszek wydobył skrzynkę z dołu i nawet nie zawałał się. Potem owinał swoją zdobycz w płachtę i poszedł do siebie, dając sygnał bratu, że już interes skończony.

W sklepiku bez trudności otworzyli tasakiem skrzynię drewnianą i znaleźli w niej, garncową mo

że, puszkę z blachy żelaznej. Było w puszcze kilka pęknięć i szczelin, któremi nawet woda dostała się do wnętrza. Swoją drogą jednak otworzyć jej nie było można, tak szczelnie przystawało wieko.

Bracia wzięli dłutko i poczęli próbować, podważać niem wieko. Ale napróżno. Blachy zachaczyły się jedna o drugą tak silnie, jak gdyby puszkę, zalutowano. Trzeba ją było naciąć wokoło dłutkiem i rozbić. Właśnie Abraham wziął dłuto i młotek, aby przystąpić do ostatniej czynności, a Moszek, stojąc we drzwiach sklepu, czuwał, gdy w tem doleciały ich okrzyki matki Wiekowej. Kobieta biegła przez rynek z rozkrzyżowanemi rękoma, zbita, szkaradnie zawałana w gnojówce i krzyczała:

— Złodzieje!... okradli mi syna!... wyciągnęli z dołu pełną skrzynię klejnotów.

Pijaczce towarzyszyła gromada ciekawych, z którymi wciąż łączyli się nieliczni przechodnie.

Taka procesja była bardzo nie na rękę Cymesom. Sklepek ze wszech stron otwarty, łatwo do niego zajrzeć i zastać ich — właśnie przy otwieraniu puszek z klejnotami!...

Nie chcąc zatem gorszyć ludzi poczciwych i wywoływać nie przystojnej awantury, bracia, zostawili siostrę Ruchlę za kantorem, a sami przez podwórka i tylne uliczki uciekli do domu ojca. Tłum już

stał przed ich sklepem, a pijaczka klęła, aż się trzęsło.

Znowu wbiegli do alkierza, gdzie stało łóżko ojcowskie i rzekli do jęczącego paralityka:

— Tatele!... tu jest a czerne skrzynke, myt gołdene pierścionkes, branzletes ind zekarkes. Trzeba ją odbić tym dłutkiem, a klejnoty wsypać do beczki z kwaszonemi ogórkarni...

Josek Cymes miał wielką ochotę zwymyślać synów za wczorajsze poniewieranie go po podłodze. Ale gdy usłyszał o klejnotach i zobaczył garncową puszkę, ułagodził się.

Synowie pod pierzynę włożyli mu puszkę, które jedną połowę oparli na krawędzi łóżka. Dali mu też w ręce młotek i dłutko.

— Nie dam rady! — jęczał paralytyk. — To blacha gruba, mnie ręce drżą i obrócić się nie mogę...

— Niech tatele otwiera prędko, bo jeszcze kto wejdzie! — odparł Moszek. A teraz mówił dalej — mame niech siedzi w oknie i niech płacze, że ojciec umiera... Dy Awrum nem den kitel i gadaj pacierze, tak, żeby cię wszyscy widzieli, a ja...

Nie dokończył, zobaczył bowiem, że tłum z matką Wiekową na czele, idzie właśnie do domu ich ojca. Więc Moszek schwycił jakąś paczkę drewnianą, wybiegł z izby, okrążył tłum po za budynkami i nagle stanąwszy zdaleka za gromadą, krzyknął:

— Hej! ty stara Ewa!... Patrzaj, tu jest twoja skrzynka...

Baba, zobaczywszy Moszka z pudełkiem pod pachą popędziła za nim, klnąc i płacząc. Gromada dzieci i wyrostków pocwałowała za obojgiem i w taki sposób zgraja obdartusów, z okropnym wrzaskiem, śmiechem i gwizdaniem poczęła obiegać rynek dokoła.

Jak świat światem nie widziano jeszcze podobnej uciechy w mieście. Żyd biegł truchta, drażniąc babę widokiem pudła i krzyżąc: waryatka!... waryatka!... Ona pędziła ile sił starczyło i od czasu do czasu rzucała za nim kamieniami, a zgraja uliczników, rozpierzchniętych, jak stado wron, które spłoszono, towarzyszyła im, krzyżąc w niebogłosy:

— Złodziej Moszek!... waryatka Ewa!...

Tym sposobem Moszek odciągnął najniesforniejszych widzów od miejsca, w którym jego ojciec rozłupywał tajemniczą skrzynkę. Chytry żydek liczył jeszcze na to, że gdyby ukazał się w tej chwili milicyant w miasteczku, wówczas musiałby aresztować jego i pijaczkę, odprowadzić ich do kancelaryi gminnej, a dom ojca i skradzione klejnoty byłyby bezpieczne. Kilku jednak poważniejszych mieszczan nie uważało za stosowne mieszać się do wyścigów hołoty. Zastali oni pod lokalem sparaliżowanego Cymesa, a widząc, że żona jego siedzi w oknie i płacze, zaś

rudy Abraham modli się w śmiertelnej koszuli, poczęli wypytywać:

— Co się stało, pani Cymesowa?...

— Nieszczęście! — szlochała żydówka. — Mój mąż, Josek, strasznie chory, rzuca się na łóżku, jakby już umierał, a te gałgany syna mi gonią i wyzywają od złodziei...

Abraham zaś niby odmawiał modlitwy i kiwał się, ale swoją drogą prawem okiem patrzył na rynek, gdzie odbywały się osobliwe wyścigi jego brata, a lewym uchem nasłuchiwał, czy ojciec bije dłutkiem w żelazną puszkę? Gdy zaś stary zmęczył się i ustał w pracy, Abramek, mrużąc pacierze, wołał:

— Tatele szlug!..

— Kiedy mnie już ręce bołą... Wykręcić się nie mogę! — jęczał paralityk, uderzając młotkiem w dłuto.

Za głęboko włożyliście tę puszkę pod pierzynę, trzebaby ją lepiej wysunąć — mówił Josek po żydowsku.

Ale Abraham nie dbał o jego narzekania, tylko wciąż powtarzał:

— Tatele szlug!...

Paralityk znudzony oporem blachy i komenda syna rozzłościł się:

— Żeby was Bóg skarał, gałgany, za wszystkie kłopoty, jakie mi robicie... Ja tej puszcze nie dam rady!...

I już z gniewem począł ją kuć tak, aż się rozlegało, a Abramek w śmiertelnej koszuli kiwał się wciąż pod oknem, mrużąc pacierze i od czasu do czasu wołał:

— Tatele szlug !...

Na rynku baba, potykając się ze zmęczenia, nie przestawała gonić Moszka, który nareszcie rzucił pudło i poszedł do swego sklepiku.

Wtedy zdarzył się wypadek, niesłychany w dziejach tego miasteczka, tej gminy, a nawet powiatu.

W chwili, gdy Abraham zawołał głośnie: Tatele, szlug!... a sparaliżowany Josek silniej uderzył młotem w żelazną puszkę, ta... wybuchła!...

Rozległ się stłumiony huk, jakby strzał armatni. Sparaliżowany Josek z pierzyną uderzył o sufit i wnet runął na szczątki połamanego łóżka. Jego żona i syn Abraham wylecieli na ulicę przez okno, dom zatrzęsł się, przepierzenie upadło, a ze wszystkich otworów począł wydobywać się dym. silnie pachnący siarką.

— Gwałt !... fajer! — wrzeszczał Abraham.

— Josek zabity! — krzyknęła stara żydówka.

— To proch wystrzelił!... proch!... — wołali mieszczanie.

W tej chwili przybiegł Moszek, siny.

— Co się to stało? — pytał.

Obecni poczęli mu opowiadać na wścigi.

— Proch u was wystrzelił!... ojca wam zabiło!...

— Tam, w puszcze nie było klejnotów, tylko proch — jęczał Abraham.

Moszkowi w tej chwili błysnęła myśl:

— Jakie to szczęście, że nie ja otwierałem puszkę!... Biedny ojciec już i tak był stary i od dwu lat nie mógł się ruszyć z łóżka.

W tem... o, dziwy!...

Josek, nieboszczyk, ów Josek tak strasznie sparaliżowany, ukazał się w oknie wśród kłębow dymu. Miał na sobie krótką koszulę i wełniany kaftanik cyceles, ale był zdrow... Z lekkością młodzieńca przeskoczył okno i (rzecz nie do uwierzenia!) w pełnym galopie przebiegł rynek, a nawet — wyleciał za miasto i tam jeszcze biegał przez kilka minut po łące!

Rzecz już wyjaśniła się. Wicek nie znalazł w rzece klejnotów, ale puszkę prochu i masy piorunującej. Ponieważ puszka miała szczeliny i leżała w wodzie, więc proch w części zamókł. Ale, gdy Josek, począł tłuc młotem w skrzynkę, nastąpił wybuch, co prawda — bardzo słaby.

Domowi nic się nie stało. Pękły tylko szyby i upadło przepierzenie od alkierza. Ale wyrzucony w powietrze paralytyk, pod wpływem przerażenia, odzyskał władzę nad nerwami, i wyzdrowiał!

Słowem, stało się to wszystko nadspodziewanie dobrze, ale ani Moszek, ani Abraham nie byli kontenci z takiego obrotu rzeczy. Oni woleliby mieć

puszkę klejnotów, aniżeli zdrowego ojca. Doświadczyli przykrego zawodu, uważali się za pokrzywdzonych, i ażeby chociaż część strat odzyskać, poszli do wójta, do kancelaryi.

Wójt, który już wiedział o szczegółach wybuchu, powinszował im naprzód tego, że ich poczciwy ojciec w tak cudowny sposób odzyskał zdrowie, a następnie napomknął, że może być śledztwo.

— Skąd wy proch macie? — mówił. — Takich rzeczy trzymać w izbie nie wolno.

— Jaki proch? — zdziwił się Moszek. — Ojciec nasz już od rana był zdrowszy i tak się rzucał na łożku, że aż się przepierzenie wywróciło. Z tego zrobił się w domu huk i kurz, a głupie ludzie gadają, że to proch się zapalił. Coby u nas proch robił?...

Wójt pokiwał głową i rad nie rad udał, że wierzy objaśnieniom, czując, że z Moszkiem, któremu "szydła gola", wojować nie wypada.

Ale teraz Moszek zaatakował go.

— Jakże to będzie, panie wójcie, z tą materyą? rzekł. — Tam było dwie sztuki warte stopięćdziesiąt rubli. Panu wójtowi podobno ukradli, czy coś... a naczelnik upomina się u nas.

Wójt przeżegnał się.

— Co ty mamrociesz niedowiarku boży? — odparł zdziwiony. — Jakże, więc ja zrobiłem wam łaskę, że przechowałem materyę, a ty mi o pieniądzech gadasz?...

Moszek przybrał minę zuchwałą i począł mówić z krzykiem.

— Co to łaskę?... komu łaskę?... pan wójt sobie zrobił łaskę, kiedy materya zginęła, ale nam nieszczęście, bo naczelnik upomina się. To nawet były sztuki oplombowane, cło od nich opłacone... Ja mam kwitancyę!

Wójt począł targać siwe włosy.

— Jezu!... a dyć te hycle o złodziejstwo mnie posądzają — wołał.

— My o nic nie posądzamy — odezwał się Abraham. — My tylko chcemy odzyskać część strat. Materja warta stopięćdziesiąt rubli, więc my damy pięćdziesiąt, a pan wójt niech da resztę, bo nas naczelnik rozpiecze... Maty pisarz siedział przy stole jak przyśrubowany, a gdy wójt zapytał go:

— Co tu robić?... Odpowiedział:

— Trza im dać sto rubli i niech idą na złamanie karku!

— Skąd ja wezmę sto rubli? — biadał wójt. — Ja przecie nie mam tyle pieniędzy.

— Znalazłoby się u pana wójta i tysiąc rubli — wtrącił Moszek. — Ale ja jestem dobry człowiek. Ja panu wójtowi kłopotu robić nie chcę i wezmę kwit...

Nie było rady. Pisarz przygotował kwit na sto

rubli, a wójt. po wielu wahaniach się, ze łzami w oczach, podpisał go. Jeszcze Moszek nie zdążył schować kwitu, aliści wpadł do kancelaryi Wicek, rozgniewany jak piekło.

— Jesteście tu, złodzieje! — krzyknął. — Powiem że ja teraz wszystko. I odwróciwszy się do wójta i pisarza, mówił:

— Patrzcie państwo! Oni rai ukradli tę skrzynkę z prochem, bo myśleli, że w niej są klejnoty. Przez tych hyclów ojciec mnie i matkę wygnał z domu, a sam chciał się powiesić...

— Szkoda, że się nie powiesił, bo ty, Wieku, miałbyś pieniądze — wtrącił Moszek, śmiejąc się ironicznie.

— Poczekaj, to jeszcze nie wszystko! — ciągnął Wicek. — Panie wójcie, ja widziałem dziś w nocy tych obu, jak wam coś ze stodoły kradli, a później chcieli złożyć na mnie...

Wójt i pisarz zerwali się z krzesel.

— Oddaj, żydu mój kwit na sto rubli, kiedyś sam ukradł materyę! — zawołał wójt.

— Ja nie ukradłem, on łże, ten Wicek, bo on mi jest winien kupę pieniędzy — odparł Moszek.

— Pójdziemy do sądu kiej taki — krzyknął wójt.

Moszek oparł ręce na stole i patrząc wójtowi w oczy, rzekł spokojnie:

— O co mnie pan wójt oskarży?... Pan mi nie dowiedzie, żem ja ukradł, ale sąd dowie się, że pan

wójt przechowuje szwarcowaue towary.

A gdy stary chłop, czując swoją bezsilność, upadł na krzesło, Moszek zapytał go ze śmiechem:

— No, będziemy się prawowali?...

— Poszedł won, ty gadzino! — krzyknął wójt — i niech ci moja krzywda bokiem wylezie...

Teraz Moszek i Abraham grzecznie ukłonili się wójtowi, z wolna odeszli ku drzwiom i gdy już stanęli w progu, Moszek zawołał do Wicka:

— No, chodź ty, Wicek z nami, kiedy ciebie twój ojciec wypędził. A na drugi raz nie buntuj się, nie chowaj tego, co znajdziesz i na nas plotek nie rób...

— Nie idź z tymi złodziejami, bo ci duszę zgubią! — upomniał go wójt.

— Wicek, chodź, mówię ci ostatni raz! — zawołał Moszek.

— Weź się lepiej do uczciwej roboty, a od nich odczep się! — mówił wójt.

Wicek wahał się, myślał i wreszcie — poszedł za żydami.

.....  
.....

Kiedy wkrótce potem wrócił wójt do domu, był żółty jak marchew i płakał jak dziecko, za swojemi stoma rublami. Żona z początku krzyczała na niego, ale widząc, że jest źle, położyła go do łóżka i rzekła:

— No, nie płacz, Szymku!... Dam ci na zrzućenie, to ci ulży...

— Kiej to bardzo paskudnie — odparł wójt.

— Nic ci nie będzie... Magda! a przeciągnij ta piórko przez cybuszek...

I znowu powtórzyła się operacja łaskotania wójtowskiego gardła kaczem piórem, umazanem szmelcugą.

Wójt zakrztusił się jak nigdy, ale z dobrym skutkiem.

— Cóż, lżej ci? — spytała go żona.

— O, lżej!...

— No, to teraz wyśpij się, a jutro podaj się de dymisyi. Ciebie jeszcze zagryza na tem wójtowstwie...

.....

Wypada na zakończenie wspomnieć o dalszych losach osób tu występujących.

Wójt rzeczywiście podał się do dymisyi, dziękując Bogu, że stoma rublami wykręcił się od stosunków z Moszkiem i Abramkiem. Ale pisarz, namawiany przez żonę, która wciąż chciała paradować w jedwabiach, trzymał się Cymesów i za różne nadużycia stracił posadę, a w końcu został pokątnym doradcą.



Stary skąpiec zaciął się w gniewie, tak, że już nigdy nie przyjął do swej chałupy ani żony, ani syna Wicka.

Baba tułała się jakiś czas po mieście, piła jeszcze lepiej i zmarła na apopleksję, Wicka zaś schwytano na granicy z towarami i oddano do więzienia na kilka lat.

Moszek nareszcie i Abraham robili wyborne interesy i zdobyli znakomitą fortunę. Wciąż słyną oba ze sprytu i energii i wszystkich trzymają za głowy.

Zacny ojciec ich, stary Cymes, niegdyś paralityk, cieszy się zdrowiem i "handluje pieniędzmi".

Ludzie, znający miasto, którzy patrzyli na mizerny koniec pisarza i całej rodziny Wicka, tudzież na szybkie wyniesienie się Moszka i Abrahama, często powtarzają przysłowie:

Jednym — szydła gołą...

Drugim — brzytwy nie chcą!...

\* \* \*

## PAN DUDKOWSKI I JEGO FOLWARK.

Pociąg miał ruszać. Nizkie taczki tragarzy biegały z podwójną szybkością, spóźnieni podróżni niespokojnie wypytywali się o miejsca w wagonach, roznosiciele pism kręcili się między przedziałami, dokuczliwi jak komary. Zawiadowca co chwila podnosił do ust świstawkę, ażeby wydać ostatnie hasło, a zniecierpliwiona lokomotywa parskała kłębami pary.

Pan Dudkowski już miał miejsce w drugiej klasie. Walizkę i torbę położył w siatce, laskę i parasol oparł w kącie, a szal rozesłał na siedzeniu. Potem, zdjawszy kapelusz, umieścił go obok walizki, a na głowę włożył czarną, jedwabną czapkę z miękim daszkiem. Wydobył ukradkiem lusterko z kieszeni i przekonawszy się, że szpakowata broda

i płócienny kitel nadają mu powierzchowność ziemianina z krwi i kości, uśmiechnął się i stanął w oknie.

Na platformie jego małżonka, Hennancya, prowadziła ożywioną rozmowę z młodzieńcem o bladej twarzy i niebieskich oczach, a kilkunastoletnia córeczka, ziewając, zapytywała guwernantki: kiedy nareszcie ruszy pociąg? gdyż ją bolą nogi od stania.

Pan Dudkowski wychylił się z wagonu.

— No, do wadzenia, Minciu! — rzekł do pani.

— Do widzenia, do widzenia! — odparła dama, nie patrząc na niego.

Zdawała się być silnie zajęta wybladłym młodzieńcem.

— Uważasz, Minciut mówił pan. Przyślij mi na wieś ten duży kosz zamykany, to będziesz miała co tydzień świeże jarzynki... Trzeba także wydobyć ze strychu kojec, bo chciałbym wam przysyłać kurczęta.

— Na co się to wszystko zdało — odparła pani z odcieniem niewiary.

— Jak to na co? — oburzył się pan Dudkowski. — Po to przecie kupiłem folwark, ażeby mieć pożytek.

— Kwaśne mleko i świeże powietrze — dodała pani.

— Kwaśne mleko, świeże powietrze i owoce dla siebie, a jarzyny, masło i kurczęta dla was.

Rozległ się ostatni dzwonek. W wagonach trzeciej klasy zaszumiało jak w ulu, pociąg ruszył a zanim przez kilkanaście kroków biegła gromada żyd

ków, którym widać zabrakło czasu do ukończenia interesów z odjeżdżającymi współwyznawcami.

Pan Dudkowski wychylił się jeszcze mocniej z okna.

— A nie tęsknijcie za mną!.. — wołał, machając jedwabną czapczką.

Blady młodzieniec zdjął kapelusz, córka przesłała mu kilka pocałunków, guwernantka zawołała: atie!... atie!... i tylko pani Hermancya skinęła niedbale głową i ręką, zabierając się do powrotu z bladym towarzyszem.

Do przedziału wszedł konduktor i zażądał biletów.

— Pan dobrodziej na wieś, na letnie mieszkanko? rzekł do Dudkowskiego.

— A tak, do mego folwarku — odparł pan Dudkowski, nieco ociągając się ze znalezieniem biletu. Gdzie ja go podziałem?... — pytał i szukał po

kieszeniach. — Człowiek aż się zapomina, tyle ma kłopotów... W Warszawie kamienica, a jeszcze do tego kupiłem folwark z pysznym ogrodem... Oto bilet — ciągnął, wydobywając kartę z kieszeni od kamizelki. Ciekawym, jak mi się też powiedzie gospodarka na wsi. Konduktor zwrócił się do drugiego podróżnego, a ostęplowawszy bilety, dotknął ręką daszka i wyszedł z przedziału. Przez chwilę słychać było tylko dudnienie i tur

kot wagonów. Drugi podróżny z zachmurzoną twarzą, wcisnął się w najdalszy kąt siedzenia, a pan Dudkowski kręcił się i chrząkał, chcąc zacząć z nim rozmowę. Wreszcie zapytał:

— Pan dobrodziej daleko jedzie?

— W Brześć.

— Ja na czwartą, stacye... W tych czasach kupiłem tam folwarczek...

Pyszna miejscowość!... Domek wygodny, ogród owocowy, pięć morgów gruntu... Posłałem tam onegdaj kucharkę, ażeby mi urządziła mieszkanie, a dziś jadę sam, na całe lato i jesień... Pan dobrodziej, zdaje mi się, jest obywatelem ziemskim?

— Nie — mruknął niedbale podróżny.

— Aha!... to pewnie pan dobrodziej mu kamienicę w Warszawie?...

— Nie.

— Ja — mówił pan Dudkowski — mam także kamienicę w Warszawie. Dwadzieścia pięć okienfrontu, cztery piotra i trzy oficyny, tuż obok przystanku tramwajów. Dałem za nią przed dwudziestu laty trzydzieści tysięcy rubli, a dziś warta sto dwadzieścia tysięcy. No, alem się też napracował przy niej!.. Co dzień byłem sam na każdym piętrze, co miesiąc sam odbierałem komorne od lokatorów... Bo u mnie, panie dobrodzieju, niema wielkich mieszkań, tylko małe, po dwa i po trzy pokoiki. Te dają najlepszy dochód, osobliwie, jeżeli wynajmować na miesiące...

— Pan nie gra w karty?... — spytał nagle podróżny.

— Nie — odparł z pośpiechem pan Dudkowski i pomyślał:

Do licha! czy to nie jest jeden z tych karciarzy, co ogrywają pasażerów na kolejach?...

— Pan może niema przy sobie kart? — rzekł podróżny.  
— Nigdy nie jeżdżę z kartami — odparł pan Dudkowski.  
Podróżny zamyślił się.  
— Pan nie umie grać, czy pan nie chce grać?... — spytał znowu.  
— Nie, nie, nie... Nie umiem!...  
— Szkoda! No, ale kiedy tak, to trzeba spać — zakonkludował podróżny, sięgając ręką pod siedzenie. Wydobył stamtąd pękata butelkę, wychylił część jej zawartości, mruknął: sławna! i wyciągnawszy się na wąskiej kanapce, zaczął chrapać jak astmatyk.  
Tak niezwykle postępowanie zaniepokoiło trochę pana Dudkowskiego, który zaczął przypuszczać, że nieznajomy, nie mogąc ograć go w karty, może zechce go uspić i zrabować. Przytulił się do swego rogu i udając, że drzemie, ślubował, że za pierwszym podejrzanym ruchem nieznajomego, schwyci alarmową linę, zwieszającą się nad oknem wagonu i wstrzyma pociąg.

— Po com ja u licha mówił mu o kamienicy i folwarku?... — myślał pan Dudkowski, obserwując podróżnego z pod daszka.  
ile podróżny spał tak szczerze, iż trwoga pana Dudkowskiego uspokoiła się, a miejsce jej zastąpił sen, co prawda bardzo czujny.  
Jednocześnie z zatrzymaniem się pociągu podróżny gwałtownie obudził się.  
— Co to?... — zawołał.  
— Pociąg stanął na stacyi — odparł słodko pan Dudkowski.  
Podróżny popatrzył na niego zaczerwienionemi oczyma, jakby usiłując coś sobie przypomnieć, a po chwili zapytał niewyraźnie:  
— Pan gra w karty?  
— Nie — odparł pan Dudkowski.  
— Szkoda, będzie nudno jechać! — mruknął. Następnie wydobył z pod siedzenia flaszkę, przez chwilę pił tak, aż mu oczy łzami zaszczyły i ułożywszy się powtórnie na kanapce, rzekł:  
— Spać się chce. W Warszawie całe dwie noce nie spałem.  
— Pan komisarz bawił się zapewne z przyjaciółmi — zapytał pan Dudkowski, nie wiedząc, skąd przyszedł mu do głowy ten tytuł.  
— Trochę z przyjaciółmi, trochę z damami... Damy najwięcej zabierają czasu... Tfu!... — splunął podróżny i w tej chwili zasnął.

Pan Dudkowski uczuł pogardliwą litość dla człowieka, któremu damy czas zabierają i — znowu zaczął drzemać. Potem przypomniał sobie, że i w jego życiu kobieta odegrała wielką rolę. Ożenił się, będąc już w pewnym wieku, z osobą młodą i przystojną, która nigdy nie okazywała mu nadmiaru przywiązania, a zaś od pięciu lat traktowała go z lodowatą obojętnością. Pomimo, że pan Dudkowski i teraz jak dawniej regularnie co miesiąc odbierał od lokatorów komorne, co roku podnosił cenę mieszkań, a w ostatnich czasach wybudował w kamienicy parę sklepów, żona coraz mniej dbała o niego. Skończyło się wreszcie na tem, że nietylko zagarnęła wszystkie dochody, ale nawet odmawiała mężowi drobnej pensyjki na cygara i czarną kawę po obiedzie, nie żałując jednak wydatków na teatry, koncerty i stroje dla siebie.

Pan Dudkowski czuł swoje upokarzające stanowisko, ale do wyemancypowania się nie miał siły ani, co gorsza, odwagi. Dopiero wdali się w to starzy przyjaciele, a jeden z nich, wysłuchawszy spowiedzi zawojowanego męża, powiedział mu, że nienaturalna jego rola w domu i coraz trudniejsza pozycja wobec żony, pochodzi — z żołądka.

— Wylecz się — mówił przyjaciel — nabierz sił. a wszystko wróci do porządku.

Ponieważ pan Dudkowski szczerze pragnął, już nie przewagi, ale choćby równouprawnienia wobec

swojej małżonki, więc — zwołał konsylium. Doktorzy obejrżeli go, opukali, nakiwali się głowami, a w końcu zdecydowali, że, jeżeli może co przywrócić w domu powagą pana Dudkowskiego, to chyba świeże powietrze, mleko, szczególnie kwaśne i owoce, słowem — wieś i odpoczynek.

Teraz — wieś, odpoczynek i odzyskanie sił, stały się zmorami nieszczęśliwego właściciela kamienicy. Nie dawały mu spać, chodziły za nim po wszystkich piętrach domu, przeszkadzały w zapisywaniu meldunków, myliły mu preferansa. W końcu tak zatruiły mu życie, że

przeczytawszy na wiosnę ogłoszenie o "posiadłości ziemskiej w pięknym położeniu z ogrodem i budowlami, w sąsiedztwie drogi żelaznej" zaciągnął, rs. pożyczki na proc. i bez targu — kupił folwarczek.

W parę tygodni wysłał tam kucharkę Małgorzatę, we dwie doby po niej wyjechał sani, nie spotkawszy ze strony małżonki najmniejszego oporu. Owszem, zrobiła nawet uwagę, że już od pięciu lat powinien był zacząć kurację, co, mówiąc nawiasem, zasepiło mu ostatnie godziny pobytu w Warszawie.

Oparty w kącie wagonu i pogrążony we wspomnieniach, ani spostrzegł pan Dudkowski, że pociąg przejechał już dwie stacje. Dopiero głos konduktora, zwiastującego zbliżanie się do celu podróży, obudził go.

Jednocześnie zerwał się z kanapki i jego towarzysz.

— Co to?.. — zawołał, z trudnością podnosząc obrzmiałe powieki.

— Dojeżdżamy do mego folwarczku — objaśnił uprzejmie pan Dudkowski. — Ciekawym, czy też Małgorzata spodziewa się mnie? — mówił jakby do siebie, zdejmując walizko i torbę. Żegnam pana komisarza dobrodzieja!...

Obaj panowie ukłonili się sobie, a zostający w wagonie podróżny mruknął:

— Bardzo szkoda, że pan nie gra w karty!..

Potem wydobył z pod siedzenia swoją butelkę i nie pierwszej odjął ją od ust, aż pan Dudkowski wysiadł z wagonu.

— Szczęśliwej podróży!.. — zawołał nowy ziemianin, uchylając mięciutkiej czapeczki.

Podróżny smutnie kiwnął głową i jeszcze energiczniej wyciągnął się na kanapce.

Stanąwszy przed dworcem pan Dudkowski uczuł, że się pod nim nogi chwieją, co mu przypomniało opowiadania o żeglarzach, którzy, po kilkumiesięcznym pobycie na statku, wysiadłszy na ląd, zataczają się jak pijani. Pochlebiało mu, że jest tak zmęczony podróżą i z przyjemnością myślał, że w tej chwili znajduje się przeszło o sześć mil od Warszawy. Co też tam mówią o nim przyjaciele, rodowici warszawiacy, z których żaden nie zdobył się na tak

śmiałą wycieczkę i nie chwiał się na nogach ze zmoczenia!..

Tymczasem pociąg odjechał, urzędnicy stacyjni rozeszli się, a na platformie został tylko pan Dudkowski i stróż, apatycznie zabierający się do nałożenia fajki.

Pan Dudkowski zwrócił się do niego.

— A niema tu, mój bracie — rzekł — jakich koni do wynajęcia?...

Stróż, powoli, napychając tytuń w fajkę, obejrzał pana Dudkowskiego od stóp do głów i odparł:

— Jest tu para żydków na stacyi, co odwożą gości.

Istotnie, jakby z pod ziemi, ukazało się trzech żydków, kłócących się widocznie o pasażera. Jeden, nich bez pytania schwycił torbę pana Dudkowskiego, drugi wziął go za szal i rękaw płóciennego kitla, a trzeci odepchnął obu, wrzeszcząc:

— Idźcie do dyabła, to mój gość!... Moie tu przecie gospodyni nakazała, cobym wielmożnego pana przywiózł...

— Co ty masz za brykę?... — odparł drugi. Tobie cieleta wozić, nie państwo...

— On ma tylko jednego konia, wielmożny panie! — wołał trzeci, zastępując drogę panu Dudkowskiemu.

Ale żydek przysłany przez gospodynię okazał najwięcej energii.

Wyrwał wahającemu się panu Dudkowskiemu z rąk parasol i laskę, zarzucił sobie na plecy walizę i torbę i, odepchnąwszy wymyślających mu współzawodników, szybko pobiegł na dziedziniec.

Pan Dudkowski machinalnie poszedł za nim.

Bryczka, którą miał jechać, nie obudziła w nim ufności. Miała wydarte boki i mały pęczek grochowin w siedzeniu, a ciągnął ja, jeden wysoki i chudy koń na nogach dziwnie pokrzywionych. Ponieważ jednak furman naglił do wsiadania, a dwaj inni już i panu Dudkowskiemu zaczęli wymyślać, siadł więc prędko, polecając się Bogu. W tej chwili po raz pierwszy uczuł tęsknotę za Warszawą. Żydek zaciał konia i popędził po nierównej drodze, ścigany przez dwie inne bryczki, z których dolatywały szydercze śmiechy i złorzeczenia. Nie dość na tem, żydkowie bowiem wyprzedzili jego ekwipaż i, jadąc naprzód, wzniecali ogromne tumany

kurzu, który wnet zasypał odzież pana Dudkowskiego i począł mu włożyć w oczy, uszy, w nos i usta.

Ale podróżny nie zważał na to, zajęty utrzymywaniem równowagi. Siedzenie co chwilę wymykało się z pod niego, a wreszcie grochowiny rozlały się tak, że pan Dudkowski musiał klęknąć w bryczce, trzymając się obu rękami krawędzi. Do kurzu, trzęsienia, podrzucania i tym podobnych dolegliwości fizycznych, dołączyły się jeszcze moralne. Najprzód koń, idąc po jednej stronie dyszla, wciąż spy

chał bryczkę na rów przydrożny, gdzie według przewidywań pana Dudkowskiego, można było utonąć. Powtóre, należało przejechać sosnowy las, w którym nowy ziemianin obawiał się rozbójniczej napaści ze strony niechętnych mu furmanów. To też zdarzały się w ciągu tej krótkiej zresztą podróży chwile, podczas których pan Dudkowski tracił wszelką nadzieję odzyskania sił na świeżem powietrzu i czuł niedającą się opowiedzieć tęsknotę do Warszawy. Parę razy chciał krzyknąć: zawracaj! ale powstrzymała go od tego reszta ambicyi, jaka wywiózł z domu w charakterze właściciela folwarku. Gdy zaś skutkiem gwałtownego nachylenia się bryczki na skęcie, zupełnie już stracił ambicyę i krzyknął: stój!... w blaskach zachodzącego słońca ujrzał szczyt dachu i wierzchołki topoli, które otaczały jego folwark.

Niebawem zajechali przed dom, a w sieni ukazała się Małgorzata śmiejąca się i płacząca naprzemian. Zdziwiło to pana Dudkowskiego. Gdy więc żydek znosił mu rzeczy do pokoju, zapytał służącej — co to znaczy? — Ach, panie! — mówiła kobieta — cóż to za przekłeta wieś... Ledwie tu wysiadła, zaraz przyszedł jakiś obdartus na pżekucyę od wójta gminy i takie wyrabiał brewerye, żem musiała mu dać dwa złote. Potem, krowa wyszła mi w pole i zabrali ją do dworu, stąd o dwie wiorsty. Potem, kiedym po

szła kupić dla pana mięsa, to mi dali taką pieczeń cielecą jak z trupa, że jej w domu utrzymać nie można było i jeszcze wzięli po złotemu za funt. Ale najgorsze, panie, te dzieciśka chłopskie. Włazą, do ogrodu po kilkoro i



rwą maliny, porzeczki, agrest jak u siebie. A kiedy na nich zaczną krzyczeć, to, gałgany rzucają kamieniami!...

Panie!... — kończyła wierna sługa, szlochając — przez dziesięć lat w Warszawie tyłem złego nie doznała, co tu przez dwa dni... A jakie stare masło nam sprzedali!..

Pan Dudkowski uspokajał Małgorzatę i zapewniał, że wszystko będzie dobrze, choć sam czuł wielki niepokój.

W tej chwili zbliżył się furman z czapką w ręku.

— Cóż ci się należy? — zapytał pan Dudkowski.

— Rubelka — odparł żydek niedbale. Ale ja tu mam jeszcze do wielmożnego pana interes...

— Jakto, rubla za ten kawałeczek drogi, taką taradajką i takim koniem?...

— To stała cena — odparł żydek — i nawet nikt się nie targuje.

Mówił z taką niezachwianą pewnością, że pan Dudkowski wypobył woreczek i z bólem serca dał furmanowi rubla.

— A ile tyś zapłaciła od stacyi?... — spytał machinalnie kucharki.

— Czterdzieści groszy!...

— Oszukałeś mnie, żydzie! — krzyknął pan Dudkowski.

— Niech Bóg zabroni!... Ale przecie co innego sługa, a co innego wielmożny pan. Jabym się wstydzi! powiedzieć czterdzieści groszy takiemu panu, co ma kamienicę w Warszawie i grunta u nas...

Pan Dudkowski umilknął.

— Chciałem jeszcze prosić wielmożnego pana — ciągnął żydek — żeby pan swój ogród wypuścił w arendę jednemu tutaj żydkowi...

— Ja nie wypuszczę ogrodu w arendę... — odparł zimno pan Dudkowski.

— Dla czego pan nie wypuści? — zdziwił się żydek. — Przede ten ogród był co roku w arendzie...

— Nie wypuszczę.

— Nu, to co pan z niego będzie miał? Tu wszystko rozkradną.

— Nie bój się, gdzie ja jestem, tam będzie dozór — odparł pan Dudkowski wyniosłym tonem i wszedł do pokoju.

Ledwie zdjął podróżny kitel, już żydek ukazał się w oknie i mówił przez otwarty lufcik:

— Proszę pana, niech pan takie głupstwo nie robi i biednym żydkom chleba nie odbiera. Coż to, pan sam będzie pilnował ogród?...

— Wynoś się.

Żyd jeszcze powstał, wreszcie odszedł, mrużąc:

— Oni tu i pana ukradną...

Pan Dudkowski chciał się umyć. W tym celu udał się do kuchni i — tam znowu zobaczył furmana, który, stojąc w sieni, rzekł:

— Niech wielmożny pan nie upiera się. Ten żydek da panu zaraz jutro dwadzieścia pięć rubli...

— Ale idź do dyabła!... — krzyknął, już rozgniewany pan Dudkowski i wypchnął furmana za drzwi.

Potem umył się i orzeźwiony kazał sobie podać talerz kwaśnego mleka z razowym chlebem, wedle przepisu lekarzy. Lecz, gdy wszedł do jadalnego pokoju, zastał przy drzwiach furmana, który mówił:

— Bo może wielmożny pan nie chce temu żydkowi wypuścić w arendę, to ja znam drugiego, który także chce wziąć ogród. On by nawet dał wielmożnemu panu trzydzieści rubli...

Pan Dudkowski uniósł się.

— Małgorzato! — krzyknął nadludzkim głosem — sprowadź mi tu policyę...

Furman stropił się.

— Na co policyę? — rzekł spokojnie — ja i tak pójdę... Chciałem panu wygodzie, nu, ale kiedy pan woli sam pilnować ogrodu, to co ja zrobię?...

Dobranoc panu.

I odszedł, tym razem na dobre, gdyż wiedział, że

o kilkadziesiąt kroków stąd, mieszka wachmistrz straży ziemskiej, do którego czuł antypatyę.

Zawziętość nie leżała w naturze pana Dudkowskiego. Jak wszystkie dusze szlachetne, umiał on nagle wybuchnąć i szybko uspokajać się. Przeszedłszy

się więc parę razy po jadalni, której umeblowanie składało się ze stołu, dwu krzeseł i wielkiego kufra, zasiadł do kolacyi.

Chleb razowy był trochę ościsty i może zanadto kwaśny, a mleko podeszło serwatką i miało smak zdradzający długie przebywanie w wilgotnej piwnicy. Mimowoli przyszły na myśl panu Dudkowskiemu wesołe kolacze w Warszawie, gdzie o tej porze mógł wypić doskonałej herbaty, zjeść parę gatunków zimnego mięsa, przysłuchiwać się dowcipnym rozmowom młodzieży, otaczającej jego żonę — i westchnął. Trwało to jednak bardzo krótko. Przypomniawszy sobie bowiem, że dziś właśnie zaczyna się dla niego epoka odpoczynku i kuracyi mlecznoowocowej, po której odmłodzony, wzmocniony na duszy i ciele, wróci do Warszawy objąć napowrót stanowisko pana. domu. Małgorzata weszła zebrać naczynie.

— No i cóż — spytał pan Dudkowski, wykałając zęby po mleku. Pyszna miejscowość, nieprawda?.. Czegóż się tak krzywisz?..

Kucharka, zrobiwszy kilka wysilen w celu opanowania się, wybuchła głośnym płaczem.

— Czyś zwaryowała? — rzekł pan Dudkowski, powstając z krzesła.

— Ach, panie! — jęknęła — jak mi tu smutno, jak mi tu tęskno... Niema do kogo gęby otworzyć, wszyscy tacy ordynarni... A najwięcej żal mi tego Feliksa, co na pierwszym piotrze froterował podłogę, bo mi dziś akurat śniło się, że spadał z jakiejś wieży i że go złapała nasza sklepikarka.

Fan Dudkowski włożył ręce w kieszenie.

— I ty myślisz, głupia, że on się z tobą ożeni?..

— Powinien się ożenić, ale się nie ożeni, jeżeli ja uschnę z płaczu w tej zapadłej dziurze, gdzie nawet porządnego mięsa nie kupi.

Panu Dudkowskiemu przemknęło przez głowę że nim tu odzyska siły i małżeńską powagę, może pierwszej stracić wierną sługę. Unikając zatem dalszych objaśnień wyszedł do ogrodu.

Był to najcenniejszy klejnot jego majątku. Wieczór nie pozwalał przypatrzeć się wszystkim pięknościom ogrodu, ale za to oblewał go jakimś tajemniczym urokiem. Panu Dudkowskiemu zdawało się, że miejsce to niema granic, że drzewa są wyższe, a maliny i porzeczki gęstsze niż były w rzeczywistości. Pierwszy raz od bardzo dawna odetchnął pełną pierś, ciekawie słuchał dalekiego szczekania psów i

grzechotania żab. Duszę jego owładnęły nieznane dotychczas pragnienia. O, jakżeby chciał zobaczyć tu żonę, córkę, wszystkich swoich lokatorów!.. Z jaką

przyjemnością, wsłuchany w wiejskie odgłosy, wycinałby z księgi sznurowej kwity, na opłacony pobyt w jego folwarku!.. To nie podobna, ażeby w tak czarującym miejscu nie dało się wznieść kilku domków na letnie mieszkania...

W tem o parę kroków od siebie usłyszał szmer. Jakieś cienie wynurzyły się z pomiędzy agrestu i poczęły uciekać w głąb ogrodu.

— Złodzieje!... — krzyknął pan Dudkowski. — Łapaj!..

Pobiegł naprzód, lecz tylko zobaczył, że cienie przeskakują na drugą stronę płotu.

— Dam ja wam, łotry!...

W tej chwili odezwał się jakiś głos, niby odległe echo. Wymówił on przeciągłym, śpiewającym tonem trzy wyrazy, z których pan Dudkowski pierwszego wprawdzie nie dosłyszał, lecz odgadnął go po dwu innych, — Gałganie jakiś!... — krzyknął pan Dudkowski, nie posiadając się ze wściekłości.

Chwila milczenia i... Powiew ciepłego wiatru znowu przyniósł panu Dudkowskiemu te same trzy słowa, wymówione czysto i wyraźnie... Właściciel folwarku nie czekał na nową edycję wykrzykników, lecz prędko zawrócił do domu. Wszedł do kuchni, gdzie pod sufit sięgające łóżko słała sobie Małgorzata i kazał jej iść po wachmistrza straży.

Kucharkę zdziwił ten nadzwyczajny objaw energii. Nie pytając się jednak o powód, wzięła czempredziej okrywkę od pani, pasterkę od panny i parasolkę od guwernantki i znikła na ciemnym dziedzińcu.

Wkrótce wróciła, donosząc, że wachmistrz zaraz przyjdzie. Zaś w pół godziny później ukazał się przedstawiciel siły zbrojnej, otyły, spotniały, z szablą zaplątaną między rzemienie, z rewolwerem w olstrze. pytając co się stało?

Pan Dudkowski otworzył i zamknął szufladę stolika, a potem długo i życzliwie uściśnął dłoń przybyłego, mówiąc:

— Mój panie drogi, co ja tu mam zgryzot...  
— No, to się załatwi. Cóż takiego?  
— Z gminy nasłali mi jakąś egzekucję...  
— Jedną?... No, to pan zapłaci co się należy.  
— Krowę mi aresztowali...  
— Była w szkodzie. No, ale to nic. Pan ich wynagrodzi za straty i oddadzą.  
— A najgorsza rzecz, że jakieś łotry okradają mi ogród...  
— Tak, tu nie brakuje złodziei. Ja sam po całych dniach biegam za nimi, ale cóż... Ja pójdę za tymi, co włamują się do domów, a inni tymczasem okradają stajnię...  
— Ten ogród — mówił pan Dudkowski — to cała moja przyjemność, to moje zdrowie...

— Bieda!... — westchnął strażnik.  
— No, i co tu robić?... Wachmistrz zamyślił się.  
— Najpierwej trzeba go dobrze ogrodzić. Potem, ja im surowo zakazę, żeby tu nie wchodzili. No, a potem — jak pan złapie którego, to niech go pan skarci domowym sposobem, tak we cztery oczy...  
— A może by zapozwać łotra do sądu?... — zapytał pan Dudkowski, z miną człowieka, który zrobił wielki wynalazek.  
Wachmistrz pokiwał głową.  
— Widzi pan — rzekł — ja zaraz poznałem, że pan jest człowiek rozumny i umie z ludźmi rozmówić się po ludzku. Więc radzę, niech pan da pokój z procesami. Do policyi owszem. Policja, to jak rodzona matka, ona pana wysłucha, tamtemu da odrazu w zęby i on się uspokoi. Ale jak pan wystąpi z procesem, a jeszcze dostanie się w ręce tutejszym adwokatom, no — to bądź zdrów!  
Pan Dudkowski postanowił usłuchać rady i pożegnał poczciwego wachmistrza, który rzekł na odchodne:  
— Ot, pan kładzie się spać. a ja muszę zaraz jechać w jedno miejsce, gdzie podejrzewam, że będą dziś kradli. Taka nasza służba i cóż robić.  
Dobranoc panu!

Wysłuchawszy tych objaśnień, pan Dudkowski istotnie położył się spać. Doświadczył w ciągu dnia

tylu wzruszeń, że niebawem zasnął jak kamień. Ale podróż i świeże powietrze orzeźwiły go i miał sny bardzo przyjemne. Śniło mu się, że odmłodził, że może biegać, skakać, wdrapywać się na latarnie, jak to robił, mając lat dwadzieścia. Złudzenie było tak wielkie, że, gdy się ocknął, począł szukać zapalek, a nie mogąc ich znaleźć, zaczął bić pięścią w ścianę do kuchni i wołać Małgorzaty.

Formalnie był odurzony swoim przywidzeniem; ręce mu się trzęsły z radości.

Czujna służąca niebawem weszła ze świecą, wstydliwie zasłaniając włóczkową chustką braki swojej garderoby. Zdawała się być zdziwiona i zaniepokojona, choć trwogi nie było w jej głosie.

— A co panu?.. — zapytała łagodnie, zasłaniając ręką świecę.

Pan Dudkowski siedział na łóżku.

— Co?... co?.. — mówił, nagle przebudzony. Coś mi się zdawało, ale... już nic... Możesz iść spać Małgorzato.

— Także dyabli nadali! — mruknęła kucharka, mocno zamykając drzwi za sobą.

W kilka minut później pan Dudkowski usłyszał, że Margorzata szlocha i szepcze:

— Biednaż moja dola, po com ja tu przyjechała!..

Potem pan Dudkowski usłyszał pianie jedyne

koguta na folwarku i — znowu zasnął, tym razem aż do rana.

Pierwszą rzeczą, którą pan Dudkowski usłyszał zrana, był lament

Małgorzaty. Kucharka już nie płakała, ale wprost krzyczała w niebogłosy.

Chcąc ją zgromić, pan Dudkowski ubrał się śpiesznie i jak nawałnica gniewu wybiegł na podwórze. To jednak o czym dowiedział się wywarło kojący wpływ na jego wzruszenie. Okazało się bowiem, że tej nocy ukradziono pień do rąbania drzewa z pod szopy, stołek z sieni, balię z

zamkniętej sionki przy kuchni, a wreszcie — koguta, tego koguta, którego pan Dudkowski wprawdzie nie widział, lecz pianie słyszał o północy.

Wobec tylu katastrof właściciel folwarku domyślił się, że czujny wachmistrz przez całą noc musiał ścigać złodziei w innej wsi, skoro tu, prawie pod jego boki, dokonano takiej rozpusty.

Bardzo zgnębiony wyszedł pan Dudkowski na ogród, lecz i tu nic pocieszającego nie znalazł. Krzaki agrestu, malin i porzeczek były powyrywane z korzeniami; śliwy, okryte gęstym, lecz niedojrzałym owocem — połamane, a to samo powiedzieć można o gałęziach grusz i jabłoni.

Wobec tylu klęsk pan Dudkowski nie upadł na duchu; owszem jak wszyscy ludzie wielkiego serca uczuł, że budzą się w nim drzemiące dotychczas zapasy energii. Milcząc, wrócił do kuchni i spoj

rzawszy na Małgorzatę wzrokiem, w którym malowało się nieugięte postanowienie, rzekł grobowym głosem:

— Przygotuj rai garnczek rozrobionego wapna i nieduży pędzel. Niech nareszcie dowiedzą się te lotry, że jestem w domu.

Nic dziwnego, że w tej chwili, zahukany posiadacz kamienicy w Warszawie wydał się kucharce wspaniałym. Szybko rozrabiając wapno, łamała sobie głowę nad tem, że gdzie już widziała w życiu podobnie groźną postać. Nagle przyszło jej na myśl, że takim był Królikowski w roli zdradzonego męża, w chwili kiedy chce zerwać z rodziną swej żony, zabić ją i jej kochanka, przekląć dziecko, co do pochodzenia, którego nie miał pewności i sam udać się na tułaczkę.

Wapno już było gotowe. Pan Dudkowski zabrał garnczek i pędzel — i, dramatycznym krokiem, wyszedł na zewnątrz swego ogrodu, gdzie stał chylący się do upadku parkan. W tem miejscu cała wieś mogła widzieć nowego właściciela folwarku i zrozumieć jego intencje.

Plan pana Dudkowskiego odznaczał się genialną prostotą. Nieszczęsny ziemianin chciał zabezpieczyć się od kradzieży i dać pierwszy znak swojej czujności za pomocą stosownego napisu. Wziął więc do ręki pędzel z wapnem i na ciemnoszarych deskach parkanu ogromnemi literami zaczął malować słowa;

"Zabrania się wchodzić do ogrodu pod karą..."

W tej chwili od strony wsi zbliżył się do niego jakiś człowiek, ogromnej budowy, z twarzą czerwoną i trędowatą. Ubrany był w surdut czarny, świecący ze starości i mocno wyszarzane spodnie, których kolor mógł stanowić przedmiot poważnego sporu przynajmniej dla trzech istniejących w kraju stronnictw.

— Dzień dobry szanownemu panu! — rzekł z afektacją przybysz, do pana Dudkowskiego, zdaleka zdejmując kapelusz, którego powierzchowność stanowczo ubezpieczała od kradzieży.

Szanowny pan, widzę — mówił nieznajomy powoli, gardłowym głosem — jako dobry gospodarz troszczy się o zabezpieczenie swojej własności. Niestety! biedny nasz lud jest tak zdemoralizowany ostatnimi wypadkami, że tylko to szanuje, nad czym władza i sąd bezpośrednią roztoczą opiekę...

— Co to za dyabeł? — pomyślał pan Dudkowski, przysłuchując się napuszonej mowie, jaką dotąd można było słyszeć tylko na odczytach.

— "Zabrania się wchodzić do ogrodu pod karą," ciągnął nieznajomy, czytając napis na parkanie. Piękna myśl, szkoda tylko, że nie powiedziano: pod jaką karą i z jakiego paragrafu?

— Rozumie się, że pod karą bata — odezwał się pan Dudkowski, cieniując swój napis.

Nieznajomy pokiwał głową.

— Chce pan wskrzesić — rzekł — nasze piękne tradycje. Niestety! ostatnie wypadki zadały im cios śmiertelny, a dziś, rodzaj i wysokość kary nie zależą od strony pokrzywdzonej, lecz od wyroku sądowego. Zresztą, gdyby nawet ten napis oznaczał jakąś domową karę, wymierzoną poufnie, bez świadków, co zwykle wymyka się z pod kontroli sądu, to jeszcze i wtedy pożytek z napisu będzie mały, ponieważ ci, do których jest wystosowany, odczytać go nie potrafią.

Pan Dudkowski z zajęciem przypatrywał się nieznajomemu, którego logiczna wymowa dziwnie kojarzyła się z zapachem wódki. Istotnie, jak tu pisać ostrzeżenia do osób, które nawet liter nie znają?...



— Nie zastanowiłem się! — mruknął. — Cała robota na nic.

— Owszem — odparł nieznajomy — robota przyda się, jeżeli ją podeprze pan zrozumiałym symbolem. Dla tego radziłbym z obu stron ogłoszenia wymalować ręce, które trzymają dyscypliny. Nasz chłopiec pojmie to, a przykrości mieć pan nie będzie, ponieważ każdy ma prawo na swym parkanie, malować co mu się podoba, byle obraz był legalny i przyzwoity. Zachwycony pan Dudkowski już malował olbrzymią rękę, a w niej jeszcze większą dyscyplinę.

— Nie wiedziałem, że pan tak dobrze radzi — rzekł do nieznajomego. Ten uśmiechnął się.

— Niestety! — odparł — obawiam się, że pan nieraz będzie tu musiał korzystać z moich usług. Byłem niegdyś komornikiem w Warszawie, lecz po ostatnich wypadkach straciłem posadę i musiałem przenieść się na prowincję między lud, gdzie jestem adwokatem przy sądach gminnych. O ile zaś znam sytuację tego folwarczku. myślę, że będzie pan miał z nim dużo kłopotów.

— Co pan mówisz?... — wykrzyknął pan Dudkowski i na chwilę zaprzestał malować.

— Niestety!... Już dziś ma pan w gminie sprawy — za brak narzędzi ogniowych, za niedostarczenie szarwarku i stójki, za nienaprawienie mostka. Oprócz tego będzie pan miał proces za krowę, która weszła w szkodę, a pańska służąca za obelgi wyrządzone sołtysowi, który przyniósł palet egzekucyjny. Dalej, był pan dzisiejszej nocy okradziony, co z konieczności pociągnie za sobą stosunki z sędzią śledczym. Wszystkie te kwestye wymagają biegłego doradcy, lecz nie śmiem się panu narzucać. W każdym razie dowiedzieć się pan o mnie może u arendarza, który, choć żyd, jest jednak, jak tego dowiodły ostatnie wypadki, człowiekiem szlachetnym.

Na chwilę zamilkł, a następnie uchylając obszarpanego kapelusza, rzekł:

— A teraz żegnam i polecani się pańskiej pamięci.

Odszedł w stronę karczmy, a pan Dudkowski machinalnie rysował drugą rękę z dyscypliną, zdziwiony i zamyślony. Wymowa adwokata i jego pełne taktu zachowanie, imponowało mu, choć był rodzonym warszawiakiem. Przypomniawszy sobie jednak, co wachmistrz mówił o tutejszych adwokatach i dziękował niebu, że nieznajomy już go opuścił. — Wymowny bo wymowny — myślał pan Dudkowski — ale wódkę od niego czuć i musi być hultaj.

Już ty mnie nie weźmiesz! — dokończył w duchu, postanawiając wszystkie interesy załatwić osobiście albo przez wachmistrza. Pan Dudkowski bowiem, miał do niego zaufanie, dzięki ciągłym stosunkom z rewirowym i milicyantami w Warszawie.

— Z tymi przynajmniej wiem jak gadać — mruknął.

Tymczasem na drodze, kilkadziesiąt kroków od ogrodu, zaczęli się gromadzić widzowie, ciekawi, co nowy właściciel folwarku maluje na swym parkanie. Większą część zebranych stanowiły dzieci; nie brakło jednak i kobiet, a i chłopcy od czasu do czasu zatrzymywali się w gromadzie, nie tyle po to, ażeby się czegoś dowiedzieć, ile, ażeby pogapić się.

Między tłumem kolorowych fartuchów, słomianych kapeluszy, brunatnych sukman i szarych koszul, uwijał się człowiek w sztywnej czapce z dasz

kiem w długim paltocie, z rzadkim zarostem na twarzy, któremu, jakby dla kompensaty, towarzyszyły bujne i nieuczesane włosy na głowie.

Mężczyzna coś tłumaczył zebranym, przeplatając rzecz swoje wykrzyknikami, między którymi, zdawało się panu Dudkowskiemu, że słyszy wyrazy: "prawdziwy szlachcic, " bo dobrze nie rozumiał.

Gdy wizerunek drugiej ręki z dyscypliną był już ukończony, a pan Dudkowski, kontent ze swego dzieła, zabierał się do powrotu z pustym garnkiem i przemoczoną pędzlem, człowiek w długim paltocie zbliżył się do niego i rzekł, bez żadnych wstępów:

— Jak to zaraz widać, co pan szlachcic. Ledwie pan przyjechał, a już pan maluje baty...

— A cóż to, nie wolno? — spytał dumnie pan Dudkowski, nie pewny jednak, czy wolno.

— To nie do mnie należy, co wolno, a czego nie wolno — odparł nieznajomy. — Ja, tylko dziwię się, że państwo, ile razy mają rzecz z chłopem, zaraz muszą mu przypominać bat. Ja jestem pięć lat nauczycielem i jeszcze palca nie skrzywiłem na żadne dziecko, a pan, choć dopiero wczoraj przyjechał, już dziś wymalował sobie baty na płocie... Znać szlachcica!...

Panu Dudkowskiemu tak pochlebił tytuł szlachcica, że, zamiast wracać do domu, wdał się w gawędę z liberalnym człowiekiem, mówiąc:

— Tere... fere!... Cóż za związek ma bat ze szlachectwem.

Gość brzydko uśmiechnął się.

— Ja raz widziałem — mówił ożywiony — herb waszei wystawy rolniczej. No i patrzę, a tam, między grabiami i łopatami, jest bat...

— Cepy!... cepy!... — oburzył się pan Dudkowski.

— No, bo nie wypadało w dziewiętnastym wieku tak otwarcie malować bata...

Potem — ciągnął nieznajomy — znalazłem raz na ulicy spinkę od mankietu jakiegoś hrabiego i na niej znowu patrzę — jest taka hrabska czapeczka, okrągła, z daszkiem i — znowu bat.

— Ależ to dzokiejska czapka i bat na konie!... — zawołał pan Dudkowski.

— Niech i tak będzie — mówił gość, śmiejąc się. Ale przecie Mickiewicz dlatego został mianowany największym poetą, że chwalił i rekomendował bicie batami...

— Bajki! — ofuknął pan Dudkowski, wahając się jednak w duszy.

Gospodarowanie kamienicą tyle mu zabierało czasu, że nie bardzo wiedział o tem, co Mickiewicz zachwalał i rekomendował.

— Zawsze bat i bat! — dodał nieznajomy — i dla tego kto zechce chłopca usunąć z pod bata, ten musi usunąć szlachcica...

— Ehe! daj mi pan spokój ze swemi dowodze

niami — oburzył się pan Dudkowski. Przyszło mu na myśl, że nieznajomy chce go wciągnąć do jakiejś antyspołecznej propagandy, której się bardzo lękał.

Rozeszli się bez pożegnania. Mężczyzna w paltocie śmiejąc się ironicznie, a pan Dudkowski postanawiając bronić swego ogrodu przeciw wszelkim napaściom.

— Nie podobało im się to — mruzczał — że z dniem dzisiejszym położyłem koniec ich gospodarce. Gdybym się o tydzień spóźnił, nie zostałyby ani krzaczka w moim ogrodzie!...

Była już blisko dziesiąta i pan Dudkowski z wielką przyjemnością dowiedział się od Małgorzaty, że śniadanie gotowe. Ruch na świeżym powietrzu, obok innych szlachetnych skłonności, obudził w nim apetyt. Wypił dwie szklanki kawy i zjadł dwie ogromne chały z masłem, dziwiąc się mimochodem, że na wsi, w ojczyźnie nabiału, śmietanka przypomina zwarzone mleko, a masło trąci łożem.

Przy ostatnich kąskach uczuł znowu tęsknotę za ludźmi. Było mu ciężko, może dlatego, że nie widział swoich lokatorów, a może dlatego, że nie nawymyślał stróżowi i sam nie został zbuczany przez małżonkę, która zawsze zrana miała kwaśny humor i skarżyła się na ból głowy.

Wspomnienia tak wyczerpały duchowe siły pana Dudkowskiego, że zatoczył się na łóżko i przespał do dwunastej.

O tej porze uczuł znowu głód i wyszedł do ogro

du rozpocząć kurację owocową. Miał ochotę na maliny ze śmietanką i z cukrem.

Ledwie jednak postąpił parę kroków między zielonym gąszczem, usłyszał szmer i tętent i ujrzał na prawo i na lewo, przed sobą i za sobą, w malinach i w porzeczkach wielką liczbę główek z lnianymi włosami, słomianych kapeluszy i dziecięcych twarzy, poplamionych, szczególnie w okolicy ust, sokiem jagód.

Gniew opanował pana Dudkowskiego, tembardziej, że nietylko ci szkodnicy, którzy go najpierwej spostrzegli, uciekali sami, ale jeszcze nawoływali innych, mniej uważnych, czy też bardziej zatopionych w malinach. W dodatku przypominał sobie szpetne propozycje, jakie robili mu wczoraj wieczór.

Spłoszone dzieci pędziły jak stado wróbli, a za nimi pan Dudkowski, jak rozjuszony byk, wrzeszcząc: "stójcie łajdaki, bo strzele!..." Groźba ta zamiast pohamować, przyspieszała ich bieg i już ścigający myślał, że nie

pochwyci ani jednego jeńca, gdy nagle o parę kroków od siebie ujrzał chłopaka

Dzieciak nie mógł uciekać, bo był kulawy, upadł więc twarzą między zagony i zamknął oczy, przekonany, że ponieważ sam nie widzi pana Dudkowskiego, zatem pan Dudkowski i jego nie powinien zobaczyć. Prawie w tym samym miejscu leżał świeży pręt, który właścicielowi ogrodu wydał się narzędziem

Opatrzności. Schwycił go szybko i rzucił się na chłopca.

Biedny szkodnik na seryo pomyślał o ucieczce, ale było zapóźno. Czuł już na swym karku kościste palce, a o parę stóp niżej karku — giętkie, lecz twarde dowody oburzenia pana Dudkowskiego. Nowy ziemianin z początku wywijał opatrznościowym prętem niezbyt energicznie, jakby wahając się. Im jednak głośniej krzyczał chłopak, tem pan Dudkowski machał kijem wprawniej, a nawet zadziwiająco biegle. Doszło do tego, że stracił wszelką miarę i liczbę. Zdawało ma się, że w potężnej lewicy trzyma wszystkich szkodników, którzy mu rabowali ogród i że swoim prętem wydobędzie z nich każdą zjedzoną malinę i porzeczkę, tak potrzebne dla jego zdrowia.

— Tak u nas w Warszawie całują zbrodniarzu!... wykrzykiwał zasapany pan Dudkowski.

Nagle spostrzegł, że oprócz krzyku chłopca, i uderzeń pręta, słyszy jeszcze inne głosy. Odwrócił głowę i z drugiej strony niskiego płotu, zobaczył gromadę dzieci i ludzi dorosłych, którzy przemawiali do niego niezwykle podniesionym tonem. Była tam jakaś uboga kobiecina płacząca w niebogłosy, jakiś żydek w marynarce, który zwoływał innych, a nawet olbrzymi adwokat, z trędowatą twarzą, który machając rękoma jak kolejowy sygnał, krzyczał:

— Na Boga! co pan robi?... Ależ to straszna odpowiedzialność!... To grozi zesłaniem!...

W dobrem sercu pana Dudkowskiego zbudziła się litość. Już miał puścić chłopca; uczuł nawet potrzebę pogłaskania go, a nawet ofiarowania mu

kilku groszy na bułkę, gdy w tem — ktoś z tyłu rzucił sio na niego samego i wyrwał mu z rąk chłopca i pręt.

Był to nauczyciel.

— Ot, prawdziwy szlachcic! — mówił napastnik z szyderczem śmiechem. Niedarmo pan dziś zrana malował batogi!...

No bedzieszże pan miał teraz batog... Zaraz pojedę z chłopcem i świadkami do śledczego...

Hej! ludzie — zawołał do gromady — widzieliście jak bił tego nieszczęśliwego kalekę?...

— Jakże... widzieliśmy...

— I zaświadczycie o tem przed sądem?

— Zaświadczymy! — wrzasnął żydek w marynarce, reszcie bowiem nie uśmiechała się rola świadków.

— Pan adwokat także wszystko widziałeś? — pytał dalej nauczyciel, przenosząc chłopca przez płot.

— Niestety! — odparł adwokat — mam krótki wzrok...

— Przecie sam pan wołałeś, ażeby dał spokój?, oburzył się nauczyciel.

— Boże uchwaj! — odparł adwokat. — Ja, widząc, że pan chcesz się rzucić na tego obywatela, ostrzegałem pana...

Nauczyciel już z drugiej strony płotu, zwrócił się do pana Dudkowskiego.

— Dowidzenia! u sędziego śledczego!... Zaraz tam jadę...

Obity chłopiec nie wylał z pewnością tyłu łez, ile w tej chwili wylało się potu z czoła pana Dudkowskiego. Popędliwy obrońca ogrodu patrzył oniemiały na oddalającego się nauczyciela z gromadą i uczuł trwogę. Słyszał on coś, że sady surowo karzą za pobicie i zrozumiał, że żaden jeszcze akt samowoli nie spełnił się w tak sprzyjających dla sprawiedliwości warunkach, jak niniejszy. W biały dzień, przy kilkunastu świadkach, obił chłopca, w dodatku kulawego, a co gorsza — tak silnie protegowanego...

Patrząc nieruchomemi oczyma na gromadę, spostrzegł, że oddzielili się od niej adwokat i nauczyciel i żywo rozprawiali na stronie. W tej chwili pan Dudkowski uczuł gorącą życzliwość dla adwokata; domyślił się bowiem, że rozprawa toczy się o niego o jego wolność i życie...

Bardzo przygnębiony wrócił do domu, gdzie zastąpiła mu drogę Małgorzata.

— Co pan najlepszego zrobił z tym chłopcem?.. mówiła poczciwa kobieta.  
— A toż oni pana zgubią,

zaaresztują... Trzeba zaraz telrgrafować do Warszawy po panią...

O nieszczęście!..

Nim pan Dudkowski zdążył sformułować odpowiedź uspakajającą, wbiegł olbrzymi adwokat i szepnął:

— Słoweczko mam do szanownego pana. na stronie.

Po skórze pana Dndkowskiego zaczęły biegać niewidzialne mrówki.

Spełnił jednak życzenie adwokata i zaprowadził go na drugą strono domu.

Tam gość, rzuciwszy w koło okiem, zaczął:

— Panie, trzeba działać. Sędzia śledczy jest człowiekiem nadzwyczajnej zacności, ale, niestety! ma jedno uprzedzenie. Ze szczególną usilnością ściga tych, którzy znęcają się nad dziećmi...

Tu adwokat westchnął.

— Trzeba mu przyznać — ciągnął dalej — że w tym kierunku ma szczęśliwą rękę. W Kałudze, z jego starań dwu ojców, jeden wuj i jeden opiekun zostali zesłani za udręczenia. U nas — to samo spotkało obywatela, za pobicie dziewczyny folwarcznej,..

Pan Dudkowski naprózno usiłował zapanować nad rniinowolnemi ruchami szczęki. Drżącym więc głosem przerwał adwokatowi:

— Jakto, panie, więc ja niemam prawa bronie mojej własności?

— Owszem, ma szanowny pan prawo skarżyć przestępców do sądu.

— Ależ nim wypadnie wyrok, to oni rai tymczasem wszystko rozkradną!..

Adwokat wzruszył ramionami.

— Tak chce prawo, szanowny panie — rzekł. — Tą drogą pójdą nasi przeciwnicy.

— Wiec oni naprawdę podają skargę?.. Adwokat mocno ścisnął go za rękę.

— Boleję — rzekł — nad szanownym panem, ale popełniłbym występki, ukrywając prawdę. Nauczyciel — dodał ciszej — już zamówił dwie furmanki... Najwyżej za dwie godziny pojedą do sędziego: on z chłopcem i felczer z matką... Jutro zaś...

— Co... co jutro?...

— Jutro może pan być aresztowany.

Pan Dudkowski zakręcił się na miejscu, jak postrzelony gołąb.

— Natychmiast jadę do Warszawy! — jęknął.

— Na Boga!.. — zawołał adwokat — to może przyspieszyć katastrofę.

— Cóż więc robić?... Adwokat rozłożył ręce i milczał.

— Cóż robić, panie!.. — błagał go zrozpaczony pan Dudkowski.

Adwokat nachylił mu sio do ucha i rzekł:

— Natychmiast pogodzić się...

— Ale jak?

— Wynagrodzić...

W pana Dudkowskiego duch wstąpił.

— Ależ z, największą chęcią — zawołał, ściskając obie ręce mecenasa.

Może pan zechcesz być pośrednikiem?...

— Jeżeli mi szanowny pan ufa!.. — od parł adwokat i skromnie spuścił  
oczy,

— Więc ileż to, ile?... — pytał gorączkowo pan Dudkowski.

— Staralem się już wyrozumieć głównego powoda i nawet — udało mi się  
wytargować najniższą cyfrę...

— Więc ileż to?.. — nalegał pan Dudkowski, sięgając do portmonetki.

— Dwieście rubli.

— Jakto?.. — zapytał, cofając się pan Dudkowski. Ja sądziłem, że za parę  
leciutkich uderzeń, takim przecikiem, będzie dosyć parę... no — kilka  
rubli...

Adwokat machnął ręką z miną oznaczającą rezygnację.

— Niestety! — rzekł — szanowny pan nie zdaje sobie sprawy z  
położenia. Za parę godzin będzie już szło nie o pieniądze, ale o pańską  
wolność, a więc o zdrowie, życie.

— Ależ ja nie mam przy sobie dwustu rubli...

— Szanowny pan może ich dostać od arendarza, czas — ucieka... Nim  
przyjadą furmanki, mógłbym  
już mieć stosowny dokumencik...



— Drogi panie! — mówił pan Dudkowski, trzęsąc go za rękę, czy podobna, ażebym ja, na taką, prostą babę i takiego małego... takiego malutkiego chłopca, który mnie okradł, wydawał dwieście rubli?...

— Za własną spokojność wyda szanowny pan tę sumkę. Trzeba zaś pamiętać, że oprócz baby i chłopca jest tam felczer i — nauczyciel, nie licząc innych świadków...

Pan Dudkowski upadł na krzesło. Istotnie nauczyciel wydawał' mu się złym duchem, którego wypadało odżegnać za wszelką cenę.

— Drogi panie adwokacie, czy nie możnaby zniżyć sumy... To majątek!...

— Szanowny panie — odparł adwokat, kłaniając się — niemam prawa do pańskiego zaufania, ale... radzę pośpiech...

— A może jabym sam pogadał z nimi?...

— Nie śmiem odradzać, ale boję się, ażeby ten krok nie zepsuł' całych układów...

Od gościńca zaleciał turkot wozu. Adwokat spojrział w okno i z oznakami wzruszenia zawołał:

— Panie... bodaj czy już nie zapóźno...

— Co pan mówisz?...

— Jedna fura pojechała...

— Kiedy nie mam pieniędzy...

— Przyszłę, panu arendarza... Aby tylko nie wyszedł gdzie...

— Dam sto rubli!. — mówił pan Dudkowski.

— Na nic panie!.. Żałuję, że do tego wniósł.

— Sto pięćdziesiąt...

— Oho! jedzie druga fura.

Istotnie, otoczony obłokami kurzu, przemknął na gościńcu drugi wóz.

— Ha! więc idź pan po arendarza — mruknął pan Dudkowski stłumionym głosem.

Adwokat wybiegł, a we drzwiach ukazała się Małgorzata.

— Ach. panie!.. ach, panie!... — zawołała — jak oni pana obdzierają!.. A co na to pani powie?...

— Głupia jesteś! — krzyknął pan Dudkowski — więc lepiej żeby mnie wywieźli?... Pod słuchujesz mnie!... — dodał z gniewem.

Zacna kobieta zalała się łzami.

— Oto zapłata za wierną służbę! — mówiła, łkając. Ja jestem głupia, dlatego, że pan tracki pieniądze... O, Boże! teraz żyć nie warto, ani służyć... Ale kiedym się już tak uprzykrzyła panu, więc dobrze... Dziękuję za służbę i zaraz dziś pójdę, gdzie mnie oczy poniosą, a żeby już nie patrzeć na takie gospodarstwo.

— A leć na złamanie karku! — mruknął pan, który czuł w sercu dwieście obosiecznych sztyletów.

Boleść dobrej sługi, jej szlochanie i trzaskanie drzwiami nie dadzą się opisać.

Do pokoju wszedł arendarz. Był to stary żyd

z brodą siwą, rozdzieloną na dwoje, z długimi pejsami, w pończochach, w dymowym żupanie i aksamitnej krymce. Poważnie kiwnął głową panu Dudkowskiemu i rzeki z flegmą:

— Pan dziedzic ma wielkie zmartwienie z temi gałganami.

— Wiec iuż i pan wiesz o wszystkim?...

— Cała wieś wie. Teraz właśnie kłóci się tam z nimi adwokat, że strach... Musiał nauczyciela ściągać z fury i za kark prowadzić do mego mieszkania. Mało się nie pobili...

— O cóż im chodzi?

— Rozumię się, że o łajdactwo. Nauczyciel chce już trzysta rubli...

Panu Dudkowskiemu zrobiło się bardzo niedobrze. Wskazał arendarzowi krzesło i zapytał:

— Masz pan dwieście rubli?

— Dla pana dziedzica muszę mieć, choć będę miał wielki kłopot z propinatorem, bo to jego pieniądze.

Dziedzic gorączkowo schwycił pióru i papier, zabierając się do pisania rewersu.

— Ileż pan chcesz procentu za tydzień? Arendarz potrząsnął głową.

— Ja na tydzień nie mogę pożyczać — odparł. — U nas obywatele i nawet chłopcy biorą, co najmniej, na trzy miesiące.

— Ale ja na taki czas nie potrzebuję!...

— To pan dziedzic dla swojej spokojności może oddać za tydzień, ale procent porachuje się za trzy miesiące.

Arendarz mówił tak spokojnie, że pan Dudkowski stracił wszelką energię odporu. Zresztą nie było rady.

— Więc ile chcesz?.. — spytał, ściskając zęby.

— Za trzy miesiące po pięć od sta, trzydzieści rubli i żydkowi pięć rubli, razem — trzydzieści i pięć rubli.

— Tyś oszalał! — krzyknął pan Dudkowski. W Warszawie najgorszy lichwiarz za trzy miesiące wzięłby odemnie sześć rubli. ,

— To niech pan dziedzic posyła do Warszawy — odparł arendarz tonem przyjacielskiej porady.

— Trzydzieści pięć rubli procentu!... — jęknął pan Dudkowski, zaczynając pisać.

— Procentu tylko trzydzieści rubli, a pięć rubli dla żydka...

— Dla jakiego żydka?...

— Dla tego co wczoraj prosił pana dziedzica o arendę ogrodu...

— Co to znaczy?...

— On mój krewny i bardzo wiele stracił przez to, że pan dziedzic nie wypuszcza ogrodu.

— To ten łotr, co mnie przywiózł od kolei za rubla?...

— On bardzo biedny, ma siedmioro dzieci,

swego ojca i matkę żony, a tylko jednego konia — odparł arendarz.

Pan Dudkowski o mało nie zapłakał, nie tyle nad biedą furmana, ile nad własną niemocą.

— Rozbijacie w biały dzień!... Pijawki!.. Wyzyskiwacze!... — mrucał, pisząc rewers na rubli.

— Pan dziedzic gniewa się niepotrzebnie — mówił powoli arendarz. Co ja na panu zarobię, to pan już z góry odbił w Warszawie na jednym moim krewnym, co najał sklep w kamienicy pana dziedzica. Sklep szedł zawsze po trzysta rubli, a jemu pan dziedzic kazał płacić rubli, drugie tyle...

— Bo pod moim domem jeżdżą w tym roku tramwaye — odparł pan Dudkowski, gryząc wargi.

— Dla mnie pan dziedzic lepszy niż tramway...

— Co innego mieszkanie, a co innego pieniądze... Taki procent to gorzej niż lichwa.

— Dla mnie dwieście rubli, to samo co dla pana dziedzica sklep. Każdy musi zarobić, a ja przecie nie zarabiam drugie tyle.. — odpowiedział arendarz, wydobywając z kieszeni pakę brudnych bankocetli.

Rewers już był napisany i pieniądze odliczone, gdy ukazał się adwokat, ocierając pot z czoła.

— Napracowałem się! — zawołał — no, ale dzięki Najwyższemu, możemy zakończyć sprawę.

— Padam do nóg panu dziedzicowi — rzekł arendarz, lekko kiwając głową.

— Więc skończone? — zwrócił się pan Dudkowski do adwokata.

— W połowie... — odparł uprzejmie zapytany. Miałem z nimi nie lada kłopot, chcieli już trzysta rubli, a nawet zupełnie zrywali układy. Ale udało mi się uspokoić ich...

— A cóż teraz?

— Teraz szanowny pan złoży pieniądze na ręce wachmistrza, oni złożyli mu już dokumencik i...

Pan Dudkowski natychmiast wybrał się do wachmistrza. Zbliżając się do jego mieszkania, usłyszał wielki hałas. Jakiś wysoki głos kobiecy wymyślał, a niski bas od czasu do czasu odpowiadał.

— Ty pijaczyno, obżartuchu, niedołęgo!... — wołała dama. Nikifor już kupił grunta i zebrał dwa tysiące rubli, a ty próżniaku nic... A teraz przy takiej okazji, dają ci ledwie dziesięć rubli...

— No, cicho, cicho... — mówił bas. — Dziękuj Bogu i za to...

— Ja ci dam cicho!.. Każdy grosz przepijasz na stacyi, albo przegrywasz w karty... Mógłbyś choć teraz zarobić z pięćdziesiąt rubli...

— Tobie mówią cicho!...

— Łżesz przedemną" że jedziesz na służbę,

a tymczasem wysypiasz się w karczmach albo u chłopów...

— Milcz, ty!... — krzyknął bas i tupnął nogą.

Po tupnięciu nogą, rozległo się niby parę kłaśnieć ręką i jednocześnie z sieni domu wybiegł naprzeciw pana Dudkowskiego poczciwy wachmistrz, jakby pchnięty niewidzialną siłą. Miał potargane włosy i niezwykle czerwone oblicze.

— Ach, ty podła baba!.. — krzyknął, ale zobaczywszy gościa, skłonił mu się i dodał nieco zaaferowany:

— Moje uszanowanie panu!... Ot, z babami zgryzota...

W tej chwili między panem Dudkowskim i wachmistrzem warknęło lecące z sieni polano. Wachmistrz obejrzał się niespokojnie.

— Zajdźmy do ogródka — rzekł, pchając gościa za węgiel domu. Ot, prędką kobieta! Dobra, że choć ją do rany przyłoż, ale jak wpadnie w złość, to nie daj Boże...

Pan Dudkowski miał minę człowieka, który nic nie widzi i nie słyszy. Weszli do ogródka. Wachmistrz uspokoił się i tylko od czasu do czasu spoglądał w okno. jakby podejrzewając, że stamtąd może wylecieć garnczek.

— No, — mówił wachmistrz — pan także miał kłopot. Szkoda, że mnie tu nie było, alem musiał wyjechać za jednym koniokradem...

— Żebyś pan wiedział, jak umie zdarli! — żalił się pan Dudkowski. Dwieście rubli!...

— Chłopca trzeba wynagrodzić — odparł wachmistrz — on kaleka. I matka jego biedna wyrobница...

— Ale ten nauczyciel... — wtrącił pan Dudkowski.

Wachmistrz machnął ręką.

— Uh! panie — westchnął — to taki padlec, że on sam wart więcej niż dwieście rubli. On tu zostawił u mnie dokument od tej kobiety i świadków, że nie mają pretensyi. No i adwokat padlec...

— Adwokat? — zdziwił się pan Dudkowski.

— Bez mała taki, jak tamten, ale strach jaki uczony człowiek... Pan widzi tę figurę kamienną świętego Jana?.. Adwokat z nauczycielem i z felczerem, od tego świętego wydobyliby pieniądze, gdyby ludzi zabrakło. Już takie padlecy, że — moje uszanowania!

Pan Dudkowski wziął dokument, wręczył pieniądze i odetchnął spokojniej.

— Ale, ale — przypomniał sobie wachmistrz. — Pańska krowa, co ją w szkodzie zajęli, zdechła na księgosusz i podobno jeszcze inne bydło zaraziła temu obywatelowi. Będzie pan miał nieprzyjemność.

— Niech ich dyabli wezmą! — mruknął pan Dudkowski.

— Chciałem leż pana ostrzedz, tylko niech się

pan nie lęka, że na pana nasadzają się dwie bandy: jedna chce dwór okraść, a druga podpalić. Ale już ja będę czuwał...

— Okraść i podpalić?..

— Tak, ale niech pan będzie spokojny. Ja mam na nich oko.

Panu Dudkowskiemu pożółkło, poczerwieniało i poczerniało w oczach.

Nagle ogarnął go taki strach, jak gdyby śmierć zobaczył. Błady, pożegnał zdziwionego wachmistrza i szybko pobiegł do domu.

Wpadłszy do kuchni, zawołał do Małgorzaty:

— Zamów konie i zbierz najpotrzebniejsze rzeczy. Dziś jedziemy do Warszawy. Chcą nas tu okraść i spalić...

Tym razem Małgorzata nie okazała najmniejszej wątpliwości i nie uroniła ani jednej łzy. Zaczęła się pakować.

Nad wieczorem, oddawszy wachmistrzowi klucze domu, pan Dudkowski z wierną służką jechał do kolei.

Na gościńcu zastąpiła mu drogę matka obitego chłopca, mówiąc:

— Może wielmożny pan choć z parę groszy zostawi memu chłopcu za takie bicie...

— Dwieście rubli wam dałem!... — krzyknął zaczepiony.

Kobieta pokiwała głową.

— Oj! oj! — mówiła — żeby mi się choć grosiszek

z tego dostał. A jak ich prosiłam, żeby mnie wsparły, to mi jeszcze dały w zęby...

Pan Dudkowski zamyślił się i — wręczył jej złotówkę, za co obsypała go tysiadcem błogosławieństw.

I wrócił do swej kamienicy, po dwudniowym pobycie na wsi. W kilka zaś dni później można było czytać w pismach ogłoszenie:

"Z powodu wyjazdu, sprzedaje się z wolnej ręki folwarczek, z budynkami gospodarskimi w dobrym stanie i pięknym ogrodem, w malowniczym położeniu, w bliskości drogi żelaznej, posiadający wszelkie warunki na letnie mieszkanie..."

\* \* \*

## SKARB ZAKOPANY

### PROLOG

Z wysokości, na której znajdujemy się obecnie, wzrok nasz ogarnia płat ziemi o kilkomilowym promieniu.

Okolica pełna wzgórz, wąwozów i lasów. Ten jasny pas, który w mnogich zakrętach zieloną przebiega łąkę, nikt nie wśród trzciny lub, rozszerzywszy się nagle, odbija w sobie połowę nieba, to rzeczka, którą podsycają liczne źródła, tryskające z pod stóp gór, albo z zarośniętych gąszczem wąwozów. Struga ta przepływa szeroką na paręset sążni, o wzniesionych i ostro zarysowanych brzegach dolinę, która krajobraz dzieli na dwie połowy. Na lewym brzegu rozwiłmożnił się już człowiek, na prawym panują jeszcze najstarsze dzieci przyrody — lasy. Ten ciemny, tu zapadły, tam wydęty, ówdzie rozdarty, a wszędzie ogromny szmat, z pod którego kiedy niekiedy wydobywa się krótki pisk, nagły łoskot, albo przeciągłe i odległe dudnienie — to puszcza.

Olbrzymie kępy, obejmujące po kilkaset i kilka tysięcy wiekowych drzew, wyzierają z głębokich przepaści, pną się po bokach gór, lub na ich szczytach piętrzą się jedne nad drugie. Ożywiona tchnieniem wiatru masa ta poczyna niekiedy falować, a wówczas z poza odchylonych drzew widać białe, szare i czerwone skał wierzchołki; niekiedy także z wnętrza jej chyży wylatuje sokół, wzbija się pod obłoki i znowu szybko jak piorun w tajemnicze gęstwiny zapada.

O ile prawy brzeg doliny jest dziki i posepny, o tyle lewa jej strona jest wesołą i jasną. Najbardziej ku południowi wy

sunięty punkt tej połowy krajobrazu zajmuje miasteczko, od którego, równoległe do rzeki, biegnie kilkomilowy gościniec, łączący się gdzieś na północy z traktem głównym. Na falistym gruncie rozciągają się obszerne łąny już żółtawego zboża, między którym tu i ówdzie zieleni się okrągła głowa dzikiej gruszy. Z poza starych lip i drzew owocowych przegładają wieże kościołów, żórawie studzien i dachy budynków z gniazdami bocianiami na szczytach. Po łączkach i polach snują się drogi i ścieżyny, łączące między sobą wsie i odznaczone wysmukłymi topolami, czerwieniejącą jarzębiną, czarnym krzyżem lub białą kapliczką. Na wzgórzu, panującym nad okolicą, wznosi się majestatyczna rezydencja właściciela tych wsi, łąnów i lasów, stanowiących jeden wielki majątek, nazwany od głównej wsi Gródka kluczem Gródeckim. Murowana brama, zamknięta żelazną kratą, patrzy na drogę, biegnącą z miasta. Z poza krat wygląda potężny, siwy pałac z piaskowca, mający trzy piętra wżwyż, trzydzieści okien wzdłuż, ganek na czterech kolumnach, a pod nim ogromne drzwi rzeźbione. Dwie armaty, paszczami wkopane w ziemię, strzegą schodów ganku, a dwie okrągłe baszty — skrzydeł pałacu. Pan przez frontowe okna widzi setki pługów na swoich łąnach, albo powozy gości, spieszących do jego domu. Z okien tylnych gmachu przypatruje się tysiącnym stadom, które się pasą w dolinie, albo puszczy, w której prawica jego waliła nieraz dziki i niedźwiedzie. Między pałacem i doliną, na łagodnie pochyłonych wzgórzach, rozciąga się stary angielski ogród, pełen kamiennych łąw, posągów i ciemnych alei. Krynica, wytryskująca z pod prawej baszty, czystą i zimną wodą zasila dużą sadzawkę, która znowu podsyca rzekę w dolinie. Na południe od angielskiego, leży ogród owocowy i warzywny, a przy nich osiem wielkich murowanych budynków.

W stronie północnej zaś ogród angielski styka się z obszernym zwierzyńcem, dziś już zaniedbanym i gęsto krzakami zarosłym.



W korpusie zamku, prócz obszernej sieni z marmurową posadzką, znajdują się sale: balowa, jadalna, bilardowa i fechtunkowa. Wszystkie piętra lewego skrzydła obejmują pokoje dla gości, a prawego dla gospodarza. Parter przeznaczony jest dla służby.

Z dwu czteropiętrowych baszt lewa mieściła w sobie zbrojownię, prawa — bibliotekę.

W zbrojowni, posuwając się od dołu ku górze, widziałeś dawne łuki, dzidy i topory; wyżej zbroje, kopje i wielkie miecze jazdy pancernej, jeszcze wyżej ciężkie muszkiety różnych narodów, a najwyżej myśliwską broń i, ostatnie słowo ówczesnej techniki wojennej: skałkowy karabin z bagnetem.

Nie mniejszy ład panował w bibliotece. U podstawy jej umieszczono dzieła rolnicze i przyrodnicze; wyżej matematyczne, inżynierskie i artyleryjskie, które gospodarz czytywał najchętniej. Na szczycie mieściła się historia i filozofia, najwznioślejsze dzieła ludzkiego ducha.

Wszystkie te dobra, po długim szeregu przodków, dziedziczył obecnie stary generał artylerji, Stefan Gosiewski. Żona jego oddawna już zmarła, a dwaj synowie, Władysław i Marek, od kilku lat służyli w wojsku; generał więc gospodarował sam.

Pozbawiony tym sposobem rodzinnego kółka, pan Stefan nie miał bynajmniej pustelniczych instynktów. Przy nim też w zwykłych okolicznościach dom jego był ludny i wesoły. Oprócz licznej służby, zapelniali go rezydenci, zazwyczaj dawni podkomendni generała, a i goście nie brakło.

Jedni przyjeżdżali do Gródka po radę, inni po pieniądze; ten prosił w kumy, tamten na wesele, a ktoś trzeci znowu wstępował po drodze do pałacu i bawił w nim dnie lub tygodnie. Od czasu do czasu zbierało się też i całe sąsiedztwo

z odległości kilku i kilkunastu mil na polowanie, zapusty lub jakąś uroczystość rodzinną; wtedy pokoje roiły się gośćmi, a na obszernym dziedzińcu trudno się było przecisnąć między zajeżdżającymi powozami. Dwa razy do roku przechodziły tędy wojska na manewry do stolicy, a wówczas w zamku bywało ciasno. Z sąsiadów przyjeżdżał kto żył, wioząc ze sobą żony, siostry i córki z mnóstwem pudełek i węzełków.

Dzień przybycia wojsk był uroczysty. Dziedziniec wysypywano piaskiem, a we wszystkich oknach pałacu jaśniały wesołe twarze świątecznie wystrojonych kobiet.

Trzebaż było widzieć, z jaką niecierpliwością śledzono z baszt i balkonów ów szary tuman kurzawy, który stopniowo rósł, zwolna zbliżając się do zaniku... Już odróżniają awangardę od głównego korpusu, a piechotę od kawalerji... Już widzą muzykę, oficerów, krążących między oddziałami, kity i chorągiewki ułanów... Już rozeznają twarze, następuje wymiana ukłonów i nagle...

— Bataljon!... — rozlegają się głosy w kolumnach.

Chrześci broń, szeregi wyrównywają się, oficerowie sztywnieją. Wojsko już przeszło bramę.

Nowa komenda, nowy chrzest broni, muzyka gra, kolumny maszerują przed ganek, na którym w kompletnym uniformie stoi siwy jak gołąb generał. Po całym zamku i po szeregach przebiega szmer i okrzyk.

Wniesiono sztandary, żołnierze złożyli w kozły broń, w oknach zniknęły kobiece twarze, a do ogromnej sieni ciśnie się tłum oficerów. Na marmurowych schodach słycać szcęk ostróg i pałaszy, a w wielkiej sali balowej śmiech kobiet i skrzeczenie strojonych instrumentów. Za chwilę w otwartych naościach podwojach ukazują się zawiedli generałowie, groźni pułkownicy i bardzo kontenci ze świata, a najbardziej ze swoich wąsików, podporucznicy. Z chóru odzywa się mu

zyka, tłum oficerów ginie w tłumie kobiet, szable idą W kąt i prosto z mostu rozpoczyna się taniec.

Hej! hej!...

Od niejakiego czasu przecież wesoły ten ruch zamarł.

Na gościńcu, zamiast landar i karet, widywano bryczki i wozy napełnione rzeczami i ludźmi o przerażonych i smutnych obliczach.

Do pałacu rzadko kto z przejeżdżających wstępował, a jeżeli wstąpił — nie kazał nawet wyprzeżyć koni.

Bezczynna służba w dzień pojedynczo wałęsała się po obszernych komnatach, wieczorem zaś, zeszedłszy się razem, szeptała coś z niepokojem.

W pewne dni, po zachodzie słońca, zajeżdżały przed zamek od strony ogrodu wielkie fury, na które pakowano co najkosztowniejsze sprzęty i wyprawiano gdzieś... Bóg wie gdzie!...

Okolice nie była także weselszą. Po polach rozścielały się jakieś mgły i dymy brzydkie, choć jeszcze w całej pełni jaśniało lato. Na niebie widywano krwawe słupy, albo różgi ogniste. Dostrzegano też na cmentarzach groby naruszone, słyszano wśród cichej nocy żalosne jęki dzwonów i jeszcze żałośniejsze wycia psów...

W tej dziwnej epoce wichrom przybyły nowe tony sennej puszczy nowe echa, brzęczącym owadom nowe dźwięki, a wszystko takie groźne i dzikie, a wszystko tak natrętnie prześladowające struchlałego człowieka, wołając mu, wrzeszcząc, lub szepcząc: Wojna!... wojna!... ha! ho!... wojna!...

Pan Gosiewski sposepniał. Każda doba zabierała mu jakąś resztę swobody umysłu, rzucając wzamian nowy niewidzialny ciężar na głowę i nową widzialną zmarszczkę na twarz.

Stary generał, stroskany i zamyślony, skrzyżowawszy ręce na piersiach, po całych dniach mierzył krokami pokoje; niekiedy zatrzymywał się nagle jak nieprzytomny, to znowu rzu

cał się na kanapę albo na łóżko i leżał tam po parę godzin bez ruchu, jakby dla nabrania sił do swej nieskończonej, bezcelowej a bolesnej wędrówki. Spał krótko i niespokojnie. Wśród ciszy, której nawet nie naruszał szmer muchy ani miarowy łoskot zamkowego zegara, starzec zrywał się na równe nogi i zapalał światło. Zdawało mu się, że z jakiejś nieokreślonej odległości dolatuje go głuchy huk armat i rześiste salwy karabinów. Przecierał oczy, nasłuchiwał... i znowu z dreszczem upadał na łożo, przekonawszy się, że to jego własne pulsa tak biją.

Niekiedy znowu, szczególnie podczas ciemnych nocy, gdy w zamku wszystko już spało, Gosiewski powstawał ostrożnie, ubierał się bez światła i po omacku wchodził na najniższe piętro biblioteki, która do jego sypialni przytykała. Tam rozniecał małą, krytą latarkę, brał stojący w kącie rydel i wymykał się z nim na ogród, przez drzwi, według ogólnej opinii od niepamiętnych czasów nieotwierane. Gdzie chodził i co robił...

któż zgadnie? lecz pewnem było, że po każdej takiej wędrówce powracał zmęczony straszliwie.

Pewnego dnia generał wstał raniej niż zwykle, umył się jak zawsze cały zimną wodą, włożył długie juchtowe buty, grube spodnie i codzienną kurtkę z prostego sukna, poczem wyszedł do przedpokoju, o kilka komnat odległego od sypialni.

Tam Wojciech Król, dawny ordynans, a obecnie najzaufańszy sługa, klęcząc przed łóżkiem, mówił w tej chwili pacierz. Chciał się zerwać, lecz pan dał mu znak ręką i rzekł:

— Nie przerywaj... Jak skończysz, zawołasz mi Brzezickiego.

Wkrótce potem do sypialni generała wszedł Brzezicki, rządcą Gródka, człowiek nieco młodszy od Gosiewskiego i widocznie także ekswojskowy.

— Niech będzie pochwalony! Życzę zdrowia panu generałowi... — zaczął rządcą.

— Bóg zapłać! — odparł generał, usiłując (co mu się zresztą najzupełniej powiodło) nadać spokój głosowi i fizjognomji.

— Siadaj, kamracie.

Brzezicki, milcząc, ukłonił się i usiadł.

— Mieliśmy stąd wyemigrować w niedzielę, wszak tak? — mówił Gosiewski.

Rządcą potwierdził ruchem głowy.

— Otóż zmienił się plan — ciągnął generał. — Wyjedziemy jutro w nocy.

— Stanie się według woli pana generała! — odpowiedział Brzezicki i salutując po wojskowemu, wyszedł.

We drzwiach ukazał się Król, wyprostowany jak świeca.

— Mam honor zameldować panu generałowi, że Daniel z miasteczka przyjechał — rzekł służący.

— Tak rano?... Czegóż on chce?...

— Mówi, że ma pilny interes.

— Zawołaj go.

Za chwilę w pokoju zjawił się stary i poważny Żyd, w czarnym atlasowym żupanie, trzymając w rękach aksamitną, szpiczastą czapkę, obłożoną ciemnym, puszystym futrem u dołu.

Jenerał podkręcił siwe wąsy i z uśmiechem zawołał: — Dzieńdohry acanu!... Dawid, widzę, ranny ptaszek. Cóżto, może chcecie mnie prosić na wesele?

— Wolne żarty jaśnie panu! — odpowiedział Żyd, schylając się do ziemi.

— Ja tu przyszedłem wcale nie na żadne wesele...

— Cha! cha! — zaśmiał się Gosiewski. — Złe nowiny zapewne?... tani to dziś towar!... Siadaj Dawid i mów.

Żyd wśród ukłonów zajął krzesło, najbliżej drzwi stojące, i rzekł:

— Żeby jaśnie pan dziedzic nie pomyślał, co ja to tylko napróżno straszę, to ja zacznę od początku...

Jenerałowi drgnęły usta, uśmiechnął się jednak i słuchał.

— Jaśnie pan ma gotówką milion w złocie... prawda?... Może nie wiem?

— Bagatela! — odparł Gosiewski wesoło. — Przecież milion ten cały prawie przyszedł do mnie przez ręce Dawida, jakżebyś więc nie miał o nim wiedzieć? Handlujemy razem...

— To prawda, że razem. Ja jaśnie panu służę, sprzedaję pszenicę i pieniądze zwożę, a jaśnie pan daje mnie, co się jego łasce spodoba.

— I spodziewam się, że Dawida nie krzywdzę? — wtrącił jenerał.

— Jaśnie pan nikogo nie krzywdzi, ale nie w tem interes.

— Więc w czym? Mówże Dawid!

— Zaraz powiem, tyłkom jeszcze początku nie skończył. Jaśnie pan ma brylantów, pereł, szmaragdów i różnych kamieni za drugi milion... Może nie wiem?

Gosiewski bystro patrzył na Żyda, wybijając takt nogą. Twarz jednak pozostała spokojna, choć czuł, że mu chwilami tchu brakuje.

Dawid ciągnął dalej:

— Jaśnie pan ma jeszcze skrzynkę żelazną, a w niej wszystkie te pieniądze i kamienie... Prawda, że wiem?

— Cóż w tem złego, że wiesz, mój Dawidzie?

— Że ja wiem, to nic złego, ale że inni wiedzą, to jest źle. Oni jeszcze wiedzą, że jaśnie pan wyjeżdża stąd w niedzielę i oni jaśnie pana chcą napaść i cały majątek odebrać... Ach!...

Żyd mówił to drżącym ze wzruszenia głosem, generał się śmiał.

— Niech się jaśnie pan nie śmieje — mówił Dawid — ale niech pan mojej rady posłucha. Pan mnie odda pieniądze, ja je wywiozę i schowam i grosz stamtąd nie zginie... Pan mnie zna!

— Niech ci Bóg wynagrodzi, kochany Dawidzie! — rzekł Gosiewski, powstając i wyciągając do Żyda rękę, którą on ze czcią ucałował.

— Ufam ci i dziękuję, ale o mój majątek jestem zupełnie spokojny. Nie mam go już przy sobie...

— Jakto?... wywieziony?...

— Wywieziony — odparł generał.

— Chwała Bogu! A czy w pewnym miejscu?

— W najpewniejszym miejscu i w najpewniejszych rękach, wierz mi. Twarz Żyda rozjaśniła się.

— Kiedy tak, to wszystko dobrze! — mówił Dawid. — Jaśnie panu samemu łatwiej będzie...

— Naturalnie! — potwierdził Gosiewski, a potem dodał: —Ale! ale!... któż to chce na mnie robić ową zasadzkę? Czy możesz mi Dawid powiedzieć?

— Nie mogę, bo na pewno nie wiem — ale zdaje mi się, że paru mieszczan, paru naszych Żydków, nu... i ktoś ze dworu...

— Ze dworu?... — krzyknął generał.

— Bez urazy!... A skądby oni wiedzieli inaczej o skarbach?

— Prawda!... Ha, łotry!... — mruknął Gosiewski. Niech ci Bóg wynagrodzi, mój Dawidzie — rzekł po

chwili. — Jesteś znacnym człowiekiem, nie zapomnę o tobie!

Żyd powstał i patrząc zażawionemi oczyma w twarz jenerała, mówił przerywanym głosem:

— Jaśnie pan wyjeżdża... Kiedy to ja pana zobaczę?... Może już nie doczekam? !...

A potem, łkając, dodał:

— Panie... panie... Niech cię Bóg tak błogosławi na twoich drogach, jak my wszyscy Żydzi i chrześcijanie błogosławić cię będziemy... Niech twoje wrogi zmarnieją, a temu, coby na ciebie rękę podniósł, niech się ziemia pod nogami zapadnie!

Nastała chwila milczenia, w ciągu której zdawało się, że potężny magnat i uczciwy Żyd upadną sobie w objęcia. Skończyło się jednak na tem, że Żyd schylił głowę do ziemi, a jenerał uścisnął go za rękę, poczem rozeszli się. Po wyjściu Dawida Gosiewski zawołał służącego.

— No i cóż tam słyhać, mój stary? — zapytał jenerał, rozpoczynając swój zwykły spacer.

— Nic dobrego, panie jenerale! Grześ i Stanisław uciekli.

— O! — zdziwił się pan Stefan, stając na środku pokoju.

— Mała szkoda, co prawda! bo ta byli, z przeproszeniem pana jenerała, obaj straszne wałkonie.

— A nie wiesz ty, Wojciechu, poco to oni uciekli i dokąd?

— Kto ich tam wie! Zawsze jednak po nic dobrego. Jenerał wzruszony przeszedł się znowu.

— No, to ja ci powiem — rzekł. — Oni uciekli poto, ażeby nas napaść i zrabować, jak wyjedziemy stąd w niedzielę...

Stary uśmiechnął się z pod wąsa.

— O toby trafili!...

— Naturalnie! — potwierdził jenerał nieco weselej. — My wyjeżdżamy nie w niedzielę, ale jutro na noc...

Król machnął ręką i popędliwie przerwał:

— Jutro czy nie jutro, to zawszeby prędzej połknął kulę, niż dukata włożył w kieszeń!... Nas napadać... ho! ho!...

— Tęgiś jeszcze, mój stary, ale i tak nie potrzebujemy się niczego obawiać. Pieniędzy już niema!

Służący bacznie spojrział na pana.

— Dziwisz się? — ciągnął Gosiewski. — A jednak tak jest; pieneędzy już niema: wysłałem je tej nocy, kiedyś ty był w miasteczku.

Wojciechowi oczy błysnęły z radości.

— Chwat z pana jenerała, jak Boga kocham! Uwinął się pan... My się tam, co prawda, niczego nie boimy, ale zawsze

taki lepiej, że panicze będą pewni swego, niż żeby mieli stracić cały majątek, w razie Boże broń nieszczęścia...

Przysłuchując się tym rubasznym, lecz szczerym i energicznym wykrzyknikom Wojciecha, jenerał odzyskał nieco humoru. Uśmiechnął się więc i znowu spytał:

— Jak myślisz, co się też tu będzie działo po naszym wyjeździe? .

— Ha! cóż?... niby to pan nie wie!... Rządcy, jak nie stanie Brzezickiego, rozkradną jedną połowę, ekonomowie drugą, a jak wrócimy do domu, wszystko się złoży na wojnę. Ja bobym tam...

— Cóżbyś ty zrobił?

— Co? Wszystkie zbiory oddałbym chłopom i kazał im, żeby mi tylko na przyszły rok zasieli...

— Ot! widzisz, jakeś mi trafił! Ja właśnie tak zrobiłem.

— Zrobił pan, bo u pana to marszałkowski rozum. W tem jest sęk! Gosiewski stawał się coraz weselszym.

— No! a zatem jutro na noc, pamiętaj!... a broń opatrz, bo i tak niewiadomo, co się w drodze stać może.

— Rozumie się, panie jenerale. Żołnierz bez broni, to tak, jak, z przeproszeniem, panna bez fartucha. Każdy mu wlezie w drogę!



Po takim zakończeniu Wojciech wykręcił się na pięcie i odszedł do roboty.

Teraz generał zabrał się do przeglądania papierów i pieniędzy na drogę. Ukończywszy to, zasiadł do biurka i począł pisać.

Na pisaniu tem, z wyjątkiem pory obiadowej, zeszedł mu cały prawie dzień.

Ku wieczorowi zjawił się Brzezicki.

— No, i cóż? — spytał generał.

— Wszystko gotowe.

— Kogo bierzemy ze służby?

— Mnie i Wojciecha, panie generale, zresztą nikogo więcej nie radzę — odparł rządca.

Gosiewski zamyślił się i po chwili milczenia rzekł:

— Mój Brzezicki, trzeba nam jeszcze folwarki objechać...

— Pan sam nie potrzebuje. Ja zaraz wyjadę do Woli, rachunki sprawdzę, pieniądze, jakie będą, odbiorę, zanocuję tam, a jutro po dniu wstąpię do Skały. Na resztę drobiazgów szkoda czasu.

Rozmowa znowu urwała się, lecz gdy rządca zabierał się do wyjścia, generał zatrzymał go, mówiąc:

— Mój kochany, chciałbym z tobą trochę pogadać.

I z temi słowy wskazał mu krzesło.

— Ja, jak widzisz — ciągnął generał — jestem stary, a zresztą i bez tego nie wiem, co mi tam Bóg na jutro przeznaczył... Spisałem więc testament, z którym chciałbym cię zaznajomić pokrótce.

Brzezicki westchnął, a Gosiewski mówił dalej:

— Pominąwszy was wszystkich, ludzi wiernych i uczciwych, o których także nie zapomniałem, synom moim zostawiam zgórą dwa miliony w złocie i klejnotach. Majątek ten jest w dobrych rękach, a chłopcy niezawodnie dowiedzą się o nim, jeżeli będą żyli, i jeżeli, jakem tego

zawsze pragnął, zdadzą egzamina do korpusu inżynierji. Proszę cię, powiedz im to: egzamina do korpusu inżynierji, albo ani grosza!... Brzezicki szeroko otworzył oczy, jakby chciał sprawdzić, czy generał zostaje przy zdrowych zmysłach.

— Dziwisz się? — mówił, spuściwszy głowę Gosiewski. — Cóż robić! tak się złożyły okoliczności... Ale mniejsza o to...

— Pragnę w dalszym ciągu, aby Gródek i zamek wraz z przynależnościami został przy Władysławie i jego potomkach. Resztą majątku niech się podzieli z bratem na równo. Pamiętaj!

Wierny rządca przyrzekł pamiętać i słuchał dalej.

— Pragnę także, aby nigdy powodzenia swego nie opierali na cudzej krzywdzie, ale owszem, aby, ile razy zdarzy się sposobność, pomagali wszystkim ludziom ubogim a uczciwym, bez względu na stan i religję. Tyle im zatem daję rad: niech się uczyć inżynierji, bo to mądra nauka, i niech żyją, jak od nich wymagam, a majątek, duży majątek, nie minie ich...

Toż samo napisałem w testamencie, który oddam temu, kto będzie przy mojej śmierci.

Ciemno już było, kiedy Brzezicki, zabierając się jechać do Woli, opuścił pokój generała, unosząc z sobą tysiączne wątpliwości.

— Chłopaki są w ułanach — myślał — książki się boją, szczególnie też pan Marek, a stary, zamiast powiedzieć komu oddał, czy też gdzie schował takie skarby, każe im się uczyć inżynierji.

Tfy! do diabła... czy mi nie ufa, czy może co przystąpiło do niego? W imię Ojca i Syna!...

Z temi słowy wyszedł na ganek i wszedł na bryczkę, która go oczekiwała oddawna.

Nadeszła noc.

Światła w zamku pogasły, wszyscy już spali i czuwał tylko jeden człowiek — generał.

Ubrany zupełnie, wsunawszy ręce pod głowę, leżał on na wznak i słuchał bijących godzin i kwadransów, które się wlokły tak powolnie... Czuł, że go trawi straszna gorączka niepewności i oczekiwania. Kiedy niekiedy w pokoju rozlegał się jakiś stłumiony, metaliczny brzęk. Wówczas generał wstrzymywał oddech i przekonywał się, że szmer ten wydają żelazne pręty jego łóżka.

Ten stary wódz, bohater wielkich bitew, drżał teraz jak chore zwierzę, które myśliwcy obsadzają w legowisku.

O wpół do dwunastej Gosiewski wstał, chwilę zawahał się i ostrożnie zdjął z nóg buty. Potem cicho, zwolna, z wyciągniętymi naprzód rękoma, wszedł do biblioteki.

Dosięgnawszy schodów, prowadzących na dół, znowu się zawahał. Przyszło mu do głowy, niewiadomo skąd, że jest wielkim zbrodniarzem. W dzień oszukał trzech ludzi, którzy za niego życie byli gotowi oddać; teraz skradał się jak złodziej, a wkrótce miał się stać podobnym do ewangelicznego sługi, który zakopał powierzone mu skarby.

Alboż skarby te nie należały do niego, alboż nie miał prawa ich bronić? Miał prawo, a przecież w sumieniu jego toczyła się jakaś walka.

— O synowie moi! — szepnął starzec i zeszedł machinalnie na dół.

Chłodny powiew, jakby pochodzący z piwnicy, orzeźwił go.

Przy pomocy krzesiwa i hubki generał zapalił krytą latarkę i rozejrzał się dokoła.

Stał w lochu.

Nagie ściany okryte były szarą i czarną pleśnią, miejsce podłogi zastępowała wilgotna ziemia.

Na środku leżały mocno zbudowane taczki, w nich powróż i łopata. O parę kroków dalej stały dwie duże żelazne szkatułki.

Zdawało się, że na widok ten Gosiewski odzyskał zimną krew i energię. Postawił latarnię na schodach, opróżnił taczki i przystąpił do szkatulek.

Podniósł jedną i umieścił ją w taczkach, z drugą zrobił to samo. Jenerał był silny, lecz gdy skończył robotę, żyły rąk i czoła nabrzmiały mu jak powrozy.

Ciężar musiał być bardzo wielki. Chwilę odpocząwszy, jenerał zasunął latarkę, schował ją do kieszeni i po omacku zbliżył się do żelaznych drzwi, które bez trudności i bez szmeru otworzył.

Na dworze było zupełnie ciemno; przez szczeliny, oddzielające od siebie czarne i gęste chmury, tu i ówdzie majaczyło słabe światelko gwiazdy.

Gosiewski wychylił się do połowy przez drzwi otwarte i słuchał.

Drzewa, poruszane wiatrem, szumiały, jakby jakiś oddalony wodospad; na szczycie wieży ze zgrzytem obracała się blaszana chorągiewka; u stóp szemrało drobne źródelko. Z odległych wsi i folwarków dolatywały szczekania psów, a od bramy wjazdowej pałacu znużony głos nocnego stróża, który od czasu do czasu powtarzał swoje przeciągłe:

— Czu...waj! Czu... waj!...

Gosiewski cofnął się i po chwili przez niskie drzwi wieży wytoczył swoje ciężkie brzemie.

Pchając z całej siły opierające się taczki, przeszedł z niemi trawnik, wzdłuż pałacu leżący. Naprzeciw wieży ze zbrojownią stanął, aby odpocząć.

Nagle zdało mu się, że po długiej i czarnej jak piekło alei, która ciągnęła się ku dolinie, chodzi ktoś. Schwycił wtedy łopatę i najeżony jak lew posunął się krok naprzód... Lecz w alei przechodził się tylko wiatr, ten sam, który targał mu siwe włosy na nieokrytej i pałającej głowie.

Taczka posunęła się znowu i po kilkunastu krokach znowu stanęła. Na chwilę wiatr umilkł i słychać było tylko syczący i rzeżący oddech straszliwie znużonego starca.

Nowy wysiłek. Taczka podjechała znowu i wyminąwszy granice ogrodu, znalazła się tym razem w obrębie zarośniętego zwierzyńca. Zmęczony nad

wszelki wyraz generał padł na kolana przy ciężkich skarbach swoich i oparł czoło o krawędź żelaznej szkatułki.

Z tej zadumy czy też zemdenia ocknął się dopiero po upływie kilkunastu minut. Nie słyszał godziny północnej, która już dawno wybiła, ani piania kogutów, które teraz dopiero zaczęły sobie podawać pierwsze hasła. Ruszywszy z tego miejsca, wszedł już pomiędzy krzaki. W kierunku jego drogi słyhać było szelest gałęzi lub skrzydeł zbudzonego ptaka, to znowu cichy skrzyp taczki lub śpieszne dyszenie, przerywane niekiedy stłumionymi jękami.

Niedługo potem, wśród najgęstszych krzaków zwierzyńca, nad świeżo poruszoną ziemią, Gosiewski ułożył stos suchych gałęzi i podpalił go. Poczem, oglądając się niespokojnie, zwolna i z wielkim wysiłkiem podążył ku domowi.

W połowie drogi krew rzuciła mu się ustami.

Około trzeciej z rana ukazało się w zwierzyńcu purpurowe światełko. Światełko to niebawem stało się ogniskiem, zrazu małym, potem większym, a wreszcie przerodziło się w pożar, który ogarnął wszystkie zarośla.

W tej samej godzinie nad mgłą okrytą puszcza zajaśniały różowe i złote blaski wschodzącego słońca, a jednocześnie gdzieś z krańców horyzontu, od strony głównego traktu doleciał odgłos, jakiego dotąd nie słyszała jeszcze okolica.

Odgłos ten, z początku niewyraźny, stopniowo wzrastał się. Bliżej i dalej przybywały mu coraz to nowe tony. Chwilami można było sądzić, że w głębi puszczy dziesiątki tysięcy siekier drwa rąbią.

Dziwny ten szmer w okamgnieniu obleciał całą okolicę, zawadził o zamek i pobudził w nim śpiącą dotychczas służbę, która, chwilę posłuchawszy, chwyciła jak najspieszniej odzienie i rozbiegła się na wszystkie strony. Jeden tylko Wojciech Król nie podążył za innymi, ale, ubrawszy się, poszedł do sypialni generała.

Tam zastał pana rozebranego i leżącego jeszcze w łóżku. Starzec był śmiertelnie blady; kilkogodzinną, straszliwą nocną wędrówką postawiła go na krawędzi grobu.

— Co panu? — zawołał przerażony sługa, stając na progu.

— Słabym... bardzo słaby! — odparł generał zmienionym głosem.

— Panie... pan musi wstać — mówił Wojciech. — Ktoś zwierzyńiec podpalił...

Gosiewski smutnie uśmiechnął się, a po chwili milczenia, wskazując na ogród, spytał:

— Co się tam dzieje?... co to jest?...

Zamiast odpowiedzi, Wojciech otworzył okno. Generał począł słuchać, potem uniósł się ciężko na poduszkach i tak pozostał z otwartymi ustami i osłupiałym okiem.

Z ogrodu dolatywał monotony i stłumiony grzechot, na którego tle odzywały się tony niskie, podobne do szybkiego i nieregularnego bicia w duży bęben.

Twarcz generała ożywiła się gorączkowo.

— Wojciechu! — rzekł głosem silniejszym, niż poprzednio — podaj mi tę książkę i papier, który leży na biurku.

Wojciech spełnił rozkaz i czekał.

— Weź to — mówił dalej starzec — a teraz przysięgnij mi na Boga Ukrzyżowanego, że książki tej i papieru nie oddasz nikomu, tylko synowi mojemu, Władysławowi.

— Przysięgam na Boga Ukrzyżowanego! — rzekł Wojciech, klękając na posadzce i podnosząc rękę dogóry.

Poczem przyjął depozyt.

— Teraz odsuń prawą szufladę biurka i wydobądź woreczek — mówił znowu generał. Wojciech wydobył worek.

— Jest tu dwieście dukatów, daję ci je na własność, a mój syn...

Władysław, doda ci do nich sto morgów ziemi i budynki...

Stary sługa z głośnym płaczem rzucił się do nóg panu.

— A teraz prowadź mnie tam! — szepnął generał, wskazując na fotel, stojący przy otwartym oknie.

I ten rozkaz spełniono.

Odległy zrazu grzmot stopniowo zbliżał się i potężniał. Gosiewski przysłuchiwał mu się z jakąś dziką rozkoszą, a potem, spojrzawszy na sługę, rzekł z uśmiechem:

— My to znamy, stary!... co?...

— Znamy, panie!

Po chwili jednak na twarzy Gosiewskiego rozlał się wyraz głębokiej bóleści. Starzec złożył ręce i wyszeptał, jakby do siebie:

— Szkoda tylko, że tak marna rzecz skraca mi życie. O, dzieci moje! żeby to wam chociaż szczęście przyniosło!

— Co pan mówi?... panie! panie!... — krzyknął Wojciech, widząc gwałtowną zmianę w rysach generała.

Ale starzec już go nie słyszał; oparł ręce na poręczach fotelu, wyprężył się i po chwili skonał. Z szeroko otwartych oczu na bladą i pomarszczoną twarz stoczyły się dwie łzy.

A tymczasem w okolicy szalał bój, zgrzytały bataljonowe salwy, a bronzowe paszcze armat dyszały taką wściekłością, że siwy zamek trząsał się od fundamentów aż do szczytu.

Wojciech ocknął się. Schwycił ciepłe jeszcze zwłoki swego pana, położył je na łóżku, ucałował po raz ostatni i wybiegł z sypialni.

Czas już był wielki.

Wprost bramy na polach, w kierunku nieco skośnym do gościńca rozwijały się jakieś długie, ciemne i najeżone stałą szeregi naprzeciw innych, stojących od strony zamku.

W kilkanaście sekund szeregi te otoczyły się obłokami niebieskawego dymu, z pośród którego trysnęły tysiące piorunów. Groniom tym wesoło wtórowały dźwięczne trąbki sygnalistów i piskliwe flety fajfrów.

Wojciech, stojący w jednym z okien wielkiej sali, usłyszał nagle brzęk szyb i gniewne syczenie kul koło uszu.

— Swój! swój!... — mruknął stary, oganiając się ręką. W tej chwili na posadzkę upadł granat i z okropnym hukiem pękł, o parę kroków od Wojciecha.

— Widzisz przecie, że swój, psia cię mać, to czego do oczu skaczesz! — wrzasnął stary i kopnąwszy nogą jedną z żelaznych skorup, która odbiła się od sufitu, zbiegł nadół do ogrodu, unosząc ze sobą książkę i papier, które przysiągł odnieść Władysławowi.

## OPOWIADANIA WIECZORNE

### SEN

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student. Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepikarza, za trzy ruble. Sam



zaś mieszkał na Piwnej, na czwartym piętrze, za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie płacił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie można je było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Toricellego. Nie było w nich nic, tak dalece, że wkońcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zakłęśnięte piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

Gdybym był Panem Bogiem, inaczejbym świat urządził – mówił niekiedy. Wynałazłbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym codziennie obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

Dałbym sto dukatów temu, ktoby mi powiedział: czy ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z temi gorączkami, z tem pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie

ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacyj można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przytem, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcje na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz!... Oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

Kto?... jakim sposobem?... co to za rozbój?... zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

Gospodarz powiedział mówił stróż że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi. Bieda tam, panie dodał żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyci ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to, mówił dekarz, że pewnie przyszłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

Ha, jeżeli tak rzekł to mogę ustąpić. Ale gdyby się tu sprowadził Bloch albo Kronenberg, pokazał jabył gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania.

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy — co było godnem prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny. Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki i że po całodziennym poście wartoby coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa, dużo znaczy w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął, jako smakosz, dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny — kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywa. Otrzymałszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po

śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem, i sanki, napelnione amatorami poetycznych wzruszeń. Wtem,

na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów, i na cały głos poczęła krzyczeć:

Panie!... panie!... jacy my biedni!...

Oczywiście poczuła zapach suszonej kiełbasy (te głodomory mają pyszny węch!) pomyślał medyk i, ażeby uniknąćkompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

Niechaj Bóg da ci szczęście!... zawołała osoba w łachmanach, która kiedyś musiała być wielką damą. Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacyj, zdradzających subtelne uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukropu.

Kompromitująca baba! myślał. Jej chustka i mój

mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo.

Swoją drogą, na tle dźwięczenia dzwonków, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równie wykwintnym, jak i zakatarzonym głosem:

— Niechaj Bóg da ci szczęście!...

— Szczęście? — myślał, idąc chodnikiem, na którym potrącali go przechodnie.

Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałybym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym.

No, wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie djabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz, co?... Oryginalny arak Goa od Fuksa, burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były, zdaje się, prawdziwe...

Piłem i jadłem,

jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po tym ponczu już na drugim piętrze tak mnie rozebrało...

Ponczowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej reustauracji, nie są prawdziwym szczęściem. Czegóż bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc co to jest szczęście?

Przed dwunastoma laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, iż zmarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe

nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznaną dotychczas rozkosz. Z przyjemnością myślał o tem, jak go paliły uszy, o tem, że dreszcze zostały gdzieś na dworze — i wydawał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył.

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale, dziwna rzecz: żadnej z tych prywacyj nie oddałby za wieczorek z ponczem i pacanami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy

jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczem niepodobna było zastąpić.

— Więc to ma być szczęście?... — myślał. — Zabawna historia!...

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęzmi drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu i owdzie zapalane w oknach

światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegnących ku bramom, jakby ich goniła noc i zimno. Po śniegu figlowało kilku psów, a jeden, odznaczający się cienkością talji i podwiniętym ogonem, przypatrywał im się zdaleka, wykonywając zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi, że i on sam zmarzł djabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kielbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

Trzeba przyznać myślał, czując błogie skutki ćwiczeń że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu. Wtem pod ławką usłyszał niepokojące kłapanie.

Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kielbasek już w niej nie było, a nad resztką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholją patrzył na gonitwę swoich kolegów. I teraz

przysiadła na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talja zdawała się być nieco pełniejsza...

— Bodajże cię!... — wrzasnął ubogi student. Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

— Aj — aj!... aj — aj!.. aj — aj!. aj — aj...

Teraz dopiero, patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu, nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzniętego wezmą do cyrkułu? myślał. Mam przecież bardzo przyzwoite locum: któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później był już w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i nawet wsadził mu termometr pod pachę.

No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory? zapytał, śmiejąc się, nasz przyjaciel. Cała rzecz w tem, że

wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną, lepiej. Był zachwycony szpitalnem łóżkiem, co chwilę wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tem: czem właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie? — a już około dziesiątej wieczór był tak zdrów, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto, gdzie, podług jego spostrzeżeń, było już słońce i lato. Prawie siłą musieli go zatrzymać w łóżku, dopóki po szamotaniach się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotymi i srebrzystymi wyspami, które zaludniały dziwne postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

Oczywiście mam gorączkę myślał chory ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?...

Więc patrzył na ów mowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują niknące obrazy i opowiadają bajki.



Przedewszystkiem uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się

medykowi, że każdy przedmiot nietylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, ale jeszcze prześwieca i jeszcze sam świeci niepojętym własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozległ się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym natężeniu wzroku można dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjognomji, ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodją a mową, i albo coś

sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyncze kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarna piasku i niezmiernie łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym, jak prostym i jasnym językiem. W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło niegorzej od diamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko. Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogiem i cierpieniem. Jedwabie, aksamity, perły

i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszedniemi i wyblakłemi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę. Regularne twarze i posągowe kształty nużyły jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał:

— Eh! taki on jak miliony innych, widocznie o nic się nie rozbił.

Ale każda ułomność i rana zaciekały go i mówił sobie:

— Tego faceta musieli jednak djabelnie przejechać!...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

— Szczególna rzecz — mówił — jak mi to przypomina zdanie:  
„Błogosławieni maluczcy i ci,

którzy cierpią...” Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w branzoletach ta diamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, które z zazdrością i żalem tłoczyły się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień diamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka Żydówki, skąd tu i owdzie wyłaziła wata,

miała kolor i połysk szlachetnego bronzu, ozdobionego kłaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć!) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, .w których ledwie tli się iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicość.

Ażeby nieco orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historja śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrział w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących,

stojących, albo leżących, na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem, i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarkę, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz wporę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomędzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który, zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne, salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niktą świadomość bytu, poto, niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękoma splecionemi na brzuchu, przymrużyła oczy i kiwała głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę. — Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście — mówił student. — Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie, a największem szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestje, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi

rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (dragoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemji.

Tym sposobem ja dodał mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, coby mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

Aj aj!... aj aj!... aj aj!

Dreszcz go przebiegł, i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu. Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał: Co, u diabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się

używać w podobnym miejscu...) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!...

No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bal, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

— Warto by jednak zobaczyć — mówił po namyśle — jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legjony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o

znajome panny, nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, co wybierał się z wizytą do pewnej miłej pani; śledził bieg myśli trzeciego, co grał w szachy, i

czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami. Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo, czy cieszył się, czy smucił

człowiek nie lubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

— Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... — mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać "niepodobna. — A może ma realną wartość przestroga: „Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze?...” I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współzjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzieloną częścią naszej duszy?...

Ehe! — zawołał — stare bajki... Muszę mieć tęgorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyby mnie już na zawsze udęczać te czarne nici? — myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się

gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Zczasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć nigdy!...

Głupia historia mruknął ubogi student i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści pełzały mu do serca jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestję:

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejszej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dał miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarna maku, a drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

Dzień dobry! rzekł student a co to robicie majsterkowie?...

— Ja — odpowiedział ten od miecha — spędzam tu nasiona dusz.

— A ja — dodał drugi — zamykam je w ciała ludzkie.

— Fiu! — gwizdnął student. — Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy, jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kiełek?

— Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną — mruknął drugi olbrzym — prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

— Trzeci majster powie acanu, jak się to robi — odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posepniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami, i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfunтового młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka



światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo wędła), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec, aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która, wystawiona na powietrze, znowu rosła.

I tak wciąż.

Za pozwoleniem rzekł do straszdyła ubogi student, dotykając palcami czapki a co to majsterek robi?

Pomagam rozwijać się duszom odpowiedział strach.

Aż granit skwierczy rzekł student.

Ale zato, spojrzysz acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Każda z nich miała po dwie, po trzy, a czasem i po dwadzieścia świetlnych łodyżek, na które stąd i owad dmuchały wiatry. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta

radość ludzkiego serca, łodyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli zionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy — usychał.

A straszdyło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

— Któż pan jesteś, panie majster?... — spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

— Ja jestem Cierpienie — odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. —  
Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku,  
które śpią w bryle materji...

— Oj!... muszę mieć djabelną gorączkę — myślał student, pędem  
uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

— Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomji, fizjologii,  
farmakologii i akuszerji. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo,  
więc majaczy mi się, że nawet cierpienia

mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził  
rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nietylko w  
cierpieniu, ale nawet w całej naturze niema celu. Dowodzi przecież tego w  
sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie  
ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy  
się niem oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to,  
krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze  
ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak  
gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrow na ciele i umyśle,  
wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego,  
ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim  
dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś hartmannowski  
absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje  
robaki także stworzył, ale

beźświadowie, poto, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także beźświadowie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

— Widzę, chwala Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofji.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na środku której wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami: po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student odrazu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości, i że łązące po niej

mrówki usiłują zapomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posągu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nietylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc poomacku, z wielkimi trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości, należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linję długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą jedni uważali za

figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków — i ci byli najzuchwalsi.

— Mam lunetę — wołał jeden — tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

— Co tam luneta! — odparł drugi. — Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

— A ja nawet życia nie widzę w naturze — dodał trzeci — choć zrobiłem sztuczny mocz, nieróżniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem...

— Każdy osieł robi to lepiej i taniej — przerwał mu właściciel lunety.

— Ale ja jeszcze w moim dystylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły

nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się zwolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, ale całością, nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: „aj aj!...” które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życia ludzkie, ani na

plaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, ale na szpitalnym łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Cóż mi się tak przypatrujecie? — zapytał.

— To ty mówisz? — zawołał jeden. — No, więc będziesz żył...

— A stałeś już obcasami w grobie — dodał drugi.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słyhać?... Jakie wiadomości?... — żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

## SEN JAKÓBA

Ciekawym typem do niedawnego czasu był osobisty mój przyjaciel, pan Jakób Kapłon, obecnie młodzieniec bardzo przyzwoity, noszący londyńskie faworyty, paryskie rękawiczki, warszawskie kamasze, używający wyłącznie berlińskich mebli i głośno utrzymujący, na podstawie doświadczeń z płaskim zwierciadłem, że najpiękniejszych mężczyzn dostarcza światu szczerp semicki.

Nie możemy bliżej oznaczyć daty i miejsca urodzenia naszego bohatera, okoliczności te bowiem są głęboką tajemnicą. To tylko jest niezawodnym, że w czasie spisu wojskowego na rok pański Jakób rodził się w Pińczowie i miał lat siedemnaście, zaś w roku ujrzał światło dzienne w Kocku i liczył dwadzieścia sześć wiosen zgórą.

Początkową edukacją pobierał w domu ojca, właściciela sklepu galamteryjnokorzennego, w którym z przedmiotów galanteryjnych znajdowały się: trzy pudełka guzików, tuzin skórzanych pasków i dwie pary filcowych butów; z korzeni zaś: pół beczki śledzi i kilka pudów mąki.

Nusym Goldwaser, biedak, któremu żona raz na tydzień dawała koszerne mięso i czystą rybę, a raz na rok około. Bosaków robiła podarunek z bliźniąt, wykladał Jakóbowi arytmetykę na pieczonym grochu i historią ludu izraelskiego z książyk hebrajskich, tytułowanych i oprawianych w Józefowie Ordynackim. Od szóstej rano aż do chwili, w której zgłodniały belfer zjadał wszystek groch i skutkiem tego dostawał boleści, Jakóbek wraz z kilkoma kolegami słuchał matematyki; resztę dnia zajmowała historia.

Te ostatnie lekcje odbywały się ze szczególniejszymi ceremoniami. Przedewszystkiem nauczyciel zdejmował swój watowany żupan i poprawiał na głowie mykę, która zapewne skutkiem wieloletniego sąsiedztwa z mózgiem Nusyma okazywała bardzo wyraźne ślady skamieniałości. Następnie otwierał książki i ustawiał wzdłuż stołu swoich uczniów, zimą i latem ubranych tylko w długie koszule. Następnie dolny skraj każdej koszuli wsadzał za kołnierz, po której to operacji grupa uczących się bachurów nabierała podobieństwa do oddziału szkockiej piechoty podczas marszu odwrotowego.

Po tych dopiero przygotowaniach następował wykład wszelkiej mądrości tego świata, polegający na czytaniu płaczliwym głosem Talmudu przez wszystkich uczniów razem.

Jeżeli który z nich niedość donośnie krzyczał, niedość szybko wymawiał, lub niedość rzewnie lamentował, wówczas skamieniała krymka nauczycielska bardzo energicznie stykała się z najwybitniejszą stroną podkasanej osobistości ucznia.

Kilkanaście lat tej od rana do nocy trwającej edukacji rozwinęły nietyle rozum, ile raczej fantazją Jakóba, który z tabliczki mnożenia wiedział wprawdzie, że sześć razy sześć czyni złoty i groszy sześć, ale zato z literatury talmudycznej wyprowadził wniosek, że, bądź co bądź, on i jego współwyznawcy powinni wrócić do Palestyny.

W opinii tej podtrzymywał go zarówno ojciec, któremu handel szedł tępo, jak i jedna z ciotek, właścicielka dwu starych koszów, przeznaczonych do roznoszenia jabłek i pierników, jak wreszcie i sam nauczyciel Goldwaser, który prawdopodobnie sądził, że klimat Ziemi Obiecanej mniej od naszego sprzyja przychodzeniu na świat bliźniąt.

Wprawdzie Szaja Kalkulator, wuj Jakóba, podekpiwał sobie na gruby kamień z emigracyjnych zachcianek ubogiej rodziny, ale nikt na to nie zważał. Szaja bowiem miał często nawiedzany szynczek i dom własny, żył zapanbrat ze

szlachtą i bodaj czy nawet gdzieś w kącie nie tryfił się kielbasą. Całe życie niewątpliwie zesłoby Jakóbowi na czytaniu Talmudu i rozmyślaniu o Palestynie (o której tylko wiedział, że leży za Warszawą), gdyby nie śmierć Moszka Kapłona ojca, który po szabasie uczuł mdłości w okolicach serca, połowę niedzieli przeleżał w łóżku za perkalową firanką, a od poniedziałku przepisał się ma stałego mieszkańca cmentarza, gdzie mu nieutulona w żalu familja postawiła kamienny nagrobek w formie deski do prasowania bielizny, ozdobionej życiorysem zmarłego i wizerunkiem siedmioramiennego świecznika.

Po ukończeniu tej małej rodzinnej uroczystości podeszła matka Jakóba, Ruchla, przeniosła się do domu swego brata Szai, mistrz Nusym został podrabinkiein, sklep sprzedano przez licytacją na rzecz wierzycieli, a młodego Kapłona wysłano do stryja, który w Warszawie handlował barchanem, prowadził dom na wielką stopę i w przekonaniu swoich krewnych uchodził za najznakomitszą finansową potęgę w świecie. Trzy chałaty, z których jeden był prunelowy, a drugi jedwabny, dwa pasy, lisia czapka, kaszkiet i niski kapelusz z wołajacem o pomstę do nieba rondem, para butów zapasowych, para kaftaników z przepisaną liczbą sznurków i parę rubli w kieszeni (nie licząc kilkunastu książek) — oto cały majątek, jaki wraz z Jakóbem płacząca Ruchla powierzała Lajbusiowi, odwożącemu do Warszawy gęsi. Ten Lajbuś znał barchaniastego stryja i miał zamiar bardzo skutecznie poprotegować osieroczonego synowca; na wyjeździe ułożył nawet stosowną mówkę; w drodze, popędzając biczem ślepa szkapinę, rozszerzył ją i znacznie ozdobił, lecz już na Pradze stracił rezon, a na progu mieszkania bogatego kupca zapomniał nawet języka w gębie.

Wydobyto z niego zaledwie tyle, że stary Kapłon (aj waj!)



przeniósł się już do ojców, i że ten mizerny, ze świderkowatymi pejsami młodzieniec jest młodym Kapłonkiem, którego on, furman Lajbuś, przywiózł zdrowym i całym pod opiekę jasnemu stryjowi na dokończenie edukacji.

Z otwartymi rękami jasny stryj i jasna stryjenka i jasne rodzeństwo stryjeczne przyjęli sierotę. Lajbuś zjadł przed kuchnią obiad (ugotowany podobno przez kucharkę), dostał dwa złote za odstawienie „panicza” i zawiózł jeszcze Ruchli piętnaście rubli, wraz z pieczonym indykiem. Jakóbek zaś... Ale to strasznie długa historia!

Naprzód bowiem stryjeczna siostra „Zosza”, dziewiętnastoletni aniołek z djabelskimi oczami, obcięła mu starannie dotąd pielęgnowane pejsy, które, według jej słów, zgubiły królewicza Absalona. Potem stryjeczny brat „Władzo” przemocą zdarł z niego prawowierny garnitur, nie wyłączając kaftanika, i gwałtem przyodział go w krótkie i wąskie szlacheckie ubranie.

Potem stryjenka Izydorowa dostała spazmów, dowiedziawszy się, że Jakóbek ani czytać, ani pisać nie umie; skutkiem czego stryj Izydor zgodził mu nauczyciela z uniwersytetu za dwa ruble na miesiąc i rozkazał zaraz na drugi dzień lekcje rozpocząć, a na trzeci maszerować do sklepu i obeznawać się ze sztuką sprzedawania barchanu.

Wszystkim tym reformom z pokorą poddał się Jakóbek, nie mogąc tylko przystać na dwa poglądy „Władza”; pierwszy z nich odnosił się do jedzenia pewnego czerwonego mięsa z musztardą lub chrzanem, drugi zaś polegał na wywyższaniu jakiegoś księcia Bismarcka nad cesarza Napoleona, którego nasz Jakób z porcelanowej fajki nieboszczyka Moszka znał osobiście i cenił nader wysoko.

Ponieważ oprócz dwóch tych nieskończenie drobnych przykrości życie w domu stryja schodziło Jakóbowi jak po mydle, dziwiono się więc, i nie bez racji, że młodzieniec mizerniał i smutniał coraz bardziej. Jeszcze z nauką, osobliwie

też reguły procentów pojedynczej i złożonej, szło jako tako; ale zato z siedzeniem w sklepie, ale z towarzystwem młodzieży tego co on wieku, nasz Jakóbek żadną miarą pogodzić się nie mógł.

— Co tobie jest, ty Jakóbek? — pytał nieraz stryj Izydor.

— Co mnie ma być?... Nic mnie nie jest — stale odpowiadał synowiec.

— Jakóbek... Jakóbek! — mówił pewnego dnia „Władzo” — ja tobie co powiem: ty mnie jesteś taki jakisz rozmelanchowany, że jabym czebie wziął do Tivoli, na kankana... Ty pójdiesz?

— Nie!

— Jego tak smutno z naukoszczi — objaśniała „Zosza.” — Spitaj go, Władzu, może on chce do uniwersytet?... Jakóbek zamyślił się i po chwili odparł:

— Jabym... jabym chciał wrócić...

— Do Kocka?...

— Nie... Do Jerozolimy! Słowa te, jak błyskawica, oświeciły słuchaczy. Teraz dopiero przypomniano sobie, że Jakób bardzo często Warszawę nazywał Babilonem, siebie Danielem, a lokal swego stryja dworem Nabuchodonozora. Teraz przypomniano sobie, że tenże sam Jakóbek propagował między chłopcami sklepowymi ideę wyjazdu do Jerozolimy i wypędzenia z niej Turków, o istnieniu których dowiedział się dopiero w ostatnich czasach. Teraz także zrozumiano, dlaczego Jakób tak gorliwie bronił sławy pewnego kasjera, który, zabrawszy pieniądze, drapnął do Ameryki; wiedziano bowiem, że w umyśle młodego entuzjasty Palestyna, Ameryka i wszystkie inne części świata, nie wyłączając Paryża i Hiszpanji, tworzyły pewien rodzaj bigosu. Krótko mówiąc, teraz dopiero uznano w Jakóbie propagatora, może być, że nie praktycznej, lecz w każdym razie bardzo wzniosłej idei.

Sława przyjaciela naszego szybko poczęła wzrastać.

Naprzód sklepowi chłopcy od siódmej rano do dziesiątej wieczór słuchali jego teorii, co bardzo zaniepokoiło najstarszego subjekta, który obliczył,

że od czasu agitacji Jakóba dochód dzienny zmniejszył się o kilka rubli. Następnie bardzo wiele osób płci obojej poczęło się zgromadzać w porze wieczornej do lokalu barchanowego kupca, dla nasycenia się wykładami jego synowca, — co znowu w jakiś szczególny sposób wpłynęło na podniecenie ruchu kuchennego i powiększenie w tym kierunku wydatków. Wreszcie, jak grzmot po błysku, gruchnęła w całym tem zebraniu wieść, że Jakób od teorii postanowił przejść do czynów, że wkrótce najniezawodniej wyruszy przeciw Turkom i że na ten cel odłożył już sześć rubli z pensji, przeznaczonej mu przez stryja.

Aż dotąd stryj Izydor zachowywał się bardzo spokojnie, lecz gdy mu nosiwoda potłukł konewki, chłopcy po całych nocach hulali po mieście, a sługi po całych dniach naradzały się — wszystko na rachunek rychłego wyjścia do Palestyny, — gdy mu wreszcie najstarszy subjekt (skończony farmazon) podszeptał, że całe to towarzystwo na jego koszt myśli odprawić wędrówkę, — wówczas stryj Izydor postanowił wyrzec się pozycji biernej i rozsądnie pogadać z Jakóbem.

Gadanie to trwało bardzo niedługo. Stary kupiec jasno a dobitnie wytłomaczył Jakóbowi, że ani on sam, ani jego rodzina wyjeżdżać z Warszawy nie myślą; że pieniądze, jakie ma, zebrał dla siebie i swoich bliskich, nie zaś dla urwisów, którzy chcą się na niepewne hazardy z Turkami puszczać; że wreszcie (co było najważniejsze) pragnie, ażeby Jakóbek porzucił propagandę, a wziął się do barchainu i łokcia. Tydzień czasu miał namyślać się agitator nad ostatnim projektem stryja, po upływie czego obowiązany był albo wrócić za kontuar, albo do Kocka. Do Kocka!... Wyraz ten tak niemiłe zrobił na Jakóbkę wrażenie, jakby mu ktoś kończatem, wyostrzonym, rozpalonem szkłem po sercu zajechał. Nie dziw więc, że umilkł jak

ryba, i zamyślony, ze zwieszoną głową do swej sypialni odszedł. Tu, oszołomiony, rozgorączkowany, rzucił się w ubraniu na łóżko i twardo zasnął.

Zasnawszy, miał widzenie zaiste prorocze, treści następującej:  
Był to sobie niby targ, niby plac, a niby rynek z domami dokoła, z ratuszem i wieżą czarną i z drewnianą chorągiewką, rychtyg jak w Kocku. Na tym rynku, co był taki wielki jak cały świat, stała moc ludu żydowskiego i stół okryty obrusem; a na tym stole, okrytym obrusem, bezmała co niniejszym od ratuszowej wieży, stał on sam, Jakób Kapłon, syn starego Moszka Kapłona i Ruchli z Kalkulatorów, w swojej własnej osobie.

Jak on tam stał, więc z początku nie wiedział, co robić, ale zaraz potem coś go piknęło, i jak wziął gadać, jak wziął gadać... to gadał i gadał przez trzy dni i trzy noce bez ustanku. Co on tam gadał, o tem nikt, ani on sam nie wiedział; ale gadał z takim sensem i z takim wyrazem, że już wkońcu nikt nie słuchał, tylko wszyscy wołali: aj! waj!

Jak on skończył swoje gadanie, to zaraz po niego zajechał Lajbuś parokonnym wózkiem, zaprzęgniętym w jednego konia, co był ślepy tylko na lewe oko i szedł z prawej strony dyszla. Wnet Kusym i sam rabin, i paru najporządniejszych kupców z miasta wysłali mu pierzynami siedzenie i posadzili go ma niem tak, że aż mu się dobrze zrobiło.

A kiedy rabin przez uszanowanie usiadł na prawej krawędzi, a Nusym na lewej krawędzi, a najporządniejsi kupcowie na przodzie, i kiedy Lajbuś krzyknął na konia: „Wiu! ty bestja!” — wtedy reszta ludu z wielkim hałasem poczęła leż wsiadać w zakryte i odkryte bryki, co ich było z jakie tysiąc tysięcy.

Wtedy on bardzo się zamyślił: co to jest?... Ale, że sam nic wymyślić nie potrafił, więc tknęło go coś, zęby się

zapytał: „Gdzie my wszyscy jedziemy?” A kiedy się tak spytał, to wnet bryka stanęła, i rabin powiedział mu:

— Wszyscy, jak tu jesteśmy, jedziemy do Palestyny. A Nusym dołożył:

— Tam, gdzie się manna sama rodzi, a groch sam się piecze.

I znowu bryka pojechała. Wtedy Jakób spytał:

— A jak będzie z Turkami? — i zrobiło mu się bardzo zimno.

A rabin odpowiedział:

— Jakóbek! w tem już twoja głowa i twojego wojska — a wtedy zrobiło mu się bardzo słabo.

I spojrzął przed siebie, i zobaczył drogę taką długą, że końca jej nie było widać; a kiedy spojrzął za siebie, to zobaczył z jakie tysiąc tysięcy furmanek odkrytych i zakrytych i tyle wojska, jak piasku w morzu. Tymi, co szli piechotą, komenderował Szloma Abramsom, który był cyrulikiem w prawdziwej piechocie; a tymi, co jechali wierzchem, komenderował Josek Goldcygier, co sam był na poczcie i miał brata trębaczem u huzarów. Całe wojsko wyglądało bardzo porządnie, tylko że w kawalerji nie mieli dość inwentarza, więc jedni po dwóch i po trzech jechali na koniach, inni na krowach, a inni na kijach i miotłach — jak można.

Wędrowali tedy i wędrowali straszny kawał czasu, popasając niekiedy, zabierając nowych pasażerów i pytając chłopów o drogę; aż wreszcie przywędrowali do kraju suchego i górzystego, gdzie nie było ani miast, ani wsi, ani zbóż, ani lasów, tylko same osty i zielska kolczate.

Wtedy Lajbuś spytał Nusyma, a Nusym rabina, a rabin Jakóba: „Co my tu będziemy robić?...” Ale Jakób nie odpowiedział nic, tylko przymknął oczy, zasłonił się lisią czapką od skwaru i udał, że śpi.

Gdy tak sobie udawał, poczęła się zwada i wrzask między

wozami, bo tnie wszyscy umieli po hebrajsku, a ci, co jechali na przodzie, nie mogli porozumieć się z tymi, co jechali we środku, ani z tymi, co jechali na tyle.

Zaraz potem zaczął się drugi wrzask, bo chałaciarze wymyślali surdutowym od kacerzy i gojów, a surdutowi chałatowym od łapserdaków.

A gdy jeszcze tamte dwa wrzaski nie ucichły, powstał trzeci, jeszcze większy. Wtedy zbudzono Jakóba i poczęto go prosić, aby radził, sądził i głową kręcił, bo chleba niema.

Wziął się więc Jakób do radzenia, sądzenia i głową kręcenia, ale jakoś nie wykręcić nie mógł, i dopiero Lajbuś wyratował go z kłopotu, podszeptawszy, iż dlatego niema chleba, że nie było dotąd żadnego targu, ani żadnych interesów.

W okamgnieniu zatem zrobiono targ. Ten wydobył z bryki płótno, ów sukno, inni nici i tasiemki, a jeszcze inny stare meble i stare żelastwo. Wszyscy wołali: „Handel! handel!” wszyscy dzień i noc wystawali przed sklepami, — ale handlu nie było.

Wówczas rabin zaproponował, żeby zrobiono spis ludności; co gdy po wielu ceregielach doszło do skutku, okazało się, że w zgromadzeniu są kupcy, felczerzy, kotlarze, furmani, tragarze, blacharze i nosiwody, ale niema chłopów i szlachty, niema więc komu pić wódki, pożyczać pieniędzy, a nadewszystko żyta, kartofli i cieląt na targ przywozić.

Wtedy powstał gwałt, jakiego nie słyszano dotąd na świecie. Jedni radzili sprowadzić chłopów i szlachtę, drudzy wracać do nich, a wszyscy klęli, płakali i cisnęli się do wozu Jakóba, wołając, że ich oszukał i zgubił, i że mu tego nie darują.

Zrobiła się straszna chryja.

Dokoła furmanki tłoczyli się mężczyźni i kobiety z twarzami pałającymi i zaciśniętymi pięściami. Jakiś gałgan zdarł Jakóbowi lisią czapkę, inny ćwiknął go batem po uszach,

jeszcze inny rozbił mu donicę na głowie... Był to dopiero wstęp, po którym rozległ się złowrogi okrzyk:

— Ukamienować go!...

Jakób upadł na pierzyny i, wstrzymując dech, oczekiwał śmierci. Przez wpół przymknięte powieki widział, jak nad nim wznoszą się kije, garnki, stołki, kołyski, a nawet skrzynki i szafy, słyszał okropny wrzask i klątwy, i czuł, że najwyżej za ćwierć sekundy z niego, Jakóba Kapłona, który mógł zostać spokojnym handlarzem barchanu i uczciwym ojcem rodziny, zrobi się wprawdzie surowy, lecz doskonale ubity kotlet...

Nagle wszystko ucichło... Narzędzia śmierci wraz z podtrzymującymi je rękami opadły; tłum, otaczający wóz, począł się cofać z początku zwolna, (potem prędzej, potem jeszcze prędzej, a wkońcu tak szybko, że samego Jakóba opanowała nieprzeparta chęć do ucieczki...

Co to jest?...

Jakób podniósł głowę i począł oglądać się dokoła. Spojrzał na prawo i dostrzegł w tumanach kurzu kilka gwałtownie umykających furmanek, spojrzawszy na lewo—toż samo. Spojrzał przed siebie i zobaczył resztki tłumu, pierzchającego piechotą; spojrzawszy za siebie...

Pogodne niebo, tu i ówdzie zarzucone białymi chmurkami; na widnokręgu rysujący się mały wzgórek, za który kryje się słońce. Jakób patrzy, przeciera oczy i widzi, jak kolejno wydobywają się z za góry:

Naprzód trzy ostro zakończone tyczki...

Potem trzy baranie czapki...

Potem sześć wiązek siana...

Potem trzy głowy końskie, ozdobione konopiastymi grzywami...

Potem...

Jakóbowi poczyna samotność niesłychanie ciężać — zeskakuje więc z wozu i cwałuje tak, że wiatr nie może go dopędzić...

Na drugi dzień przyjaciel nasz zbudził się przed szóstą, dziękując Bogu, że zamiast obszernych widnokręgów spotyka tylko ściany szczupłej swojej sypialni w domu stryja.

Spojrzał w lustro i po raz pierwszy zauważył, że surdut jego jest nieco przydługi; zrazu chciał go skrócić, zamyśliwszy się jednak, poprzestał na dokładnem wystrzyżeniu na obu skroniach włosów, które wydały mu się nazbyt wystającymi.

Cały dzień biegał po sklepie jak fryga, a gdy przyszło mierzyć barchan, na każdym łokciu odejmował po ćwierci cala, co aż ściągnęło nań niezadowolenie starszego subiekta.

Od tej pory nie wspominał nigdy o wyjeździe do Palestyny; wieczorami zaś, zamiast uciekać do sypialni i szperać w książkach, jak najdłużej przesiadywał w salonie i pilnie przypatrywał się „Zoszy” która miała bardzo piękny biust.

## PRZY KSIĘŻYCU

Słońce zachodzi; a jak dogasający ogień chwilami jaśniej błyska, tak, przed nocą, puls życia uderza śpieszniejszym tętnem.

Krzaki, zwykle ciche, zagotowały się pożegnalnym gwarem ptaków; każdy śpiewa królowi dnia „dobranoc”, i każdy chce okazać się gorliwszym od innych. Z gościńca podniósł się złoty tuman kurzawy, słysząc turkot wozów, niecierpliwy ryk bydła i przeciągłe nawoływania pastuchów. Z pól płynie dumka wracających od roboty dziewczuch; w jaskrawych strojach wyglądają one jak białe i ponsowe makówki, co nagle ożyły i biegną za znikającym światłem.

Przed chatami tłoczą się zwierzęta i ludzie, skrzypią żórawie studzien i pluszcze woda, nalewana do koryt. W alejach spacerowego ogrodu słysząc toczenie się dziecinnych wózków, wesoły szczebiot dzieci, śmiech nianiek i rozmowy letnich mieszkańców wsi, którzy śpieszą do domów ukryć się przed wieczornym chłodem.

Słońce dotknęło horyzontu, i ziemskie odgłosy zamilkły; jeszcze słysząc szmer drzew, pochylających przed światłodawcą zielone konary. Łąki, lasy i pola oblały się żywszemi barwami i u stóp odchodzącego ojca rozlewają najpiękniejsze wonie. On, pieszcząc się z niemi, zasypał niebo i ziemię złotem, później otulił je w purpurę i wreszcie — zasłonił błękitem. Cienie drzew rozciągnęły się na trawie, świat zmęczony ułożył się do snu, a nad nim czuwały: mrok i milczenie, ledwie zamącone cichym lotem nietoperza, który mknie bez szelestu,



jakby lękał się obudzić śpiących. Nawet gadatliwe muchy i komary wiatr zapędził do ciemnych kątów, i zanim sam zdrzemnął się w polu, jeszcze spragnione liście pokropił świeżą rosą.

Kiedy pogasły światła w chatach., na wschodzie, białe jak puch obłoki zaczęły posrebrzać się i rzednąć. To księżyc nieśmiało wyjrzał ku ziemi, a spostrzegłszy na skraju nieba rąbek czerwonych blasków, pomyślał, że słońce jeszcze nie odeszło, i — skrył się za popielatą chmurę.

— Pójdź!... pójdź!... — zawołał do niego puszczyk i parku.

Księżyc po raz drugi spojrział, lecz znowu cofnął się. Zdawało mu się, że na ziemi jest jeszcze za jasno.

— Pójdź! pójdź! — powtórzył głos z gęstwiny. Wówczas księżyc odgarnął obłoki i ukazał się na błękit

nem tle nieba, pełny i jasny, jak tarcza polerowanego srebra.

Teraz budziło się tajemnicze życie nocy. Z pod drzew i chałup wypełzły czarne cienie i poczęły kłamać przed ziemią, że księżyc świeci lepiej niż słońce. Wałący się mur poczerwieniał fałszywym rumieńcem; staw nabrał metalowego połysku, a pożółkłe ścierniska oblekły się zieloną barwą i udawały trawę.

Słychać też głosy, ale nie takie jak w dzień — inne. Tu jękliwie zwołują się żaby, które z przed oczu słońca rozgania bocian. Tam cienki strumień wody nuci na stawidłach monotonną i żalną melodią, przy której błąda mgła tańczy na oparzeliskach. Ówdzie zarozumiałe koniki polne chwala się, że są ładniejsze od skowronków.

Czasem wytarzany w błocie żuk grubym głosem wyśmiewa się z motyli; niekiedy szczeknie pies, którego zbudził przechodzień, albo rozpaczliwie zakwili pochwycony przez łasicę ptaszek...

Zapatrzony i zasłuchany, poszedłem do starego parku, który zdawał się być stolicą tych widziadeł i odgłosów. Alem

niedługo przypatrywał się cudownym sprawom nocy. W alejach rozległy się okrzyki, śmiech i gonitwy towarzystwa dam, panienek i paniczów, którzy z dobrodziejstw księżycowego światła korzystali tak wesoło, że wobec nich — cała natura ucichła. Wszędzie było ich pełno: w klombach, na trawnikach, w alejach głównych i bocznych. Dla ukrycia się przed tą burzą radości, trzeba było wybrać najrzadziej odwiedzaną ścieżkę. Księżyc powoli toczył się ku zenitowi, a razem z nim posuwały się cienie drzew, zakrywając jedne, odsłaniając inne miejsca. W czasie takiej zmiany dekoracji spostrzegłem, że i tu nie jestem sam. Na próchniejącej ławie siedział stary, niski i gruby człowiek z zadartą głową, rękami rozkrzyżowanymi na poręczy, i — patrzył w księżyc. A tak był zatopiony w swem widzeniu, iż nawet nie słyszał, że koło niego przeszedłem. Wnet jednak obudzono go z marzeń. Wesołe towarzystwo odkryło tę ścieżkę i pędem poczęło biec ku ławce. Jednocześnie któryś z paniczów krzyknął ostrym dyszkantem:

— Bon jour, monsieur Francois!... Stary człowiek wyprostował się.

— Ah!... bon jour!... Cóż państwa aż tu sprowadziło?... — mówił, skupiając rozproszone myśli.

W towarzystwie zaczęto śmiać się.

— Chcieliśmy zobaczyć, z kim pan ma schadzke...

— Ładnie, monsieur Francois, robić tak tajemnicze wycieczki!...

— Pan Francois marzy...

— Nie, monsieur Francois poetyzuje na cześć panny Fifi...

— Kto jest panna Fifi?

— To ta złośnica Szwajcarka, która nie opuszcza żadnej mszy, ani rautu...

Tak mówili, wciąż śmiejąc się i wymijając monsieur Francois, który stał zawstydzony. Cofnąłem się za drzewo.

— A któż jest monsieur Francois? — zapytała jedna z pańienek najgłośniejszego panicza.

— To mój guwerner! — odpowiedział z akcentem ironji panicz, a potem dodał:

Dziwak, nudny jak lukrecja i skąpy jak lichy. Bardzo jestem, kontent, że rozstaniemy się z nim od wakacyj.

Z temi słowy skręcili w inną aleję.

Monsieur Francois znałem z widzenia, a ponieważ stał wciąż na miejscu, jakby niepewny co robić, zbliżyłem się do niego i powitałem.

— Piękna noc — rzekłem.

— A tak...

— Szkoda tylko, że w parku trochę za wesoło.

— Im zawsze wesoło — szepnął guwerner.

Niechętnie machnął ręką i usiadłszy na ławce, znowu patrzył w księżyc.

— Nie rozumiem — odezwał się — jak mogą lubić księżyc ludzie szczęśliwi? To patron tułaczów, symbol nieukozonej tęsknoty i śmierci. Cieszyć się przy jego blasku na jedno wychodzi, co tańcować przy katafalku.

Dziwną wydała mi się ta melancholja w człowieku, którego własny uczeń nazywał przed chwilą skąpcem. Wszak księżyc jest podobny do ogromnego talara — pomyślałem — i już za to samo powinienby cieszyć się sympatją monsieur Francois?...

Guwerner znowu rozkrzyżował ręce na poręczy i po długiej pauzie zaczął mówić, jakby marząc głośno:

— Księżyc to smutna gwiazda dla tych, którzy go znają, a straszna dla tych, którym wplątał się w życie...

Na te słowa wzburzyły się we mnie wszystkie wiadomości astronomiczne.

— Zdaje się — rzekłem — że dla księżycyca nie jesteś pań sprawiedliwy. Co zaś do jego wpływu na ludzkie życie, to wiesz pan zapewne lepiej ode mnie, że czasy astrologji minęły...

— Tak pan powiadasz? — odparł, spoglądając na mnie przez ramię. Jego drwiący ton zaciekawil] mnie.

— Powtarzam to, com czytał — spiesźnie odpowiedziałem. — Ale będę panu wdzięczny, jeżeli nauczysz mnie czegoś nieznanego pod tym względem.

Stary guwerner udobruchał się i zaczął na nowo:

— Nie dziwię się pańskiej opozycji. Dla ludzi, od niepamiętnych czasów, niebo wydawało się przybytkiem spokoju i szczęścia. Tam widzimy niewzruszony porządek, stamtąd nigdy nie doleciało nas echo skargi, tam napozór kwitnie wiekuiste życie.

Istotnie, czem są planety? Mieszkaniami, jak nasza ziemia, gdzie widać atmosferę, obłoki, wody, lądy, a nawet pory roku, jak u nas. Czem są gwiazdy? Słońcami, z których każde rozlewa ciepło, blask, może nawet radość?...

Niebo to ogród pełen nieśmiertelnych kwiatów. Przykre więc ogarnia człowieka rozczarowanie, gdy dowie się, że wśród gwiazd, kipiących światłem i życiem, w dodatku najbliższej ziemi, wałęsa się olbrzymie cielsko trupa, który miliony lat oczekuje pogrzebu i nie może się go doczekać. To nasz księżyc, o, ten sam...

I wskazał ręką na jasną tarczę, która zdawała się uśmiechać smutno.

— Trup?... — szepnąłem. — Chyba za silny to wyraz.

— Za słaby! — przerwał guwerner. — Spójrzysz pan na światło księżycyca — silne i zielonawe, jak zgnilizna. Przypatrz się ogólnym zarysom jego kształtu, co zobaczysz?... Puste oczodoły, zakłęsły nos, usta bez warg i zębów...

A jednak i taka powierzchowność mogłaby wydać się

piękną w porównaniu z tem, co teleskop odkrył na księżycu. W najdzikszych okolicach podbiegunowych, w najbardziej osławionych jaskiniach ziemskich, nie spotkasz tak odrażających widoków, jakie przedstawia księżyc.

Spojrzyj na którąkolwiek z jego okolic. Co znajdziesz? Pustynią, bez śladu trawy, nawet pleśni, zasypaną rumowiskami, podziurawioną czeluściami wygasłych wulkanów. Zechcesz z niej uciec? — nie puszczą cię łańcuchy gór, sięgających ośmiu wiorst wysokości. Jedne z nich są jak olbrzymie sople lodu, inne jak pierścienie, inne jak prostopadłe ściany. A wszystko to spękane, połamane, podruzgotane i nad wszelki wyraz posępne.

Gwałtem odrywasz się od tych widoków i wznosisz oczy ku niebu, myśląc, że jego szafir ukoji ci znekana duszę. Daremne wysiłki: tam niema ukojenia! Z powodu braku powietrza, niebo jest czarniejsze od kiru, na tle którego pali się słońce, jak pożar, i gwiazdy, jak grobowe pochodnie.

Nie szukaj tam gry kolorów. Słońce wschodzi bez zorzy, płonie czternaście dni bez przerwy, a potem znowu na czternaście dni pogrąża się w czarną otchłań. Sam jego blask służy tylko do uwydatnienia okropności widoków. Niema tam perspektywy powietrznej, dzikie kształty występują ostro, pełno jest złudzeń i zdumiewających kontrastów. Ludzkie oko traci wszelką miarę, odległości skracają się i wydłużają w sposób niemożliwy. Przedmioty jaskrawe wyskakują naprzód, blade cofają się wtył, a stąd każdy twój krok, każda zmiana w położeniu słońca wśród tej martwej natury wywołuje pozorny ruch, istny taniec upiorów.

Niema tam półcieni. Z jednej strony skały jest upał nie do wytrzymania i powódź oślepiających blasków, z drugiej, zamiast cienia — noc, czarna jak smoła, i zimno, przechodzące wszelkie pojęcie.

Inna cudowna własność życia — dźwięk, również tam nie istnieje. Gdyby zawałiła się góra, uczułbyś tylko wstrząśnięcie

nie, ale nie usłyszałbyś nawet takiego szmeru, jaki u nas wydaje przelatujący komar. Ale góry tam nie wałają się; co kiedy miało rozsypać

się i upaść, już upadło, i dziś panuje taka cisza, że przy niej bicie pulsu w skroniach wydawałoby się człowiekowi podobnym do bicia piorunów, nie gdzieś nazewnątrz, tylko w nim samym.

Słowem, księżyc — to państwo śmierci, ale w formie tak złowrogiej, jaką ledwie możemy odgadnąć. U nas, po śmierci zaczyna się rozkład, czyli nowe życie; tam wcale niema rozkładu. Gdyby od nas na księżyc przeniesiono zwierzęta i rośliny, zmarłyby w ten sposób, że — natychmiast wyschłyby. Ale ich kształty i niektóre barwy, nie ulegając zmianie, po tysiącach lat zostałyby tem, czem w pierwszej chwili: widmami zwierząt i roślin.

W bocznej alei przesunęło się dwoje ludzi, rozmawiających półgłosem:

— Śliczny księżyc!... Czy pan nie lubi księżycyca?

— Wolę oczy pani przy jego blasku.

— A w dzień?... Odpowiedzi nie dosłyszałem.

Guwerner popatrzył na nich, pokiwał głową i mówił dalej:

— A jednak księżyc dawniej żył. Posiadał wodę, atmosferę, niewątpliwie jakieś istoty, rozwijające się i czujące. Lecz — umarł. A wiesz pan z jakiego powodu? — z tęsknoty...

Był on niegdyś częścią ziemi, jej synem, i — oderwał się od niej, jak ja... od Francji. Przez długi czas mogło mu się wydawać, że wróci. Ale nie wrócił i — z żalu umarł...

Wszystkie jego ruchy — to ciągle szamotanie się z siłą postyczną, czy odśrodkową. On rwie się do ziemi, a niezasypiająca moc złego losu wciąż spycha go z drogi. Czasami niezmiernym wysiłkiem zbliży się do macierzystej planety, ale wróg nieubłagany wnet go zwycięża i odsuwa jeszcze dalej.

Tak bywa i z ludźmi!

Odetchnął i mówił:

— Dla ogółu, ruchy księżycyca nie odznaczają się niczem osobliwym. Ujęto je w formuły matematyczne, i to wystarcza. Gdybyś pan jednak wiedział,

jaki dramat tkwi — choćby w prostych odmianach księżycowego światła...  
Ale chcąc go odczuć, trzeba być takim jak księżyc tułaczem.

Podobne zmiany lunacji, jakie my widzimy na księżycu, księżyc mógłby spostrzegać na ziemi. I pomyśl pan, co za dziwny związek istnieje między temi zjawiskami...

Kiedy księżyc widzi ziemię w formie pełnej i wciąż rosnącej tarczy, myśli, że zbliża się do niej. Wtedy, ukojony nadzieją, zasypia i nie świeci, a my mówimy, że jest nów.

W tydzień później ziemia ukazuje mu się jako pół tarczy. Wtedy zaniepokojony księżyc zaczyna otwierać oko i patrzy: co będzie dalej? Jeszcze później, ziemia już nie odbija słonecznych promieni w stronę księżycy i staje się dla niego niewidzialną. Wówczas przerażony księżyc, myśląc, że całkiem oderwał się od ziemi, otwiera całe oko i śledzi międzyplanetarne otchłanie. W kilka dni dostrzega mały skrawek światła, i znowu nieco spokojniejszy, stopniowo przymyka zmęczoną źrenicę, aż do zupełnego zaśnięcia.

— Tak, panie — dodał guwerner. — Na niebie i ziemi istnienie waha się między rozpaczą, nadzieją i krótkim odpoczynkiem. Ale szczęścia nigdy nie osiąga...

Wyznaję, że zastanowił mnie ten szczególny wykład astronomji, w którym fantastyczne przywidzenia pomieszały się z dokładnymi wiadomościami. Uderzyła mnie też pewna sprzeczność.

— Drogi panie — odezwałem się. — Powiedziałeś, że księżyc umarł, a jednak obecne zmiany lunacji tłumaczysz tęsknotą księżycy do ziemi. Jak to pogodzić?

Pokiwał głową i odparł:

— Bo widzisz pan i zapamiętaj to sobie, że na świecie „wszystko umiera, wyjąwszy — tęsknoty.” Czuję, że i ja, gdy

bym umarł tu, między wami, tęskniłbym nawet w grobie Zdaje mi się, że kości moje wyszłyby z ziemi i patrzyły tam...

Wskazał ręką na zachód.

Pojąłem, że stary guwerner dotknął jakiejś rany swego serca, i zamilkłem. On poruszył się na ławce, jakby chcąc mnie pożegnać. Widocznie jednak rozmyślił się i nagle rzekł tonem pytającym:

— Pan wie, jak dawno nie byłem we Francji?... Trzydzieści lat.

Trzydzieści lat nie widziałem swego kraju... — dodał zmienionym głosem.

Teraz domyślasz się pan, dlaczego zajmuje mnie wieczne tułactwo księżycy i skąd go tak dobrze rozumiem. Nie wiem zresztą, czy on tęskni; ale to pewna, że ja... za moją ziemią...

Wymówił to prawie szeptem i odwrócił się ode mnie. Długa chwila upłynęła, zanim uspokoił się o tyle, że mógł opowiadać dalej.

— Opowiem panu — rzekł — dzieje, chwilami nieprawdopodobne, a jednak dosyć zwyczajne. Dowiesz się, w jaki sposób martwy świadek naszych nocy, księżyc, kojarzył się z mcmi nieszczęściami, i jak wygląda siła odśrodkowa w życiu ludzkim.

Zapalił cygaro i mówił:

— Z upodobania i ukształcenia jestem pedagogiem. Jeszcze będąc w szkołach, kiedy moi koledzy, w czasie rekreacji, bawili się w wojsko lub w teatr, ja uczyłem czytać dzieci naszych służących. Skończywszy zaś uniwersytet, poprostu utonąłem w pracy nauczycielskiej.

Na nieszczęście, miałem dwie wady: jedną był brak protekcji, skutkiem czego nie awansowałem, drugą — żyłka reformatorska. Chciałem poprawić wady ówczesnej pedagogiki i — zyskałem silnych nieprzyjaciół. Nie wiedziałem jeszcze, że kto chce zrobić karierę, nie powinien szukać, ale dogadzać panującemu smakowi.

Bądź jak bądź, po kilku latach walk i pracy, moje urzę

dowe i prywatne stosunki stały się nieznośnemi. Rozdrażniony i rozżalony, wziąłem dymisję jako nauczyciel i wyjechałem do Anglii. Jest temu lat trzydzieści.



Dodam tu nawiasowo, że kiedyś opuszczał Paryż, jadąc nocnym pociągiem, świeciła na niebie pełnia. Ponieważ były kobiety, więc naturalnie dużo rozmawiano o księżycu. Damy twierdziły, że jest to gwiazda zakochanych, jakiś wiejski dzierżawca nazywał go słońcem cyganów i złodziei, a pewien starzec, który dotychczas niewielki udział przyjmował w rozmowie, odezwał się nagle:

— A ja państwu powiadam, że księżyc to planeta tułaczów. Kto urodzi się pod jego znakiem, nie znajdzie spokojnego kąta na ziemi, a niewiadomo, czy i po śmierci nie zostanie upiorem...

Wszyscy śmieli się z tych sentencji, wypowiedzianych kaznodziejskim tonem; ale mnie dreszcz przeszedł. Nic dziwnego: dobrowolna emigracja z kraju zrobiła mnie drażliwym w tej kwestji.

Dla nas, Francuzów, Anglja jest szkołą publicznego życia. Jadąc tam, planowałem sobie, że dokończę mego ukształcenia, znajdę sympatję, jakiej nie miałem w kraju, że wreszcie zdobędę mająteczek i powróciwszy do Francji, założę pensjonat, w którym sam będę panem.

Istotnie Anglja nie zawiodła moich nadziei. Przemieszkałem w niej lat dziesięć, a czas ten był najszcześniejszy w moim życiu. Dojrzałem umysłowo, zdobyłem szacunek ludzi rozumnych, a nawet zebrałem pewien fundusz. Nie krępując się w wydatkach, odłożyłem tysiąc funtów szterlingów.

Przyjaciele moi zachęcali mnie, ażeby tam założył szkołę; ofiarowali mi nawet pomoc. Ale odmówiłem. Chciałem podzielić się z ziomkami doświadczeniem, nabytem w Anglji, a co ważniejsze, poczułem tęsknotę do kraju. Dopóki pracowałem, lata upływały mi jak dni, lecz gdy już pomyślał o powrocie do Francji, minuty wydawały mi się za długie. W ciągu

tygodnia zebrałem moje pieniądze i siadłem na statek, odjeżdżający do Brestu.

Był to piękny wieczór październikowy, a na niebie świecił księżyc w pełni. Patrzyłem na niego z zachwytem, przypominając sobie wyjazd z Paryża i lata tułactwa, które — jutro miały skończyć się dla mnie!... Gdy w rozmowie zwierzyłem się przed kapitanem statku z moich sympatyj do księżycy, który nazwałem najpiękniejszą planetą, wzruszył ramionami i odparł:

— W gruncie rzeczy jest to planeta najsmutniejsza, bo już martwa. I zaczął opisywać księżycowe krajobrazy, mniej więcej tak, jak ja panu o nich opowiadałem.

Zrobiło to na mnie przykre wrażenie, lecz nie straciłem otuchy. Czyliż ten martwy księżyc, patron tułaczów, nie odprowadzał mnie do Anglii? A przecie tam byłem szczęśliwy.

W sześć godzin po podniesieniu kotwic zerwała się burza, trwająca kilka dni. Statek nasz, wymknąwszy się z kanału, wyjechał na pełny ocean i z szybkością ptaka leciał na południe, wzdłuż brzegów Francji. W okolicach Rochelli zbliżyliśmy się do brzegów, ale o wylądowaniu nie było mowy. Znowu wypłynęliśmy na ocean, piorunem okrążyliśmy Finister i — niedaleko Lizbony — rozbiliśmy się...

W tym samym czasie podobny los spotkał kilkadziesiąt innych statków. Zdarzenia tego nie zapomnę do końca życia. Kiedym usłyszał trzask ścian okrętowych i szum wody, wdzierającej się do wnętrza, ukląknę pod masztem i, mimo sceptycyzmu, poleciłem duszę Bogu. Nagle pokład przechylił się, i — potężna fala zmyła mnie w morze. Machinalnie płynąc, w odzieniu ciężkim jak ołów, uczułem, że jakaś martwiejąca ręka chwytła mnie za nogi... Później trafiłem na belkę, przy której ktoś ujął mnie za kark i zepchnął w wodę... Potem zobaczy

łem wysoko, jakby na górze, łódź ratunkową i — straciłem przytomność. Kiedym ocknął się, pierwszym przedmiotem, jaki spostrzegłem, był — biały kapelusz siostry miłosierdzia, która poila mnie mocnym winem. Z ruchu jej ust domyśliłem się, że mówi do mnie; alem nie słyszał wyrazów,

tylko jakiś szum. Chciałem odezwać się, lecz nie mogłem poruszyć szczękami; chciałem podnieść rękę, ale zabrakło mi siły.

Takie były pierwsze wrażenia. Powoli, wzmocniwszy się, dowiedziałem się, że od trzech tygodni leżę w lizbońskim szpitalu. Gdy mi podano lustro, zobaczyłem, że jestem podobny do szkieletu i że mam łysą głowę. — A gdzie moje pieniądze? — zapytałem, z trudnością wymawiając wyrazy.

Zakonnica potrząsnęła głową, patrząc na mnie z politowaniem.

— Niema żadnych pieniędzy — odparła.

— Więc mnie okradziono?

— Nie okradziono pana, ale przez kilka godzin byłeś w morzu... Morze zjada nawet okręty!...

Nigdy nie byłem chciwym, ale dowiedziawszy się o tej stracie, zapłakałem jak dziecko. W tej chwili uczułem, że mi utonęło dziesięć lat życia...

„Z czym wrócę do Francji? — myślałem. — Czy mam jak żebrak wyciągać rękę do tych samych ludzi, których opuściłem przed laty?...”

Nie obchodził mnie już ani własny pensjonat, ani reformy w wychowaniu. Teraz chciałem mieć pieniądze na to tylko, ażeby spokojnie i zdala od ludzi żyć we Francji. Były to pragnienia człowieka, który stracił energię i zestarzał się w chorobie.

Leżąc na szpitalnym łóżku, marzyłem tylko o tem, aby co rychlej dostać jakąś pracę, zakopać się w niej na kilka lat,

zbierać grosz do grosza, a potem wrócić do ojczyzny. Zdawało mi się, że oddaliłem się od niej na całe wieki.

Z naszego statku niewielu ocalało; tem gorliwiej zajęto się pozostałymi.

Kilka osób odesłano do Francji, kilku dano posady na miejscu, a mnie, gdym wyzdrowiał, pewien bogaty Włoch, spekulant z Tunisu, zaproponował w swym domu posadę nauczyciela. Przyjąłem bez wahania; z równą obojętnością jechałbym do Australji, nawet do Laponji.

W Tunisie przebyłem lat sześć, wśród ciężkiej pracy. Wychowałem memu gospodarzowi dwu synów i córkę, a prócz tego udzielałem lekcji w kilku innych domach europejskich. Dzieci były pojętne, ale zaniedbane i leniwe. Całe dni pasując się z ich kapryсами i nieuwagą, czułem, że przestaję być pedagogiem entuzjastą, a robię się rzemieślnikiem.

Swoją drogą w ciągu pięciu lat odłożyłem przeszło dziesięć tysięcy franków i oddałem je memu gospodarzowi, który posiadał niesłychane szczęście w obrotach pieniężnych. Sumka moja w jego rękach szybko rosła; obliczałem, że na wyjazd będę miał z piętnaście tysięcy.

Znowu gorąco zateśniłem do Francji i już za kilka miesięcy postanowiłem wracać, gdy wtem... mój gospodarz zbankrutował!...

W parę dni wyrzucono nas z pałacu, zabrano sprzęty, powozy i konie, a mój gospodarz musiał na rybackim statku uciekać do Genui.

Kiedym go w nocy odprowadzał do brzegu, padł mi w objęcia, szlochał i zaklinał się na świętych i sakramenta, że mi wszystko zwróci co do centyma.

— Przyjedź pan tylko do Genui. Mam tam familją i wierzycieli, i zaspokoję cię. Ciebie jednego mam na sumieniu, muszę cię spłacić! W godzinę później statek odbił od brzegu. Jego żagle błyszcząły jak srebro. Odwróciłem głowę i zobaczyłem — księżyc w pełni...

— Tknęło mnie niedobre przeczucie. No i co pan powiesz?... — zawołał stary guwerner. — W parę tygodni byłem w Genui, alem już nigdy nie zobaczył ani mego chlebodawcy, ani pieniędzy!

— Księżyc temu nie winien—wtrąciłem—choćbyła pełnia.

— I ja tak myślę — odparł. — Musisz pan jednak uznać, że księżyc tym razem przyświecał wielkiemu złodziejowi. Szkaradna gwiazda!...

Cygaro oddawna mu zgasło, więc zapalił je powtórnie i znowu opowiadał:

— W Genui zetknąłem się z pewną polską rodziną i z nią przyjechałem do waszego kraju, gdzie mieszkam lat trzynaście. Ludzie tutejsi są dobrzy, nawet zdolni, choć niestety, nie lubią pracować, a naturalnie i nie szanują

cudzej pracy. Ich bożkiem jest zabawa, dla której wszystko poświęcają. Zato naukę traktują jak macochę, a nauczycieli jak kamerdynerów.

Ale mniejsza o nich. Wracam do mego losu.

Przed sześcioma laty, jedna z waszych zamożnych rodzin, u której byłem nauczycielem, otrzymała wielki spadek i, rozumie się, na jego cześć wybrała się do Paryża.

Jechałem i ja z nimi. A trudno opisać, com czuł, zbliżając się do ojczyzny, od dwudziestu czterech lat niewidzianej.

Podróż ciągnęła się parę miesięcy, zwiedzaliśmy bowiem wszystko, co leżało i nie leżało na drodze: Berlin, Wiedeń, Monachjum, Drezno... Moi państwo wszędzie zatrzymywali się i bawili cudownie; ja, pochłonięty jedną myślą, zaledwie pamiętam, co widziałem.

Nareszcie — dowlekliśmy się prawie do Strasburga. Lecz, kiedy już dosięgaliśmy granicy, zatrzymała nas depesza z Warszawy. Adwokat donosił memu panu, że jego spadek został zakwestionowany, i wzywał go natychmiast do powrotu!...

Tego samego dnia już nocowaliśmy w Kolonji, pani bowiem zasłabła i musiała odpocząć.

Tak boleśnie pozbawiony nadziei zobaczenia Francji, wpadłem w rozpacz. Chciałem sam wracać i poprosiłem mego chlebodawcę, ażeby mi wypłacił należność. Gdym mu wytłomaczył pobudki tego kroku, szczerze mnie żałował; oświadczył jednak, że dopiero w Warszawie będzie mnie mógł zaspokoić, gdyż w tej chwili czuje brak pieniędzy.

Zdesperowany, wyszedłem na ulicę i znowu zobaczyłem — księżyc w pełni, szyderczo spoglądający na mnie z poza olbrzymiej katedry...

Wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy okrutne przypuszczenie: czy ja nie jestem, jak ten księżyc, skazany na wiekuiste tułactwo?... Jak on okrąża ziemię, czyliż ja nie okrążam Francji? Czy nie zbliżałem się do niej z północy, zachodu, południa, a teraz ze wschodu i — zawsze napróżno?... A ile razy myślałem, że choć dotknę nogą ojczystej ziemi, tyle razy, zdaje

się, prawie niemożliwy zbieg wypadków odrzucał mnie od niej, nie pozwalając nawet spojrzeć zbliska...

Wiem, że moje przesady co do księżycy wyglądają na obłąd, albo dzieciństwo. Ale, panie, przesąd jest zielskiem, które wyrasta z nieszczęścia. Czy nawet może nie być przesądnym człowiek, który trzy razy w tak straszny sposób doświadczył na sobie potęgi losowych wypadków?... A czym zresztą jest każde prawo, jeżeli nie ciągiem powtarzaniem się faktów, w gruncie rzeczy niezrozumiałych?...

Za miesiąc — mówił guwerner — kończą się moje terażniejsze obowiązki. Ciężką pracą i drobiazgową oszczędnością, nieledwie zaparciem się, zebrałem kilka tysięcy rubli. Jest to niewiele. Szczęściem, dzisiejszy mój pan obiecał mi dać dwa tysiące rubli gratyfikacji, jeżeli... jeżeli syn jego do ostatka będzie ze mnie kontent!... Pojmujesz pan, ile kaprysów, ile upokorzeń znosić muszę dla uzyskania tych pieniędzy, które dla mnie stanowią przyszłość, bo już czuję brak sił, jestem zgnębiony i wyczerpany...

A jednak byłoby to niczem, gdybym, pośród wszystkich goryczy, miał pewność, że... nareszcie wrócę do kraju...

— Jestem przekonany, że tak będzie — odezwałem się. Guwerner smutnie potrząsnął głową i odparł:

— Jesteś przekonany, bo nie wiesz, co to jest być zwyciężonym. Ludzie młodzi mają tak niewielkie doświadczenie, a tak obfite zapasy nadziei, miłości, pragnień, zresztą — wiary w siebie, że nawet nie pojmują niezwalczonej siły losu. Mnie możesz pan uważać za mazgaja, który nigdy nie umiał oprzeć się zewnętrznym okolicznościom; pomyśl jednak, ilu ludzi znanych z energii łamały kapryśne wypadki? Lecz i tego dowodu nie trzeba. Spójrzyj na księżyc, pomyśl, ile on waży setek milionów centnarów, pomyśl, że nieustannie dąży do ziemi, i pomimo to nie spada, bo w każdej chwili zbija go z drogi tajemnicza potęga. Dla księżycy zwie

się ona — siłą rzutu, dla człowieka — nieszczęściem; ale skutki są jednakowe — tułactwo!...

Kto mi zaręczy, że ja nie jestem igraszką jakiejś niezbadanej siły odśrodkowej? Wszakże jej potęgi doświadczam od lat trzydziestu. Kto mi da nadzieję, że wrócę do ojczyzny?... Alboż nie mogę w ciągu kilku tygodni umrzeć, czy zniedołężnieć? Ale i tego nawet nie trzeba. Mogę poprostu znowu stracić pieniądze, a choćby tylko nie dostać gratyfikacji, a wtedy co?... Miałbym wstyd wracać na łaskawy chleb do kraju, który opuściłem w sile wieku, który mi wszystko dał, niczego wzamian nie żądając?...

Pracować dłużej w takich warunkach nie potrafię. We Francji odzyskałbym energią, ukoiszy tęsknotę. Ale tu!...

Czuje, że jestem jak pociąg, który dojeżdża do stacji. Potrzebuję nowych zapasów siły, a tej u was nie znajdę.

Przez łączkę, oblaną światłem księżycy, przesunęło się znowu — dwoje, i doleciał nas urywek rozmowy:

— A na dobranoc?...

— Dostanie pan tę różę.

— I tyle?...

— Czy nie dosyć?...

— Przynajmniej niech ją pani dotknie ustami.

— Nie wolno.

— Nie wolno, to znaczy — nie chcę?

— Nie wolno, znaczy tylko... nie wolno... I znikli, jak duchy.

Guwerner podniósł się z ławki i ciężkim krokiem szedł ku domowi.

W końcu alei rozległ się odgłos prędkiego biegu kilku osób i wołanie:

— Monsieur Francois! monsieur Francois!...

Nagle dopędził nas wychowanek guwenera w towarzystwie dwu innych paniczów.

— Monsieur Francois, niech mi pan zrobi jedną łaskę... — rzekł chłopiec tonem pieszczotliwym.

I uwiesiwszy się staremu na szyi, wywijał nogami w powietrzu.

— Dziesięć łask zrobię ci za taką prośbę! — odparł z uśmiechem guwerner. — Czegóż sobie życzysz tak gorąco?

Chłopak zaczął szeptać głosem przerywanym ze zmęczenia:

— Widzi pan, tam, na balkonie, pannę Fifi?... Już pół godziny siedzi w białym szlafroku, z podpartą brodą, i — wzdycha!... Sam słyszałem, że wzdycha... Z pewnością jest zakochana...

— Dajże jej spokój z zakochaniem! Prędzej ją zęby bolą — odparł guwerner.

— To wszystko jedno — przerwał chłopiec — bo... wie pan, co mi na myśl przyszło?... Oto, żeby pan przebrał się za trubadura i — zaśpiewał jej serenadę...

Guwerner odsunął go lekko.

— Pan nie chce?... — zdziwił się chłopak.

— Nie.

— Pan mi odmawia? — zawołał malec z gniewem. Stary spojrział na mnie i pokiwał głową. Odsunąłem się od nich.

— Jeżeli tak, więc — dziękuję panu! — mówił zirytowany chłopak. — Obiecałem, że pan będzie śpiewał serenadę... Całe towarzystwo czeka, a pan mi odmawia... Jestem skompromitowany!... — dodał, prawie szlochając.

Na drodze ukazała się wysoka dama, w płomienistej sukni i purpurowym szalu.

— Maman!... il ne veut pas śpiewać serenady... — zawołał chłopak, biegnąc naprzeciw niej.



— A mówiłam ci — rzekła dama — ażebyś nie dawał słowa w imieniu osób, których nie jesteś pewny. Szkoda, że monsieur prawie na pożegnanie robi tak wielką przykrość Luciovi!  
Czułem, że w tej chwili dwa tysiące rubli gratyfikacji wiszą na włosku...  
— Co go mój honor obchodzi! — wzdychał malec. — Gdybym powiedział, że zabiję się w jego oczach, jeszczeby nie śpiewał.  
— Więc nie da się pan ubłagać? — spytała dama.  
— Lucio przesadza! — odezwał się guwerner. — Zresztą, jakże tu śpiewać serenadę, jeżeli niema gitary?... — dodał tonem żartu.  
Chłopak wysunął się naprzód.  
— Są skrzypce — rzekł. — Może pan grać na nich, jak na gitarze.  
— A płaszcz?... a kapelusz?... — pytał zmieszany guwerner.  
— Jest wszystko, i zaraz pana ubierzemy! — mówił chłopiec, znowu chwytając go za szyję. — Ach, jaki pan dobry!... ach, jak to będzie zabawnie!... Pomrzemy ze śmiechu...  
Objął go wpół rękoma i szybko biegnąc, ciągnął w stronę gęstego klombu.

W kilka minut z poza krzaków wysunął się trubadur. Niski, gruby, w szerokim kapeluszu i połyskującej pelerynie, wyglądał w nocy jak strach na sowy.

Ostrożnie zakradł się pod balkon i stanął, oświetlony promieniami księżycy, naprzeciw dumającej panny Fifi. Usłyszałem cichy brzęk strun skrzypcowych, a potem jakąś wenecką serenadę, śpiewaną głosem fałszywym i zmęczonym.

Biało ubrana kobieta wychyliła się z balkonu, widocznie nie rozumiejąc, co to znaczy. Lecz poznawszy guwenera, krzyknęła:

— Stary błazen!...

Trubadur umilkł i szybko skrył się w cieniu balkonu. W sąsiednich klombach rozległ się ogromny śmiech.

— Cha! cha! cha!... — śmiało się kilkanaście różnych głosów, nad którymi górował zanoszący się dyszkant panicza. — Cha! cha! cha!... Już panna Fifi cofnęła się z balkonu, a guwerner znikł, jakby wpadł pod ziemię, a oni jeszcze śmieli się sopranami, tenorami i dyszkantem. Aż śpiący na gałęzi obudził się ptak, i przestraszony, najeżywszy pióra, zaświergotał.

Potem śmiech zamienił się w wesołą rozmowę, potem wielokrotnie powtórzono słówko: „dobranoc!” — i nareszcie wszystko umilkło. Zbudzony ptak mocniej objął palcami gałązkę i znowu zasnął. I śniło mu się w główce, schowanej pod skrzydło, że jest, jak niegdyś, małym ptaszkiem i że śpi w gnieździe, otulony gorącą piersią matki.

Było już po północy. Księżyc dosięgnął zenitu, a nad balkonem, pod którym guwerner śpiewał serenadę, stał obłok szczególnej formy. Zdawało mi się, że zamiast kłębow pary widzę olbrzymią mapę Francji, jaśniejącą blaskami.

Od tej nocy guwerner tak mnie unikał, że opuściłem wieś, nie mogąc spotkać go ani razu.

Później zapomniałem o nim. Lecz w kilka miesięcy, na Nowy Rok, otrzymałem z Paryża upominek w formie biletu z zabawnym rysunkiem. Był tam mały, nagi chłopiec, grający na gitarze pod balkonem równie małej i nie lepiej ubranej dziewczynki.

Na odwrotnej stronie, u dołu, przeczytałem nazwisko: Francois X...

Domyśliłem się, że stary guwerner nareszcie wrócił do Francji. Serenada była ostatniem nieszczęściem, jakie sprowa?dził na niego księżyc w pełni.

**PO CO PRZYJECHALI?**

Do niechlujnej i ciasnej hotelowej izdebki na trzecim piętrze wszedł znajomy nam pan Mateusz, w towarzystwie Moszka, dość przyzwoicie odzianego i ostrzyżonego, choć prowincjonalnego faktora.

— To pan tu mieszka? — zaczął Żydek.

— Tu, kochanie, z poczciwym Leonkiem. Trzeci już raz zmieniam lokal przez tego łotrzyka Józia, który mi nie powiedział odrazu, że są numera po pięć złotych. Nie wiem nawet dlaczego...

— Pięć złotych — powtórzył Moszek — a kto płaci?

— Ja z Leonkiem...

— Ny, ny!...

Pan Mateusz zmieszał się, usłyszawszy wykrzyknik.

— Powiedz mi, drogi Moszku — rzekł — ile też ten chłopiec wywiózł z domu?

— He?... tyle, ile mu stary dał: sto rubli. Ale on już teraz nic nie ma, bo i pieniądze stracił, i rzeczy posprzedawał...

— Posprzedawał, mój Boże! A mnie mówił, że są u jakiegoś przyjaciela... Z niego już nic nie będzie! Siądźże, kochany Moszku, ot tak.

Poczęstowałbym cię cygarem...

— Już ja pana sam poczęstuję, ale z przeproszeniem kopiejkowem, bo takie tylko palę — przerwał Moszek, dobywając paczkę cygar i podając jedno z nich panu Mateuszowi.

— Stokrotnie dziękuję! No, moje dziecko, a ile też wywiózł z domu kochany Marek?

— On?... On za pszenicę wziął trzysta rubli, za groch pięćdziesiąt, za żyto sto dwadzieścia, razem czterysta siedemdziesiąt. Pani zostawił dwadzieścia pięć...

— Czy tylko pewno?...

— Jak nie ma być pewno? przecież zmieniała dwadzieścia pięć rubli u Szmula, a ten papierek był nie jej, bo za krowę od Icka wzięła dwa papierki po dziesięć rubli, a za gęsi pięć jednorublowych.

— Aha! A poczciwy Antoni?...

— On od pana na pewno nie będzie pożyczał, bo wziął od kasjera trzy tysiące rubli, i jeszcze kazał przygotować drugie trzy tysiące rubli na wezwanie — nu, i swoich z biurka coś musiał ruszyć.

— Kochanek! będzie robił duże sprawuneczki... A tenże Władysław serdeczny?

— Kto go wie! — mruknął niechętnie Moszek. — On kasjera nie trzyma, pieniędzy nie pożyczał i zboża nie sprzedawał, to trudno wymiarkować, choć... bo ja wiem? musiał wziąć ze dwa tysiące rubli.

— Bieda z tymi ludźmi! — westchnął Mateusz. — A o innych tam nic nie słyszałeś, kochanie?

— Trochę. Pan Józef zgrał się w karty i będzie potrzebował; pan Tomasz kupuje młocarnią i także będzie potrzebował, ale chyba nie zaraz.

— Poczciwy Moszku! — zawołał rozrzewniony gospodarz izdebki — jak to dobrze, żeś i ty za nami przyjechał na wystawę...

— Wiem, wiem — odparł Moszek. — Ny, ale jak pan zrobi z tym zegarkiem?

— Kiedy to... widzisz... jakoś po sąsiedzku nie wypada... A przytem mało wart — bełkotał pan Mateusz — jak cię kocham!

— Panu dobrodziejowi z sąsiadami nie pierwszy raz handlować, a zegarek z dewizką wart sto dwadzieścia rubli, jak obwarzanek za grosz, na moje sumienie.

— Słuchaj, Moszku — rzekł pan Mateusz stanowczo — dam czterdzieści pięć rubli, ale pod dwoma warunkami.

Naprzód, żeby nikt o tem nie wiedział, a powtóre, żeby mi ten robaczek wystawił kwit, jako w dniu października r. b. sprzedaje mi go za pięćdziesiąt rubli. Odda pieniądze na czas, to i ja oddam zegarek; nie odda, tom go kupił i basta!

W tej chwili zadudniły schody i we drzwiach zadymionej izdebki ukazało się czterech mężczyzn. Byli to panowie: Marek, Leon, Władysław i Antoni.

WŁADYSŁAW (do Mateusza). A cóż? byłeś sąsiad na wystawie?...

MATEUSZ (zakłopotany). Ja... tego... właściwie...

ANTONI (do Mateusza). Wstydź się, sąsiedzie! o tyle mil przyjechałeś, za parę dni zamykają wystawę, a tyś nie był jeszcze.

MATEUSZ. Brak czasu... brak zdrowia... Przytem sąsiedzi macie stałe bilety...

MAREK. Tak, ale płacimy za nie po cztery ruble; zapłać i ty, to będziesz miał...

MATEUSZ. Wolałbym chwilowy, ale nie wiem, gdzie kupić...

MAREK. W kasie, w kasie, przy wejściu.

MATEUSZ. Nie wiem, czy trafię...

LEON. To już ja sąsiadowi dam swój bilet na dziś.

MATEUSZ. Nie wiem, jakby się tam dostać...

LEON. Dorożką pierwszej klasy, za pół rubla...

MAREK. Albo drugiej za dwa złote.

ANTONI. Można i omnibusem za dwadzieścia groszy pod sam gmach prawie...

WŁADYSŁAW. A nawet za dziesięć groszy na plac Aleksandra, stamtąd zaś kilkadziesiąt kroków piechotą.

MAREK. No, ale idźmy już na obiad, a potem może się znowu zejdziemy na wystawie...

LEON. Najlepiej przy restauracji (do Mateusza). Oto mój bilet...

MATEUSZ. Uprzejmie dziękuję! (cicho do Leona) A czy niema tam znowu jakich wyderkafów?

LEON (cicho do Mateusza). Jeżeli są znajome damy, wypada zawsze postawić szampana... Czybyś sąsiad nie był łaskaw... parę rubli, bo inaczej będę musiał... zegarek...

MATEUSZ (cicho). Nie mam... jak cię kocham!...

MAREK. Idźmy raz na ten obiad! Panie Mateuszu, pójdź z nami

MATEUSZ. Sąsiad taki łaskaw...

MAREK (cicho do Mateusza). Po obiedzie pogadamy parę słów na osobności, bo...

MATEUSZ. Hum!... rozumiem... owszem, ale z bardzo króciutczkim terminem.

Po skromnym obiadku, w ciągu którego pan Marek, podbudzony nadzieją uzyskania kilkuset rubli pożyczki, zdwoił porcją zupy, a potrajał porcją sztuki mięsa, pieczeni i leguminy, poczciwy Mateusz wybrał się wreszcie na wystawę. Świeżo mając w pamięci przepisy co do omnibusów,

oszczędny ten człowiek uplacował się niedaleko poczty, zatrzymywał każdy przejeżdżający wehikuł i zapytywał każdego konduktora:

— Czy do wystawy, moje dziecko?

— Do wystawy, niech pan siada — odpowiadał konduktor, szczękając dzwonkiem i otwierając drzwiczki.

— Jeżeli tak, to jedź z Bogiem, serce — kończył pan Mateusz, cofając się na swoje stanowisko i oczekując nowej zdobyczy.

Nadjechał wreszcie jakiś mocno nadwerężony klekot.

— Hola! hola! czy na wystawę jedziesz, kochanku?

— Nie, panie, ale w tamtą stronę — odpowiedział konduktor, człowiek, który w południe miał minę dziada, a nad wieczorem rozbójnika.

— Jadę z tobą! — zawołał pan Mateusz i siadł do honorowego przedziału z akcentem osoby, przynoszącej zaszczyt rodzajowi ludzkiemu.

Omnibus toczył się zwolna, a znajomy nasz, rozmyślając zapewne o wystawie, spoglądał to na ulicę, to na obdartego konduktora, to wreszcie na jedyne go współtowarzysza Żyda o fizjonomji poważnej i inteligentnej. Znudzony wreszcie milczeniem, zaczął:

— Pan starozakonny zapewne handlujący? Pan starozakonny skrzywił się i odparł:

— Bynajmniej!

„Co u diabła, czym on jest?” — pomyślał oszczędny człowiek, a potem dodał głośno:

— Więc zapewne kupiec?

— Bynajmniej! — odparł interpelowany.

Ta odpowiedź zaniepokoiła już Mateusza, chwytając się więc ostatniej deski zbawienia, spytał:

— Więc... może z zagranicy?...

— Bynajmniej! Ja mam swoją wieś... Twarz oszczędnego człowieka rozjaśniła się.

— Jakże szanownemu panu idzie na gospodarstwie?

— Zwyczajnie jak nam obywatelom, źle. Pierwszego roku wszystkie pola zasadziłem burakami, ale coś padło i buraki wyginęły. Na drugi rok zasiałem pszenicę, ale się nie udała, na trzeci wszystko ugorowałem, i znowu nie było zysku, a na czwarty wszystko chłopom sprzedałem, i nawet nie było czem długów popłacić! Och!...

— Szanowny pan zapewne tylko sobie dworek zostawił?...

— Co mi po dworku, kiedy w nim nic niema?... Sprzedałem i dwór.

— Więc pan dobrodziej teraz nie ma wsi?

— Tak jakbym miał, bom już miał; u nas, u obywateli, choć kto sprzeda, zawsze rachuje się, że ma.

— Teraz pan zapewne do handlu powrócił?

— Niech Bóg zachowa! Ułatwiam drewniane i okowiciane interesa moim sąsiadom i jadę właśnie na Solec dowiedzieć się o belki... A pan? — ciągnął dalej — czy pan jakiej kondycji szuka?...

— Nie, ja sam jestem właścicielem ziemskim.

— Bardzo mi przyjemnie — odparł były właściciel, dotykając czapki. — Człowiek, jadąc omnibusem, szczególnie w tę stronę, zawsze spotyka tylko samą prostotę...

Wehikuł stanął.

— To stąd już niedaleko, kochanku, do wystawy? — pyta pan Mateusz konduktora, wysiadając i płacąc.

— Stąd?... Ba, to się panu przyśniło! przecież tu Szulec, a wystawa na Ujazdowie.

— Gdzież plac ten... ten... Aleksandra?

— Oooo!... — dziwi się konduktor. — Plac tam na górze, będzie z pół wiorsty drogi.

— Boże miłosierny! cóż się to stało?

— Szkoda, że pan nie wysiadł koło straży — wtrąca starozakonny obywatel.



— Nie znam miasta!... nic nie wiem!... wszyscy mnie oszukują! — biada pan Mateusz, rozmyślając nad sposobem powrotu na właściwą drogę. Rada w radę, postanowiono, aby zmartwiony podróżny wszedł do jadącego ku miastu omnibusa, i surowo upomniano konduktora, aby około straży pasażera wysadził.

Jak rzekli, tak się stało. W dziesięć minut pan Mateusz był w oznaczonym punkcie, skąd po małej chwili dostrzegł pędzący i naładowany omnibus.

— Hola! hej! a czy na wystawę?

Konduktor kiwnął głową i wskazał panu Mateuszowi małą, ślizgą i okrągłą ławeczkę, umieszczoną z tyłu powozu, gdzie jednym skokiem dostał się nasz przyjaciel.

— A ile się płaci za to miejsce? — zapytał konduktora.

— Dwadzieścia groszy.

— Co? dwadzieścia groszy za to łoże Madejowe i za kawałek drogi?

— Taki kurs, my dojeżdżamy do wystawy.

— A niechże was tu Pan Bóg kocha! — zaklął pan Mateusz i wyskoczył z siedzenia tak nieszczęśliwie, że kozła na bruku wywrócił.

Zrobił się gwałt, litościwi przechodnie podnieśli pacjenta, wsadzili w dorożkę, i dowiedziawszy się o mieszkaniu, odesłali na koszt odbierającego.

Nadszedł wieczór, a strudzeni bieganiną pozostali znajomi nasi zasiedli do kolacji, bawiąc się mniej więcej następującą rozmową:

WŁADYSŁAW. No, niema co mówić, udała się wystawa.

MAREK. W każdym razie nie lepsza od wiedeńskiej (do warszawiaka). Co... panie?...

WARSZAWIAK. Ale gdzież znowu, sto razy lepsza!

ANTONI. Pan był na wiedeńskiej?

WARSZAWIAK. To jest... tak jakbym był.

WŁADYSŁAW. Więc pan nie był?

LEON i MAREK (razem). Ale!... jakże!...

WARSZAWIAK. Właściwie... ale tego... Jeździłem wtedy do Częstochowy, tam i napowrót, i słyszałem od takich, co byli.

ANTONI i WŁADYSŁAW (razem). Aha!

MAREK (do garsona). Dasz, gapiu, czy nie dasz te kaczki?...

MARKIER. Zaraz się upieką, jaśnie panie.

MAREK. Więc dajże nam tymczasem po porcji polędwicy i parę butelek czerwonego.

ANTONI. Sąsiedzie! sąsiedzie!

MAREK (z gniewem). Cóż u diabła monitujecie mnie jak dzieciaka? Przecież jest tu z nami warszawiak, którego musimy uczcić. Nieprawdaż?

LEON i WARSZAWIAK (razem). Prawda! prawda!...

WACIO (do Marka). Tatku! niechże mi tatko kupi te pistolety od Jachimka...

MAREK. Cierpliwości, moje dziecko! Wracając jednak do wystawy, wiecie co... że to jest wierutna blaga! Czy nie prawda, panie warszawiaku?

WARSZAWIAK. Prawda! prawda!

WŁADYSŁAW. A toż dlaczego, mój panie?

MAREK. Dlatego... no dlatego, że niema z niej pożytku...

ANTONI. To zależy. Ja z niej wywożę buhajka, młocarnią i lokomobile.

WŁADYSŁAW. Ja żniwiarkę i pług Cichowskiego.

ANTONI. Moja pani nabrała gustu do jedwabników...

WACIO. A ja do pistoletów.

MAREK. Cicho, Waciu, kiedy starsi mówią.

WŁADYSŁAW. Dowiedziałem się przytem o nowych odmianach zboża, kupiłem kilka książek, a Dobrski nasunął mi myśl badania gruntów naszego powiatu.

ANTONI. Tak jak mnie Zamojski projekt folwarcznej szkoły.

WŁADYSŁAW. A mojej żonie pani Huba nowe naczynia do gospodarki mlecznej.

ANTONI. Wybuduję przytem kilka betonowych domów dla czeladzi.

GARSON. Sześć polędwic, butelka wina, cztery kaczki.

MAREK. Dawaj! dawaj!... oto się uraczymy.

ANTONI. Panie Marku!

MAREK (przerywa). Wracając tedy do wystawy... jakim wy u diabła sposobem doszliście do tylu nowości? bo co ja, to niech mnie piorun

trzaśnie, na wszystko patrzyłem, ale jakoś nic... (Nalewa wino). W ręce twoje, panie warszawiaku. Kochajmy się!

WARSZAWIAK, WACIO i LEON. Kochajmy się!

WŁADYSŁAW. Wracając do wystawy, radziłbym sąsiadowi notować.

MAREK. Waciu! będziesz jutro notował, pamiętaj. Pyszna kaczka.

WACIO. Zaraz zapiszę pistolety.

MAREK (nalewając kieliszki). A teraz, panowie... zdrowie mojego nieboszczyka barana...

WARSZAWIAK, LEON, WACIO. Niech żyje!

LEON. A teraz... możebyśmy zdrowie warszawianek?...

WARSZAWIAK, MAREK, WACIO. Niech żyją!

WŁADYSŁAW (do Antoniego). Ciekawym, co za jeden jest ten warszawiak, który, na honor! nawet widelca i noża porządnie trzymać nie potrafi?

ANTONI (do Władysława). Musi być jakiś szubrawiec, bo go Leon przedstawił jako swego przyjaciela, a Marek... zawsze ten sam Marek, zaznajomił go nawet z żoną i córką.

MAREK (rozrzewniony). Panowie! wypilem na cześć mego barana, ale nie śmieście się. Był to baran... ach!

ANTONI. Nic osobliwego.

MAREK (z wyrzutem). Nic?... Bodaj tak!... Tłusty jak ciele, ogon... ehe! odkąd żyję, nie widziałem takiego ogona, a rogi... rogi, jak u wołu! Sam stworzyłem taką rasę...

WŁADYSŁAW. W jakiz to sposób?...

MAREK. W jaki?... W tem sekret! Na nic pasza, na nic krzyżowanie, wszystko na nic, bo... bo ja wynalazłem nowy zupełnie sposób...

ANTONI. Ciekawym?

MAREK. To nie dosyć, żeś sąsiad ciekawy, ale... ale dajcie mi wprzód słowo, że mnie nie zdradzicie, — wszyscy co do jednego!

WARSZAWIAK, LEON i WACIO. Słowo! słowo honoru!...

MAREK. Otóż tedy, czy wiecie, w jaki sposób wytworzyłem mego barana?

LEON. Przez pomieszanie.

WARSZAWIAK. Przez...

MAREK. Przez... zapatrzenie! Jego matka stała dwa tygodnie w cieletniku.

ANTONI (do Władysława). No, chodźmy już.

WŁADYSŁAW (do Marka). A nie zapomnij sąsiad notować. Adieu!

MAREK. Wacuś!... a... a nie zapomnij tam jutro notować (do Antoniego i Władysława). Tylko mnie nie zdradźcie.

Na drugi dzień cała rodzina Marka, około jedenastej, znalazła się przy wejściu na wystawę. Otyły jegomość miał minę bardzo uroczystą i co chwila przywoływał do siebie Wacia, dźwigającego spory katalog i ołówki.

MAREK. U Goldenrynga pięć chorągiewek... Waciu, pisz go!...

HELENKA. Ależ, papo...

MAREK. Maszyniści chodzą w ceratowych kapeluszach i szafirowych koszulach. Wacek, pisz!

HELENKA. Ależ, tatku, kto zapisuje takie drobiazgi?...

MAREK. Jakie drobiazgi?... albo maszynista to drobiazg?...

HELENKA. Myślę, że lepiej byłoby zanotować kilka książek gospodarskich, oto właśnie są tu.

MAREK. Masz rację, moja córko. Idźmy tam! (zbliżają się do szafki z książkami).

WACIO. Heluniu... spojrzyno! No... Noël z Pa... z Paryża... Czy to ten, co z Chapsalem gramatykę francuską napisał?

HELENKA. Mój Boże! Waciu... co też ty wygadujesz?

MAREK (czyta). Po... ra... Parownik gorzelniczy...

HELENKA. Papo... to jest: Poradnik gorzelniczy...

MAREK. Pisz, Waciu! Poradnik gorzelniczy, sześćdziesiąt kopiejek, okładki żółte...

HELENKA. Waciu! przecież żółte pisze się przez o kreskowane...

MAREK. En... cy... klo... pejda... pedyja... handlowa... Smaruj go! Dwa ruble, okładka pomidorowa...

HELENKA. Naco tatkowi ta encyklopedja?

MAREK. Jacto naco? wszystko się przyda... Pisz, Wacuś.

PANI MARKOWA. Dałbyś, ojczy, spokój chłopcu. On przecie nie poto tu przyjechał, ażebyś go dręczył pisaniem.

MAREK. To prawda! no, ale cóż będziemy robili? Aha! ha!... pójdziemy do restauracji, a może kogo znajomego spotkamy.

Familja rusza, Wacio przypomina o pistoletach, a tymczasem w drodze nawijają się panowie: Antoni i Władysław, zaciekle dysputujący o wołach. Powitania, uściski i wspólny marsz do restauracji, dokąd przybywszy, pan Marek zapytuje dam, co sobie podać rozkażą? Helenka dziękuje za wszystko, mama zaś oświadcza się za limonadą gazową.

MAREK. Hola! numer trzeci. Butelkę limonady gazowej...

MARKIER. Zabrakło, proszę pana.

PANI MARKOWA. Więc wody sodowej.

MARKIER. Kiedy już wyszła, proszę łaski pani.

MAREK. No, to daj mi tymczasem parę kufli piwa.

MARKIER. Jeszcze nie przywieźli, proszę pana.

Pan Marek irytuje się, a tymczasem do restauracji nadchodzą panowie Leon i warszawiak w towarzystwie wysokiej, śniadej brunetki, w tyrolskim kapeluszu. Dwaj młodzieńcy, dostrzegłszy sąsiadów i damy, szybko opuszczają piękną nieznajomą, która znika w tłumie, a sami zbliżają się do namiotu.

HELENKA. Aaa... jakżeśmy szczęśliwi! Właśnie rozmawiamy o tem, dlaczego Warszawianka na konkursie upadła— może więc panowie nam objaśnią.

WARSZAWIAK. To możeby pan Leon...

LEON. To możeby pan Feliks...

HELENKA. Uważam, że dla panów kwestja żniwiarek jest dość kłopotliwą, więc może mi panowie objaśnią, skąd się bierze woda w fontannie?

WARSZAWIAK. Doprawdy... trudno...

LEON. Tak... to jest...

HELENKA. Czy niema tu gdzie afisza w tych okolicach? chciałabym wiedzieć, co dziś grają w... Jakże się nazywa?

LEON. W Eldorado?... „Życie paryskie."

HELENKA. Ślicznie dziękuję!



WACIO. Tatku! ja obejrzę pistolety...

HELENKA. Poproś panów z sobą, Waciu, to ci lepiej objaśnią.

LEON i WARSZAWIAK. E... e... e...

WACIO. Chodźmy! chodźmy! (wychodzą).

ANTONI. Winszuję pani, zrobiłaś to, czegoby żaden z nas nie potrafił.

HELENKA. Zato będę panów prosić o parę objaśnień. Czy pługsamochód przydałby się na naszym gospodarstwie i ileby kosztował?

ANTONI. Naturalnie! Co zaś do ceny, ta, jeżeli się nie mylę, wynosi osiemnaście rubli.

MAREK. Przejdę się trochę po wystawie; zaczekajcie państwo na nas.

PANI MARKOWA. Pójdę i ja.

WACIO (przybiega zaperzony i mówi cicho do ojca) Tatku! niech mi tatko da kilkanaście rubli...

MAREK. Naco ci, mój synu? Mam tylko dwadzieścia pięć.

WACIO. Niech tatko da, a wieczór dopiero się tatko ucieszy!... (Bierze pieniądze i odchodzi w jedną stronę, a rodzice w drugą).

HELENKA. Niech panów to nie dziwi, że się pytam o rzeczy, obchodzące tylko mego ojca, ale chciałabym mu zrobić niespodziankę. Otóż przechodząc do żniwiarki, jaką też panowie uważacie za najlepszą?

ANTONI i WŁADYSŁAW (razem). Merveilleuse... Wooda...

HELENKA. To lepsza Wooda, bo tańsza... A czy jedwabniki korzystnie będzie u nas hodować?

WŁADYSŁAW. Probuje pani, wszak macie dębinę (Państwo Markowie wracają).

PANI MARKOWA. Patrz, Heluniu, jaki zrobiłam sprawunek: tuzin chustek z widokami wystawy.

HELENKA. Ja nie zrobiłam sprawunku, ale jeżeli mi tatko da... tak ze siedemset rubli, to kupię czterokonną młocarnię z maneżem, żniwiarę i pługsamochód.

PANI MARKOWA. Przytem znalazłam cudowne dwa ogłoszenia: o amerykańskich kroplach od bólu zębów i o perfumach YlangYlang...

ANTONI. Ba! jak uważam, to i kochany sąsiad coś kupił...

MAREK. Baka kupiłem!... powiadam wam, cudowna rzecz, szkoda tylko, że go jeszcze puszczać nie umiem.

WACIO (przybiega). Tatku! tatku!... niech się tatko cieszy! Te pistolety co to od Jachimka, kosztują sto rubli, ja kupiłem za pięćdziesiąt.

MAREK. Gdzież one są?

WACIO. Dopiero będą wieczór; ten warszawiak przyniesie je do nas, bo teraz nie można... Ale niech się tatko nie boi, bo dałem już dwadzieścia pięć rubli zadatku.

ANTONI. Komu?...

WACIO. A temu panu warszawiakowi, bo on się zna...

MAREK. Czyś zwarzjował, chłopcze?

WŁADYSŁAW. Gdzie ten warszawiak i gdzie Leon?

WACIO. Pan Leon poszedł do muzyki, a pan warszawiak szuka Jachimka.

PANI MARKOWA. Nic nie rozumiem?... co to znaczy?...

ANTONI. To znaczy, że znajomy pana Leona jest sobie poprostu kieszonkowym złodziejem. (Wchodzi Leon). Aha! dobrze, żeś przyszedł. Gdzie mieszka ten pan Feliks?

LEON. Nie wiem...

WŁADYSŁAW. A jakże się nazywa?...

LEON. Jakoś... Dalibóg, zapomniałem...

ANTONI. Ładnie się bawisz, Leonku, i doskonałych wybierasz sobie przyjaciół. Powinszuję ojcu!

Jęczący, stękający, obandażowany, leżał pan Mateusz w znanym nam. już mieszkaniu, pod dozorem Moszka, który, mówiąc nawiasem, bardzo lubił swego pryncypała i teraz w chorobie, zabawiał go pogawędką o interesach.

— To już pan nie kupi kamienicy? — pytał Żydek.

— Niech ją tam gęś kopnie i całą Warszawę razem, gdzie w biały dzień na środku ulicy rozbijają.

— Racja, a zresztą coby pan tu robił? W Warszawie takich, którzy dają na procenta, jest huk i zarobki niewielkie, a u nas zawdy łatwiej... Jakże pan zrobił z bankiem? — dodał po chwili.

— Daj mi spokój, nie mów mi nawet o banku! Tu chcą poręczycieli...

— Pan znajdzie poręczycieli.  
— Chcą, żebym coś sam złożył.  
— Niech pan złoży.  
— Aha dobrze! A jeżeli bank zbankrutuje, to kto mi odda?  
— Ajwaj! jaki pan mądry... A jak pan zbankrutuje, to kto bankowi odda?...

Drzwi otworzyły się, i pan Antoni z Markiem do numeru weszli.

— Kochany sąsiedzie — rzekł po powitaniu Marek do Mateusza — odnoszę ci twoje pięćset rubli, bo mi już nie są potrzebne. Pan Antoni pożyczył mi na dogodniejszych warunkach.

Mateusz usiadł na łóżku zdumiony.

— To... to... No, niechże kochany sąsiad zawsze już do terminu dotrzyma...

— O dziękuję! — zawołał pan Marek. — Co mi diabli po terminie, kiedy za dziesięć dni będę ci musiał dać procentu pięćdziesiąt rubli, a panu Antoniemu za całe pół roku tylko dwadzieścia pięć...

— Kiedy już czas upłynął, kiedy już za późno! — mówił płaczącym głosem chory. — Ułożyliśmy się z szanownym sąsiadem, że gdyby mi w ciągu pięciu godzin mógł zwrócić, w takim razie...

— W takim razie sąsiad weźmiesz tylko pięć rubli — wtrącił Marek.

— Pieniądze dane były o dziesiątej, że zaś jeszcze niema trzeciej, więc termin nie upłynął — dodaje Antoni.

— Ale już dawno po trzeciej, już musi być... przynajmniej wpół do czwartej! — jęczy chory.

— Z pewnością niema!

— Jacy uparci ludzie! — zawołał rozdrażniony pan Mateusz, sięgając pod poduszkę i wydobywając złoty zegarek z grubą dewizką.

— A u pana co ten zegarek robi? — zapytał surowo Antoni. — Leon mówił nam, że mu zginął...

— Leon?... zginął?... o przewrotności ludzka! — bełkocze chory.

Jakby na komendę ukazali się we drzwiach numeru Władysław z bardzo przygnębionym Leonem.

— Akurat przydaliście się — mówi Antoni. — Pierwej jednak, sąsiedzie Mateuszu, skończmy z Markiem. Cóż, przyjmujesz pan napowrót swoje pięćset rubli razem z pięcioma rublami procentu?

— Zgoda! zgoda!... odbierz tam, Moszku — wyszeptał chory. Moszek schował pieniądze, i widząc, że w szczupłym pokoiku zanosi się na burzę, chciał drapnąć. Poproszono go jednak, aby usiadł, i rozpoczęto badanie.

ANTONI. Patrz, Leonie, oto jest twój zegarek, którego nie zgubiłeś, lecz który zastawiłeś. Czy nie powiesz nam, ileś za niego dostał?

MAREK. Nie mrugaj, nie mrugaj, sąsiedzie Mateuszu...

LEON. Powiem prawdę: dostałem dwadzieścia pięć rubli, a dałem kwit na pięćdziesiąt...

MATEUSZ (zrywając się). Co to znaczy, Moszku?... przecież ja ci dałem czterdzieści pięć rubli...

MOSZEK. To pewno ten łobuz Józio, numerowy, bo ja mu dałem dla pana Leona trzydzieści pięć rubli...

WŁADYSŁAW. Czegoż chcecie? rzecz już wyjaśniona: pan Mateusz wytrącił sobie pięć rubli jako procent, Moszek i numerowy po dziesięć, i otóż z czterdziestu pięciu rubli zrobiło się dwadzieścia pięć...

MAREK. Trzeba tych łotrów na policję oddać...

MOSZEK. Giewałt!

LEON. Niech... niech panowie nie robią im nic złego... bo ja... miałem z nimi rachunki.

ANTONI (do Mateusza). Wstydź się pan takich szacherek!

MATEUSZ (z płaczem). Co za niewdzięczność, mój Boże! Wszyscy krzyczą, żebyśmy wyparowali Żydów z handlu i interesów bankierskich, żebyśmy sami nauczyli się obracać kapitałem, a kiedy pojawi się taki człowiek jak ja, to go palcami wytykają!...

WŁADYSŁAW (do Leona). No, my tu urządzimy twoje interesa, a ty ruszaj do domu, natychmiast...

LEON. Pojechałbym, ale... (szepce mu do ucha)

MAREK. Cóż to znaczy?

WŁADYSŁAW. Aha!... Nic, nic... Pewien nasz znajomy radzi Leonowi, aby został tu na parę miesięcy...

MAREK. Jaki znajomy?

LEON. Pan Henryk.

MAREK. Aaa... to ten niski, z czarnymi faworytami?...

WŁADYSŁAW. To... to!

ANTONI (do Marka). Cóż sąsiedzie, źle wyszliśmy na wystawie?

MAREK. Niech Bóg błogosławi Helenkę za jej wcale nie kobiecy rozum i was za uczciwe serca. Gdyby nie to, wyszedłbym jak Zabłocki na mydle...

MATEUSZ. Jak ja na interesach...

LEON. Albo jak ja na...

MAREK. No, co tam dużo gadać! Jedno złe przeszło, drugie przejdzie, a tymczasem... chodźmy na butelczyne, ja funduję!

\*\*\*\*\*

## PLEŚŃ ŚWIATA

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porośłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz — zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzec, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną.

Co godniejsza uwagi, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam,— uprawiają pod sobą grunta dla następnych

pokoleń, — rozrastają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie, siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda, walczą ze sobą. Niegdyś żółta była bardzo rozległa, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzysz na zieloną — jak siwa są

sąsiadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonym tle widać szarych pasków, punktów, kęp?...

— To coś jak między ludźmi — wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. — Społeczeństwu tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem — brakuje im dusz i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje naoślep, mechanicznie, bez sympatyj i bez antypatyj.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i, przy świetle księżyca, przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc, i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dookoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem niby szkolny globus, błyszczący słabym światłem, tak wielki, jak ów kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkałych lądach takie same plamy, szare, siwe, zielone, żółte i rude jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, napozór nieruchomych, w istocie



ruszających się bardzo leniwie: pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny, i to nie w linii prostej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchni globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazy

wały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Glob tymczasem wciąż krążył, i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historia ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinał głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze — ale gdzie są sztuki, wiedza?... Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pragnienia?...

— Cha! cha! cha!... — śmiał się cicho.

— Słowem — gdzie tu są ludzkie dusze i serca?...

— Cha! cha! cha!... Zachowanie się jego oburzyło mnie.

— Kto ty jesteś?... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kapały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, ale go już poznał po szyderstwie i melancholji.

OSADA W STUDZIENCU

Legendy o Ormuzdzie, bogu światła, i Arymanie — ciemności, o aniołach i diabłach, o dobrych i złych duchach opierają się na fakcie społecznym. Ucywilizowana ludzkość składa się z dwu światów. W jednym, opartym na własności, a przede wszystkim na pracy, wytwarza się dobrobyt, stosunki rodzinne i towarzyskie, zdrowie, moralność, piękność, wiedza i sztuka. W drugim, opartym na braku mienia, a nade wszystko umyślnej czy mimowolnej beczynności, wyrasta nędza, choroba, ciemnota, szpetność i występki.

Jeden świat żyje w domach rolników, w warsztatach, sklepach, kościołach, salonach, teatrach i resursach.— drugi gnieździ się w wilgotnych suterrenach, opuszczonych budowlach, w gliniankach, w miejskich fosach, w krzakach i pustkach sąsiadujących z większymi zbiornikami ludzi.

Na wyższych piętrach lepszego świata niezawiązany krawat, niemodne spinki albo perfumy stanowią katastrofę; tu łachmany, brak kilku części odzieży, brud i zaduch są pierwszym warunkiem publicznego zaufania. Tam, chcący obudzić szacunek dla siebie, gadają po francusku — tu arystokracja szycht i glinianek gada żargonem złodziejskim.

W tym piekle społecznym widzisz ludzi potwornie silnych albo chorobliwie wątłych, z dziwnie ukształtowanymi głowami, karykaturalnym obliczem; dzikim, bojaźliwym albo błędnym

spojrzeniem, skórą zwiędłą, niekiedy pełną ran i krost, z członkami połamanymi w tajemniczych walkach. Tu dziecko posiada wielu ojców, którzy zamiast nazwisk mają przezwiska. Miejsce rodziny zajmuje szajka

złożona z indywidualów różnych ras, nie znanych sobie nawzajem.

Pacierzem są wymysły i przekleństwa.

W tym życiu nędzy, oprócz rozpusty, pijatyki i nieuczciwej gry, największą rozkoszą jest sen w miejscu ciepłym i zasłoniętym od deszczu. Sposób utrzymania polega na żebraniu, kradzieży i rabunku.

Skąd się tu biorą ludzie?

Rekrutują się z różnych stanowisk społecznych. Jest tu i leniwy robotnik, i młodzieniec zepsuty pieścizotami, uwolniony kryminalista, uwiedziona kobieta, opuszczone dziecko i niespokojny przedsiębiorca, który w świecie legalnym miał zbyt wiele planów, a zbyt mało pieniędzy. Wśród niedostatku, niepokoju, walk i tułactwa prędko zaciera się w nich rozsądek i lepsze uczucia, o których, po upływie kilku lat, nawet przypomnieć sobie nie mogą.

Tu, na barłogu przychodzą na świat dzieci, dziedziczące po rodzicach swoich tylko zawiązki chorób, rozstrój nerwowy, a czasami —

nieprzeparty pociąg do występku... Szczęściem dla cywilizacji, każde następne pokolenie jest coraz węższe, a rody nie trwają zbyt długo!...

Jak pleśń na czcigodnych murach, tak ten świat złego pełza po całym społeczeństwie, rozdzielony na małe, luźne grupy. Na pierwszy rzut oka nie widać go, ponieważ kryje się w pustkach i działa w mroku.

Ale działa, z rozwojem cywilizacji coraz bardziej dziczeje, a nade wszystko mnoży się i licznych zyskuje adeptów.

Najbojaźliwsi żebrzą albo oszukują. Nieco śmielsi, „ogrodnicy”, wykopują przechodniom portmonetki z kieszeni. „Rybacy” wyławiają pętlami butelki z piwnic lub hakami worki

ze spiżarni przez okna ... „Górnicy” wyłamują drzwi domów i wieka skrzyń. „Myśliwcy” polują na ludzi jak na zwierzęta.

W trudach tych przyjmują udział mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy.

Największą odwagą, zręcznością i czelnością odznaczają się — dzieci, które urodzone, a przynajmniej wychowane w kale społecznym, nie znają

wyrzutów sumienia, wstydu ani bojaźni przed więzieniem, co dorosłym hultajom robi niekiedy dystrakcją.

Jest to dopiero częśćka złego, jakie społeczność zbrodniarzy wyrządza cywilizacji. Tam bowiem lęgną się i konserwują najobrzydliwsze choroby, tam urabia się katechizm występku i filozofia demoralizacji, stamtąd na jasny świat wychodzą nasiona straszliwych teorii, niezrozumiałych dla społeczeństwa normalnego, ale nieustannie praktykowanych w tym opłakanym szpitalu i grobie ludzkości.

Rzecz naturalna, że między światem pracowników i światem jadowitych pasożytów od wieków toczy się walka równie zacięta jak bezskuteczna.

Dotychczas polegała ona na tym, że sprawiedliwość, niby Moloch nowożytny, chwyciła co roku setki tysięcy najgorszych czy najmniej zręcznych spośród złych i na jakiś czas zapełniała nimi więzienia karne, z których wychodzili jeszcze gorszymi i jeszcze bardziej nienawidzonymi społeczeństwa.

Od niedawna dopiero filantropowie i prawnicy wyższymi obdarzeni zdolnościami spostrzegli, że dotychczasowy system walki ze zbrodnią do niczego nie prowadzi. Istotnie, dręczyć łotra w towarzystwie innych łotrów, jest to robić go jeszcze większym łotrem. Prawda jasna jak słońce, choć wieki upłynęły, nim ją zrozumiano.

Toteż dziś w przodujących społeczeństwach pogląd na sposoby traktowania przestępców jest całkiem odmienny. Jeżeli w kimś istnieją uzdolnienia złe, a brak dobrych, to jużci wy

pada złe przytłumić, a dobre zaszcześcić, przynajmniej o tyle, o ile to leży w granicach możliwości ludzkiej.

Nie koniec na tym. Zauważono słusznie, że łatwiej jest poprawić przestępcę młodego aniżeli dojrzałego, a dalej — że należy zapobiegać rozwojowi występku tam, gdzie istnieją wszelkie warunki mogące popchnąć jednostkę na złą drogę.

Dwie ostatnie idee stanowią przewodnią myśl „osad poprawczych dla małoletnich przestępców” — i — „przytułków wychowawczych dla małoletnich włóczęgów”. Zawiązek pierwszej instytucji istnieje i u nas — w Studzieńcu, na drugi lada dzień może przyjść pozwolenie.

Stawiając rzecz na gruncie właściwym, trzeba dobrze zapamiętać, że Towarzystwo Osad Rolnych pełni funkcję lekarza strasznej i chronicznej choroby społecznej, jaką jest występki, a dalej — że w systemie leczenia używa środków już gdzie indziej wypróbowanych i uznanych za najwłaściwsze. Aby jednak praca Towarzystwa wydała rezultaty namacalne, rozumie się w ciągu lat kilkunastu, potrzeba następujących, zasadniczych warunków:

Ażeby każdy małoletni przestępca, a jest ich tysiące, zamiast w więzieniu odsiadywał karę w osadach rolnych.

Ażeby, czas pobytu w osadach nie ograniczał się na paru latach, lecz trwał tak długo, jak tego potrzeba do stłumienia w dziecku uzdolnień złych i rozwinięcia dobrych.

Ażeby obok instytucji poprawczej, a właściwie leczniczej dla dzieci już skazanych za występki, powstały instytucje wychowawcze dla dzieci opuszczonych i zdziczałych, których jest także niemała cyfra.

Skuteczna walka ze zbrodnią, która nieustannie podmywa fundamenta bytu społecznego i bez żadnej przesady — z biegiem czasu zagrozić by mogła cywilizacji, jest zadaniem kolosalnym. Rząd wpływać może na jej rezultat przez udzielanie od

powiedniej opieki i pomocy instytucjom poprawczym, zarządy tych instytucji przez nadawanie ogólnego kierunku akcji. Ale jedyną siłą, jedynym czynnikiem, który złe stopniowo zdławić może, a przynajmniej utrzymać je w jakichś granicach, jest społeczeństwo. Ono tylko ma fundusze, niezbędne do przerobienia występnych lub zdziczałych i ono czuwać może nad ich postępowaniem wówczas, gdy osadę opuszczą.

Aby zrozumieć dzisiejsze stanowisko zakładu poprawczego w Studzieńcu, rozpatrzmy wszystkie czynniki tej nowożytnej walki z występkiem, jaką podjęło u nas Towarzystwo Osad Rolnych.

Przede wszystkim rząd dał Towarzystwu ustawę odpowiednią potrzebom, tj. obejmującą możność zbierania jak największych funduszków i otwierania tylu osad, ile ich potrzeba dla pomieszczenia wszystkich co roku skazywanych przez sądy małoletnich. Zgodnie z wymaganiami ducha czasu i dobrem publicznym, władza zastrzegła sobie tylko kontrolę ogólną, zostawiając właściwą działalność społeczeństwu, zarządowi instytucji i wybranym przezeń urzędnikom. Ta autonomia osad rolnych stanowi źródło bodaj czy największej ich siły i przyszłego rozwoju. Dodać też trzeba, że sądy i władze administracyjne kraju nie tylko nie krępują formalizmem działalności Towarzystwa, lecz przeciwnie. — udzielają mu wszelkiej zgodnej z prawem opieki i pomocy.

Główny motor Towarzystwa, czyli jego założyciele i zarząd, zasługuje na baczniejszą uwagę. Są to niewątpliwie tacy sami ludzie jak każdy z nas. Tak samo jedzą, śpią, chodzą w surdutach, mają swoje wady i zalety. Ale obok tego tkwi w nich coś, co robi ich działaczami społecznymi, nieledwie osobami historycznymi. Tym czymś nie jest ani majątek, ani stanowisko, ani nawet znajomość organizacji zakładów poprawczych i doświadczenie w tym kierunku nabyte.

W tych ludziach tkwi to, co w mechanice nazywa się siłą żywą, zwiększoną tym, co w stosunkach codziennych nazywa się — dobrą wolą i wytrwałością;

Współczesnej historii nie piszą i pisać nie powinni, jeżeli nie chcą wpaść w nieprzyzwoity panegiryk. Ale nie podobna zamykać oczów na grube i śmiałe rysy, jakie cechują czyny doniosłe, stanowczo należące do przyszłości.

Otóż w działaniach obecnego zarządu istnieją takie rysy. Widzimy tam ludzi posiadających naiwną wiarę wyznawców idei — i — zaciętość apostołów.

Przypatrzmy się faktom.

Około roku kilka czy kilkanaście osób powiedziało sobie, że kraj potrzebuje zakładu poprawczego dla małoletnich przestępców. Zakład taki wymagał aktu prawodawczego, wielkich kapitałów, terytorium, budowli, narzędzi, kierowników. Tymczasem projektodawcy z tego wszystkiego posiadali mniej więcej — po dziesięć palców.

I cóż się stało? Czy dobre chęci wytyliły się w sercach i mózgach inicjatorów? Bynajmniej. Te dobre chęci wyżebrały ustawę, grunta, budynki, narzędzia i po dwadzieścia kilka tysięcy rubli na rok. O wszystko trzeba było troszczyć się, kołatać, prosić, wszystko obmyślać, pilnować, próbować. Tylko na wychowalców daje Pan Bóg co roku dobry urodzaj. Aby dowieść, jakie nieprawdopodobne rzeczy robiono, jak nieomal śmieszne stawiano propozycje, wystarczy jeden fakt. Oto komitet Towarzystwa zasadził grono osób, które... „miały wynaleźć człowieka odpowiedniego na dyrektora osady”.

Wobec uchwały podobnej można było co najwyżej wzruszyć ramionami. Lecz delegowani misją swoją wzięli ze strony całkiem poważnej i — wynaleźli człowieka, p. Zajewskiego.

P. Zajewskiemu, dzisiejszemu dyrektorowi osady, i metodzie jego postępowania poświęcimy innym razem oddzielny artykuł. W tym miejscu dość powiedzieć, że na pierwszy rzut oka wydaje się on być „człowiekiem odpowiednim”. W pustelni otoczonej lasem, w gronie wychowalców, z których jeden należał do szajki złodziei, drugi w roku oddawał się nierządowi, trzeci był skończonym ateuszem, a prawie każdy przy protokole zdradzał doświadczenie dorosłego hultaja i śmiał się w oczy przyszłemu zwierzchnikowi, w takim otoczeniu znajdujemy osobę, na której twarzy maluje się dobroć i słodycz...

Mieliśmy sposobność łącznie z kilkudziesięcioma osobami przypatrywać się wychowañcom. Otóż wrażeń tym sposobem zebranych żadną miarą nie możemy nazwać przyjemnymi. Skrzywione czy skulone kręgosłupy, głowy nie pasujące do tułowiów, części twarzy nieproporcjonalne, oczy niekiedy skośne, spojrzenia dzikie. Zakłopotanie, smutek, apatia, ponurość, przebiegłość, oto rysy główne, jakie utkwily nam w pamięci bez względu na protestacje kilku osób zacnych, które między wychowañcami osady i np ... uczniami gimnazjum (!) nie mogły dostrzec różnicy. W duszy tych biednych dzieci zachodzą już niewątpliwie zmiany, które z czasem odbijają się i na ich obliczach. Dziś jednak niestety została jeszcze cecha przeszłości, wygładzanej powoli i z wielkim trudem. Z tym wszystkim chłopcy ci wyrabiają się, są lepsi. Po kilku tygodniach pobytu w osadzie każdy z nich uczuć musi, że człowiek ulega jakimś prawom, że powinien pracować i wypełniać jakieś obowiązki. W zakładzie dowiaduje się on pierwszy raz o Bogu, cnocie i grzechu. Uczy się czytać, pisać, rachować i najniezbędniejszych wiadomości o świecie i ludziach. Gimnastyka prostuje jego członki. Nabywa biegłości w stolarstwie, kołodziejstwie, krawiectwie albo

szewstwie, zaznajamia się także z rolnictwem. Przyzwyczajają się do schludności. Za pracę jest wynagradzany i część zarobków oszczędza. Przywiązuje się do swego dyrektora, „ojców” i kolegów, ponieważ nikt go nie krzywdzi, lecz przeciwnie, wszyscy robią mu dobrze, o ile mogą. Chóralny śpiew porusza jego serce i budzi jakieś idealniejsze uczucia. Nade wszystko zaś każdy wychowaniec osady nabiera zamiłowania do pracy i oddaje się jej nieledwie z namiętnością. Toteż nieszczęśliwe te dzieci poprawiają się tak dalece, że kilkunastu z nich, znalazłszy po wyjściu z zakładu służbę u ludzi rozsądnych i uczciwych, okazują nawet wysokie przymioty moralne i zasługują na najwyższe pochwały swych pracodawców. Godnym uwagi jest fakt, że



wielu z uwolnionych pisują listy do dyrektora wcale przyzwoite, a niektórzy nawet przyjechali na uroczystość rocznicy otworzenia zakładu. Od kilkunastu miesięcy znajduje się w osadzie chłopak, który w pierwszych dniach wiele kłopotu robił dyrektorowi cynizmem w opisywaniu swoich występków. Ale dziś, gdy jeden z gości spytał go, za co tu siedzi, chłopiec zalał się łzami. Rys bardzo znaczący. Obecnie jest w Studzieńcu wychowalców, opiekunów i oficjalistów. Od początku zaś (r. ) było ich , z których wyszło dotychczas przynajmniej poprawionych. Sami oni skarczowali część lasu i uprawiają grunta. Obsługiwany przez nich warsztat krawiecki i szewski odziewa i obuwa zakład, warsztaty zaś kołodziejski i stolarski przyniosły nawet zyski: pierwszy w kwocie rs, drugi — rs. Przedmioty wyrobione przez nich są wcale dobre i dziwić się nawet potrzeba, że w niedługim czasie osiągnięto tak znakomite rezultaty. Słowem, ktokolwiek był w Studzieńcu i w ciągu kilku godzin mógł się jako tako zorientować w szczegółach, przyszedł niewątpliwie do następujących wniosków:

Zadanie Osady jest bardzo ciężkie, a materiał tam zebrany, na pierwszy rzut oka, może odebrać odwagę. Pomimo to droga postępowania zdaje się być dobrze wybrana i przynajmniej jakiś procent nieszczęśliwych chłopców poprawi. Określanie czasu pobytu wychowanka w zakładzie jest rzeczą, nad którą sędzia głęboko zastanowić się powinien. Im przecie chłopiec jest młodszy i czas pobytu dłuższy, tym skutek pewniejszy. Jest rzeczą pożądaną, konieczną, na którą pragnęlibyśmy zwrócić najwięcej uwagi, ażeby publiczność, osobliwie zaś obywatele ziemscy i majstrowie prowincjonalni, przyjmowali do siebie wychowalców Osad Rolnych rekomendowanych przez zarząd. Znajdą w nich pracowników pilnych, oświeconych, karnych i wdzięcznych.

Z drugiej przecie strony, kto czuje, że sam ma nieład w domu i ludzi rozpuszczonych, ten niech lepiej nie podejmuje się obowiązku, bo może zepsuć chłopca.

Dochody Towarzystwa, głównie z odczytów, składek i opłaty rządowej, są na obecne potrzeby wystarczające. Nie trzeba przecie zapominać, że wychowañców to ledwie cząstka tego, co kraj dostarcza rokrocznie, i że niezbędne są zakłady wychowawcze dla dzieci opuszczonych, na kilka tysięcy indywiduów.

Jak to będzie z ową przyszłością pod względem finansowym? trudno dziś zgadnąć. Towarzystwo liczy około . członków, ale trzecia część z nich składek nie płaci, skutkiem czego . rs. znajduje się w zaległościach.

Najgorsze jest, że owa niepunktualność nie wypływa ze złego serca, ale z naszego charakteru. Wszakże na . członków Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego także trzecia lub czwarta część w roku zalega w opłacie rat! ...

Toteż kiedy się wchodzi do kancelarii Towarzystwa Osad Rolnych, woźny zapytuje przede wszystkim:

— Pan składkę przyniósł? ...

Rok temu bardzo piękny projekt podał p. prezydent Starynkiewicz, ażeby ludzie majątni i dobroczynni złożyli na rzecz Towarzystwa jednorazowo po rs. . Projekt ten do dziś dnia jest otwarty, wykonały go zaś, o ile wiem, trzy osoby: sam wnioskodawca w roku zeszłym tudzież p. Józef Sikorski, b. redaktor „Gazety Polskiej”, i jego córka, przełożona pensji żeńskiej, w roku bieżącym.

Jako ludzie rozważni przyjechali oni na miejsce, obejrżeli instytucją szczegółowo i w rezultacie dali po sto rubli.

Komu by jednak podróż do Studzieńca robiła wiele trudności, ten za rs. kop. może sobie kupić widoki fotograficzne Osady, a rubli złożyć w kancelarii zarządu, z tęsknotą oczekującego na wszelkie podobne oferty w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Na tym kończymy. Nie widzimy potrzeby wdawać się w „ciepłe słowa zachęty” do popierania instytucji Osad Rolnych. Walczy ona ze zbrodnią, która jak galernicza kula pęta nogi społeczeństwu i opóźnia jego cywilizowany pochód.

Co gorsze — każdy rok mnoży liczbę występnych i zwiększa zuchwalstwo występku. Kto więc jest w stanie przyczynić się do ograniczenia złego skromnym datkiem sześciu rubli na rok, ten niech długo nie zwleka.

Może ta ofiara wpłynie na poprawę małego przestępcy, który kiedyś miałby targnąć się na życie jego syna albo jego samego?...

Kto to wie!